

Paul Kearney
ŻELAZNE
WOJNY



Księga III cyklu Boże Menarchie

KEARNEY PAUL

Boze monarchie #3 Zelazne

wojny

PAUL KEARNEY

The Iron Wars

Księga III cyklu Boże Monarchie

Przełożył: Michał Jakuszczyński

Wydanie oryginalne: 1996



Wydanie polskie: 2004

Ta książka jest z szacunkiem dedykowana

pamięci Richarda Evansa

CO WYDARZYŁO SIĘ PRZEDTEM

Przed pięcioma stuleciami ukształtowały się dwie wielkie religie, które zdominowały cały świat. Ich podstawą były nauki dwóch ludzi: na zachodzie Świętego Ramusia, na wschodzie proroka Ahrimuza.

Ramusiańska wiara zrodziła się w czasie rozpadu wielkiego, obejmującego cały kontynent imperium Fimbrian. Fimbrianie byli najwspanialszymi żołnierzami, jakich widział świat, ale wplątali się w krwawą wojnę domową, co pozwoliło podbitym prowincjom po kolei odzyskać niezależność i przerodzić się w Siedem Królestw. Fimbria stała się cieniem swej dawnej chwały. Jej armie nadal budziły lęk, ale całkowicie pochłaniały ją problemy wewnętrzne. A Siedem Królestw rosło w potęgę – aż do chwili, gdy pierwsze hordy Merduków wylały się zza Gór Jafrarskich, zmniejszając liczbę królestw do pięciu.

Tak właśnie zaczął się wielki bój między mieszkającymi na zachodzie ramusianami, a przybywającymi ze wschodu Merdukami, brutalna wojna, która ciągnęła się, z przerwami, przez pokolenia, a w szóstym wieku ramusiańskiego kalendarza zbliżyła się do punktu rozstrzygającego.

Aekir, największe miasto zachodu i siedziba ramusiańskiego pontyfika, uległ w końcu w roku 551 naporowi najeźdźców ze wschodu. Ze splądrowanego miasta zdołało uciec dwóch ludzi, których ocalenie wywarło wielki wpływ na dalszy bieg wydarzeń. Jednym z nich był sam pontyfik, Macrobius, uważany za nieżyjącego przez mieszkańców pozostałych ramusiańskich królestw oraz ocalałą hierarchię kościelną. Drugim był Corfe Cear-Inaf, skromny chorąży kawalerii, który zdezerterował, ulegając rozpaczce, gdy jego żona zaginęła w tłumie upadającego miasta.

Ale ramusiański Kościół zdążył już wybrać nowego pontyfika, Himeriusa, który postanowił oczyścić Pięć Królestw z niedobitków ludu dweomeru – tych, którzy władają magią. Ta czystka skłoniła młodego króla Hebrionu, Abeleyna, do zgody na desperacki krok, jakim było wysłanie ekspedycji na najdalszy zachód w poszukiwaniu legendarnego Zachodniego Kontynentu. Dowódcą tej wyprawy był lord Murad z Galiapeno, ambitny i bezlitosny kuzyn królewski. Murad skłonił szantażem sławnego żeglarza, niejakiego Richarda Hawkwooda, do podjęcia się roli nawigatora. Pasażerowie – przyszli koloniści – byli uchodźcami wywodzącymi się z hebrionńskiego ludu dweomeru. Jednym z nich był niejaki Bardolin z Carreiridy. Gdy jednak dotarli w końcu na legendarny zachód, przekonali się, że od stuleci istnieje tam kolonia magów i wilkołaków pod egidą nieśmiertelnego arcymaga Aruana. Wysłany na zwiady oddział wycięto w pień. Ocalili jedynie Murad, Hawkwood i Bardolin.

Tymczasem w Normanii doszło do rozłamu w ramusiańskim Kościele. Trzy z Pięciu Królestw uznały Macrobiusa za prawdziwego pontyfika, natomiast pozostałe wolały nowo wybranego Himeriusa. Wybuchła religijna wojna. Trzej tak zwani królowie-heretycy – Abeleyn z Hebrionu, Mark z Astaracu i Lofantyr z Torunny – musieli użyć siły, by zachować swe trony. Wszystkim trzem udało się osiągnąć ten cel, ale najtrudniejszą walkę stoczył Abeleyn. Był zmuszony wziąć szturmem własną stolicę, Abrusio. Atak przeprowadzony z morza i od strony lądu spowodował zniszczenie połowy miasta.

Dalej na wschód, torunnańska forteca zwana Walem Ormanna stała się głównym celem merduckiego szturmu. Corfe okrył się chwałą w jej obronie, awansowano go i przyciągnął uwagę torunnańskiej królowej wdowy, Odelii, która powierzyła mu misję stłumienia rebelii szlachty w południowej części królestwa. Corfe poprowadził do boju obdartą, marnie uzbrojoną zgraję byłych galerników, bo król nie chciał mu dać nic więcej. Dręczyło go wspomnienie o utraczonej żonie, ale szczęśliwie nie zdawał sobie sprawy z tego, że przeżyła ona upadek Aekiru i jest obecnie ulubioną konkubiną samego sułtana Aurungzeba.

Pamiętny rok 551 miał się ku końcowi. W Almarku umierający król Haukir zapisał swe królestwo w spadku himeriańskiemu Kościołowi, czyniąc zeń wielką doczesną potęgę. A w Charibonie dwaj skromni mnisi, Albrec i Avila, przypadkiem odkryli starożytny dokument, biografię Świętego Ramusia, w której napisano, że był on tym

samym człowiekiem, co merducki prorok Ahrimuz. Mnisi uciekli z Charibonu, ale przedtem przeżyli makabryczne spotkanie z naczelnym bibliotekarzem klasztornego miasta, który okazał się wilkołakiem. Umknęli w zimową zamieć i ostatecznie, brnąc przez bezkresne śniegi, stracili przytomność.

A teraz na całym kontynencie Normanii armie znowu maszerują na wojnę.

Czuwałam podczas twego snu, słuchając

Twoich mamrotów o żelaznych wojnach...

„Henryk IV”, część I

tłumaczył Maciej Słomczyński

PROLOG

Zalewał go pot. Dręczyły zrodzone z gorączki koszmary. Poczł, że bestia weszła do pokoju i przystanęła obok niego. Ale to było niemożliwe. Z pewnością nie mogła tu dotrzeć z tak daleka...

Och, słodki Boże w niebiesiech, panie Ziemi, bądź ze mną w tej chwili...

Modlitwy, modlitwy, modlitwy. Cóż to była za drwina. Modlił się do Boga, on, którego dusza była czarna jak smoła i już sprzedana. Potępiona i skazana na eony piekielnego ognia.

Słodki Ramusio, usiądź przy mnie. Bądź ze mną w tej godzinie zguby.

Rozplakał się. Była tu, oczywiście, że była. Obserwowała go, cierpliwa jak głaz. Należał do niej. Był potępiony.

Zlany potem, rozchylił zlepione powieki i ujrzał nieprzeniknioną ciemność swej sypialni. Łzy spływały mu po szyi, gdy spał, a ciężkie futra leżące na łóżu były rozkopane. Poderwał się nagle, dostrzegając ich kosmatą wypukłość. Zrozumiał, że to tylko futra. Był sam, dzięki Bogu. Nie było tu nic poza cichą, zimową nocą, mroźnym bezkresem na zewnątrz.

Wziął krzemień i stal, leżące na nocnym stoliku, i uderzył nimi o siebie. Gdy hubka w końcu się zajęła, przeniósł ogień do świecy. Światło, punkt odniesienia w złowrogim mroku.

Był zupełnie sam. Nawet bez Boga, którego ongiś czcił i któremu oddał najlepsze lata życia. Duchowni i teolodzy zapewniali, że Stwórca jest wszędzie, w każdej niszy i zakamarku świata. Ale tu, w tym pokoju, nie było Go. Nie tej nocy.

Za to zbliżało się coś innego. Czuł już, jak mknie ku niemu przez mrok, niepowstrzymane niczym wschodzące słońce, ledwie muskając stopami powierzchnię uspiętego świata. Potrafiło w mgnieniu oka przemierzać kontynenty i oceany.

Futra na łóżu poruszyły się nagle. Pisnął przeraźliwie. Odsunął się, potwornie zdenerwowany, ku wezłłowiu. Oczy wychodziły mu z orbit, serce łomotało jak szalone.

Narzuty wypiętrzyły się, wielką masą sierści. A potem zaczęły rosnać w bladym blasku świecy. Pokój stał się nagle placem zabaw dla ruchomych cieni. Światło zamigotało i zbladło.

Futra wznosiły się na łożu coraz wyżej. Majaczyły nad nim niczym jakiś pokraczny megalit. I nagle w połowie ich wysokości rozbłysło dwoje żółtych ślepiów, jasnych i głodnych jak płomień podpalacza.

Była tu. Przybyła.

Padł na twarz w wilgotnej, Inianej pościeli, oddając cześć bestii. Była tu w pełni: czuł piżmową woń jej obecności i żar bijący od ogromnej postaci. Z jej pyska skapnęła kropla śliny i spadła mu na szyję z głośnym skwierczeniem, parząc go.

Witaj, Himeriusie – odezwała się bestia.

–Panie – wyszeptał nieszczęsny kapłan, bijąc pokłony w zbrukanej pościeli.

Nie obawiaj się – uspokoiła go bezgłośnie. Odpowiedzią Himeriusa był nieartykułowany bulgot przerażenia.

Już czas, przyjacielu – mówiła. – *Spójrz na mnie. Usiądź i spójrz na mnie.*

Ogromna łapa, zakończona wyposażonymi w pazury palcami, niczym drwiące połączenie człowieka z bestią, dźwignęła go na kolana. Jej poduszki parzyły mu skórę nawet przez zimową, wełnianą nocną koszulę.

Oblicze pokrytego zimową szatą wilka o uszach sterczących jak rogi nad potężną, porośniętą czarnym futrem czaszką, w której oczy o czarnych źrenicach płonęły niczym szafranowe lampy. Długa na stopę, zębata paszcza, z której skapywały srebrne strumyczki śliny. Czarne wargi unoszące się z drżeniem. A w zębach jakiś połyskliwy, karmazynowy kąsek.

Jedz.

Himerius zalał się łzami. Jego umysłem zawładnęło przerażenie.

–Błagam, panie – bełkotał. – Nie jestem gotowy. Nie jestem godny...

Jedz.

Łapy zacisnęły się na bicepsie duchownego i uniosły go. Łoże zatrzeszczało niepokojąco. Jego twarz znalazła się tuż obok gorących szczek. Oddech bestii przyprawiał o mdłości. Cuchnął zgnilizną niczym gorący wiatr z dżungli. Wrota do innego, bezbożnego świata.

Wziął w usta kawałek mięsa. Wilcze kły musnęły jego wargi w makabrycznym pocałunku. Przeżuł kąsek i go przełknął. Stłumił odruch wymiotny, gdy mięso przesunęło się w dół przełyku, jakby szukało ciemnej, krwawej drogi do jego serca.

Dobrze. Bardzo dobrze. A teraz to drugie.

–Nie, błagam! – łkał Himerius.

Bestia przewróciła go na brzuch i zerwała mu nocną koszulę jednym, niedbałym ruchem łapy. Potem wilk wskoczył na niego, i straszliwy ciężar przygniótł Himeriusa, wyciskając mu powietrze z płuc. Czuł, że się dusi, i nie mógł nawet krzyknąć.

Jestem sługą bożym. Panie, wspomóż mnie w tej chwili udręki.

I nagle przeszył go straszliwy ból, gdy bestia weszła weń brutalnie jednym, przeszywającym ruchem.

Potem jego umysł zaszedł mgłą. Bestia dyszała mu w ucho, skapująca z jej pyska ślina parzyła go w kark. Pazury orały jego barki, a futro było jak milion igieł wbijających się w plecy.

Bestia zadrżała. Z jej gardła wyrwał się niski warkot spełnienia. Wyszła z niego, unosząc potężny zad z jego pośladków.

Teraz naprawdę zostałeś jednym z nas. Otrzymałeś ode mnie cenny dar, Himeriusie. Jesteśmy braćmi w świetle księżyca.

Czuł się rozerwany na strzępy. Nie był w stanie nawet unieść głowy. Nie było już dla niego modlitw, nie miał do kogo wznosić błagań. Z jego duszy wyrwano coś cennego, a puste miejsce zajęła ohyda.

Wilki zanikał już, jego smród ulatniał się z sypialni. Himerius płakał gorzko w materac, a po nogach spływały mu strumyczki krwi.

–Panie – powiedział. – Dzięki ci, panie.

Gdy wreszcie uniósł głowę, leżał sam w wielkim łóżu, w komnacie nie było nikogo poza nim, a świst wiatru w pustych krużgankach na zewnątrz nasilał się, przechodząc w wycie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ŚRODEK ZIMY

Duch, który nie wie, co to kapitulacja, który nie cofa się przed żadnym niebezpieczeństwem dlatego, że uzna je za zbyt srogie, jest duszą żołnierza.

Robert Jackson

Systematyczny przegląd formacji,

dyscypliny i ekonomii armii.

1804

JEDEN

Nic, co powiedziano Isolli, nie mogłoby jej przygotować na to, co zobaczyła. Rzecz jasna, krążyły szalone pogłoski, makabryczne opowieści o rzezi i zniszczeniu. Mimo to zaskoczyła ją skala tego wszystkiego.

Stała po zawietrznej stronie pokładu rufowego karaki. Damy dworu zatrzymały się u jej boku, ciche jak sowy. Cały czas mieli stały wiatr północno-zachodni z lewej burty i żaglowiec mknął prosto przed siebie niczym jelen uciekający przed ogarami, zostawiając po zawietrznej wysoką na dziesięć stóp falę dziobową, lśniąca licznymi tęczkami w bladym blasku zimowego słońca.

Choroba morska w ogóle nie dokuczała Isolli, co bardzo ją cieszyło. Minęło już wiele czasu, odkąd ostatnio była na morzu. Minęło wiele czasu, odkąd była gdziekolwiek. Niebezpieczny rejs przez Zatokę Fimbriańską sprawił jej mnóstwo radości po posępnych zimowych miesiącach spędzonych na dworze, który dopiero niedawno odzyskał równowagę po próbie uzurpacji. Jej brat, król Astaracu, musiał stoczyć kilka drobnych bitew, żeby nie stracić tronu. To jednak było niczym w porównaniu z tym, co wydarzyło się w królestwie, do którego zmierzała. Zupełnie niczym.

Żeglowali równym tempem przez wielką zatokę, na której końcu przycupnęła jak nierządnicą na nocniku stolica Hebrionu, stare, jarmarczne Abrusio. Było ongiś najbardziej hałaśliwym, awanturnicznym i bezbożnym portem zachodniego świata. A także najbogatszym. Teraz jednak została z niego jedynie poczerniała skorupa.

Pożary wojny domowej strawiły większą część miasta. Przez całe trzy mile wzdłuż brzegu ciągnęły się tylko dymiące ruiny. Z wody sterczały kadłuby potężnych ongiś okrętów, a także pozostałości nabrzeży i doków, a setki akrów terenu wzdłuż

wybrzeża obróciły się w pustkowie; kopące się jeszcze zgliszcza dolnego miasta, którego budynki zrównało z ziemią gorejące piekło. Tylko Wieża Admiralska stała w miarę nienaruszona niczym wychudły wartownik albo kamień nagrobny.

Na Szlakach Zewnętrznych kotwiczyła potężna flota Hebrionu. Choć przetrzebiły ją zażarte walki, jakie stoczono, by odebrać miasto Rycerzom-Bojownikom oraz będącym z nimi w zмовie zdrajcom, pozostawała siłą, której nie można było lekceważyć. Reje wysokich okrętów osnuwała pajęczyna olinowania. Krzatali się tam marynarze, pracujący ze wszystkich sił nad naprawą zniszczeń wojennych. Abrusio wciąż miało pod dostatkiem zębów.

Na górującym nad portem wzgórzu nadal stały królewski pałac oraz klasztor inicjantów, choć ostrzał z okrętowych dział, który zakończył szturm na miasto, pozostawił i na nich liczne ślady. Gdzieś tam czekał król, spoglądający z góry na ruiny swej stolicy.

Isolla była siostrą innego króla. Wysoka, chuda, brzydka kobieta o długim nosie, który jakby zwisał jej nad ustami, kiedy się nie uśmiechała. Bruzda na podbródku i szerokie, jasne czoło usiane piegami. Dawno już dała sobie spokój z zabieganiem o porcelanową cerę, jakiej wymagano od dworskiej damy. Zrezygnowała też z pudrów i kremów. A także z myśli, które skłoniły ją kiedyś do ich używania.

Płynęła do Hebrionu, żeby wyjść za mąż.

Trudno jej było przypomnieć sobie Abeleyna, którego znała jako chłopca. Ten chłopiec został teraz mężczyzną i królem. Jako dziecko traktował ją okrutnie, wyśmiewał się z jej szpetoty, ciągnął za płomiennordzawe włosy, które były jej jedynym tytułem do chwały. Niemniej jednak już wówczas miał w sobie jakiś blask, coś, co sprawiało, że trudno go było znienawidzić, a za to łatwo polubić. Nazywał ją wtedy „Issy Długonoska” i nie znosiła go za to. Mimo to, gdy pewnego zimowego wieczoru w Vol Ephrir księżę Lofantyr przewrócił ją w błoto, Abeleyn zanurzył głowę przyszłego króla Torunny w kałużę i wysmarował jego monarszy nos tym samym błockiem, które pokrywało Isollę. Powiedział potem, że zrobił to dlatego, że była siostrą Marka, a Mark był jego najlepszym przyjacielem. Otarł też łzy z jej oczu z prostoduszną, chłopięcą czułością. Uwielbiała go w owej chwili, po to tylko, by następnego dnia, gdy ponownie stała się ofiarą jego drwin, znienawidzić na nowo.

Wkrótce zostanie jej mężem, pierwszym mężczyzną, z jakim będzie dzieliła łóżę. Miała już dwadzieścia siedem lat i niepokoiła ją nieco ta myśl, choć rzecz jasna będzie jej obowiązkiem dać królowi dziedzica, tak szybko, jak to tylko możliwe. Zawierała to małżeństwo z powodów politycznych. Nie było w nim romantyzmu, liczyły się wyłącznie względy praktyczne. Jej ciało było traktatem zawartym między dwoma królestwami, symbolem ich sojuszu. Poza tym nie miało żadnej realnej wartości.

–Głębokość jedenaście sążni! – zawołał sondujący marynarz, który stał na dziobie.
– Na słodką krew Boga! – dodał. – Zwrot na prawą burtę, sterniku! Wrak na farwaterze!

Sternik zakręcił kołem sterowym i karaka zmieniła gładko kurs. Po lewej burcie załoga i pasażerowie ujrzeli osadzony na mieliźnie wrak okrętu. Jego reje wystawały zaledwie stopę nad powierzchnię morza, a w przezroczyściej wodzie był wyraźnie widoczny mroczny zarys kadłuba.

Wszyscy na statku gapili się na ruiny zniszczonego przez wojnę miasta. Wielu marynarzy wdrapywało się na wanty jak małpy, żeby lepiej widzieć. Czterech stojących na kasztelu rufowym ciężkozbrojnych astarańskich rycerzy wyzbyło się

charakterystycznej dla nich aury obojętności i gapiło się na to z taką samą fascynacją jak cała reszta.

–Abrusio, niech nam Bóg pomoże! – zawołał kapitan, zapominając z wrażenia o charakterystycznej dla siebie małomówności.

–Miasto leży w gruzach! – wybuchnął jeden z ludzi stojących u steru.

–Zamknij się i trzymaj kurs. Hej ty, na sondzie! Rób, co do ciebie należy. Banda bezmózgich idiotów. Władowaliście statek na mieliznę, żeby móc się w spokoju pogapić na tańczącego niedźwiedzia. Brasować! Na Boga, czy wpuścimy wiatr z żagla, mając port w zasięgu wzroku, i pozwolimy, żeby Hebrionczycy uznali nas za patentowanych durniów?

–Nie ma już żadnego portu – odezwał się jeden z bardziej lakonicznych oficerów, spluwając przez reling po zawietrznej. Niemal natychmiast obrzucił Isollę szybkim, udręczonym, przepraszającym spojrzeniem. – Wszystko spłonęło aż do poziomu morza, kapitanie. Nie widzę nabrzeża, przy którym moglibyśmy zacumować. Będziemy musieli rzucić kotwicę na Szlakach Wewnętrznych i podpłynąć do brzegu łodzią.

–No dobra – mruknął kapitan. – Zamontujcie talie na rejach. Niewykluczone, że masz rację.

–Chwileczkę, kapitanie! – zawołał jeden z eskortujących Isollę rycerzy. – Nadal nie wiemy, kto sprawuje władzę w Abrusio. Królowi mogło się nie udać odzyskać miasta. Może nadal pozostawać w rękach Rycerzy-Bojowników.

–Nad pałacem powiewa królewski proporzec – poinformował go oficer.

–Aha, ale jest opuszczony do połowy masztu – dodał ktoś inny.

Zapadła cisza. Załoga spoglądała na kapitana, czekając na rozkazy. Dowódca statku otworzył usta, lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, rozległ się głos człowieka na oku.

–Ahoj, na pokładzie! Widzę okręt odbijający od brzegu u stóp Wieży Admiralskiej. Ma na maszcie królewską flagę.

W tej samej chwili wszyscy na pokładzie zauważyli obłoki dymu buchające z naruszonych nadmorskich murów miasta. Po uderzeniu serca rozległ się huk wystrzałów, odległe staccato gromów.

–Królewski salut – oznajmił dowódca rycerzy. Jego twarz wyraźnie się rozpromieniła. – Rycerze-Bojownicy i uzurpatorzy z pewnością nie przywitaliby nas

salutem. Już prędzej salwą. Miasto jest w rękach rojalistów. Kapitanie, lepiej przygotuj się na przyjęcie emisariuszy hebrionńskiego króla.

Panujące na pokładzie napięcie rozproszyło się. Marynarze zaczęli rozmawiać ze sobą swobodniej. Isolla jednak stała bez słowa, i to spostrzegawczy oficer dał za nią wyraz jej myślom.

–Chciałbym wiedzieć, dlaczego chorągiew jest opuszczona do połowy masztu. Robią to tylko wtedy, gdy król...

Jego głos zagłuszył tupot bosych stóp uderzających o pokład. Załoga przygotowywała się do przyjęcia hebrionńskiego statku. Kiedy się zbliżył, Isolla zobaczyła, że to dwudziestowiosłowa królewska barka ze szkarłatnym baldachimem. Cała załoga była ubrana na czarno.

–Wygląda na to, że pani przybyła – stwierdził generał Mercado. Stał na królewskim balkonie z rękami założonymi za plecy, spoglądając na świat. Mógł w spokoju kontemplować cały zniszczony krąg dolnego miasta, a także wielkie zatoki będące portami Abrusio oraz wzniesione u ich brzegów fortyfikacje.

–I co, do licha, zrobimy, Golophinie?

W mroku słabo oświetlonej komnaty, tam dokąd nie sięgało światło z otwartego balkonu, coś zaszeleściło. Od cieni oddzieliła się bezgłośnie jakaś wysoka postać, która podeszła do generała. Była chudsza, niż miał prawo być jakikolwiek żywy człowiek, wyglądała jak coś wykonanego z papieru, patyków i ogryzionych skrawków skóry. Była bezwłosa i biała jak kość. Okrywała ją całkowicie długa opończa, ale w zniszczonej twarzy gorzało dwoje oczu; gdy przemówiła, okazało się, że jej głos jest niski i melodyjny, stworzony do śmiechu i pieśni.

–Będziemy grać na czas. Cóż więcej nam pozostało? Godne powitanie, odpowiednie lokum i absolutna cisza we wszystkich kwestiach dotyczących zdrowia króla.

–Całe cholerne miasto przywdziało żałobę. Idę o zakład, że już doszła do wniosku, że Abeleyn nie żyje – warknął Mercado. Połowa jego twarzy wykrzywiła się. Druga połowa była srebrną maską o pogodnym wyrazie, który nigdy się nie zmieniał, odkąd, przed wielu laty, Golophin założył żołnierzowi tę osłonę, by uratować mu życie. Oko po srebrnej stronie było przekrwione i nie miało powiek. Ów straszliwy widok budził lęk jego podkomendnych, ale odpowiedzialny za ten obraz człowiek nie miał powodów do obaw.

–Znam Isollę, a przynajmniej znałem – odparł Golophin równie ostrym tonem. – To rozsądne dziecko. Teraz pewnie rozsądna kobieta. Co równie ważne, ma rozum w głowie i nie wpadnie w histerię z powodu upuszczonej rękawiczki. I, na Boga, zrobi to, co jej każemy.

Mercado wyglądał na udobruchanego.

–A ty, Golophinie? – zapytał, nie patrząc na starego, podobnego do trupa czarodzieja. – Jak ty się masz?

Na twarzy Golophina pojawił się zaskakująco słodki uśmiech.

–Jak stara kurwa, która zbyt wiele razy rozkładała nogi. Jestem zmęczony i obolały, generale. Nie przydam się na wiele ludziom ani zwierzętom.

Mercado prychnął pogardliwie.

–Chciałbym dożyć tego dnia.

Obaj odeszli jednocześnie od balkonu, przechodząc do komnaty. Na ścianach królewskiej sypialni wisiało mnóstwo ledwie widocznych w półmroku gobelinów, podłogę zaścielały dywany z Ridawanu i Calmaru, a w powietrzu unosiła się słodka woń kadzidła z Levangore. Na wielkim łożu z baldachimem, w jedwabnej pościeli, leżał wychudzony mężczyzna. Zatrzymali się nad nim w milczeniu.

Abeleyn, król Hebrionu, a przynajmniej to, co z niego zostało. Kula trafiła go w chwili zwycięstwa, gdy odzyskał Abrusio i uratował królestwo przed okrutną teokracją. Golophin pomyślał, że to z pewnością jakiś kaprys starożytnych bogów skazał go na taki los. Nie było w tym nic z tak zwanej łaski i miłosierdzia ramusiańskiego bóstwa. Nic poza gorzką ironią: nie zginął, ale ledwie można go było zwać żywym.

Król stracił obie nogi, a jego tułów z obrzydliwymi kikutami był zdruzgotany i poraniony. Przerodził się w masę szram i pogruchootanych kości. Chłopięca ongiś twarz miała barwę wosku, wargi były sine, a słaby oddech świstał w nich z wysiloną regularnością. Ale przynajmniej nie postradał wzroku. Przynajmniej ocalał życie.

–Słodki Błogosławiony Święty, tylko pomyśleć, że dożyłem chwili, gdy widzę go w takim stanie – wyszeptał ochryple Mercado. Golophin usłyszał w głosie starego twardego żołnierza coś niezbyt odległego od łkania. – Nie możesz nic zrobić, Golophinie? Zupełnie nic?

Z ust czarodzieja wyrwało się westchnienie, które brzmiało tak, jakby brało początek w palcach jego nóg. Wydawało się, że razem z nim z czarodzieja uszła część witalnej siły.

–Podtrzymuję jego oddech. Nie potrafię dokonać nic więcej. Brakuje mi sił. Muszę poczekać, aż dweomer się we mnie zregeneruje. Wyssała go śmierć mojego chowańca, a także bitwy. Przykro mi, generale. Bardzo przykro. To również mój przyjaciel.

Mercado wyprostował się.

–Oczywiście. Wybacz mi. Zachowuję się jak stara panna. Nie ma czasu na załamywanie rąk, nie w takiej chwili... Gdzie ulokowałaś tę sukę, jego metrese?

–Zatrzymała się w gościnnych apartamentach i ani na chwilę nie przestaje domagać się widzenia z nim. Przydzieliłem jej strażników, dla bezpieczeństwa, oczywiście.

–Nosi jego dziecko – stwierdził Mercado z dziwną gwałtownością.

–Na to wygląda. Musimy ją uważnie obserwować.

–Pierdolone baby – ciągnął Mercado. – A teraz będziemy mieli jeszcze jedną. Też trzeba ją będzie rozpieszczać i uważać, żeby jej nie nadepnąć na palce.

–Jak już mówiłem, Isolla jest inna. Poza tym to siostra Marka. Sojusz między Hebrionem a Astarakiem musi zostać przypieczętowany przez ich ślub. Dla dobra królestwa.

Mercado prychnął pogardliwie.

–Ślub! Ciekawe, kiedy go urządzimy? Czy ma wyjść za... – Przerwał i pochylił głowę. Golophin słyszał, jak przeklina sam siebie pod nosem. – Mam jeszcze parę spraw do załatwienia – oznajmił nagle Mercado. – Bóg wie, że nie brakuje mi problemów. Zawiadom mnie, jeśli nastąpi jakaś zmiana, Golophinie.

Wymaszerował z komnaty, jakby czekał go sąd wojenny. Golophin usiadł na łożu i ujął dłoń swego króla. Jego twarz przerodziła się w oblicze złośliwej czaszki, gniew i nienawiść ścigały się na niej nawzajem, aż wreszcie zamrugął i miejsce tych uczuć zajęło przemożne znużenie.

–Lepiej by było, gdybyś zginął, Abeleynie – rzekł cicho. – Gdybyś poległ w walce, jako ostatni z królów-wojowników. Gdy ciebie zabraknie, spod kamieni wypełzną wszyscy mali ludzie.

Pochylił głowę i zapłakał.

DWA

Na Boga, pomyślał Corfe, ten człowiek znał się na hodowli koni.

Wierzchowiec był ciemnym, prawie czarnym gniadoszem i miał dobre siedemnaście i pół dłoni wysokości w kłębie. Do tego potężną pierś, grubą szyję, pełne werwy, spojrzenie i proste nogi. To był prawdziwy rumak bojowy, na jakim mogli jeździć wyłącznie szlachetnie urodzeni. A teraz Corfe miał setki podobnych. Wszystkie liczyły co najmniej trzy lata i wszystkie były wałachami. Cała fortuna w kopytach, kości i mięśniach, i – co ważniejsze – to zaczątek konnej armii.

Jego ludzie obozowali na pastwiskach jednej ze stadnin tragicznie zmarłego księcia Ordinaca. Czterystu dzikusów nadal pozostających pod rozkazami Corfe'a rozbiło w bezładnych skupiskach trzy akry skórzanych namiotów, również będących własnością nieżyjącego księcia. W prowizorycznym obozie panował ruch jak w rozkopanym mrowisku. Wszędzie było pełno ludzi i koni, w powietrzu unosił się dym ognisk, rozbrzmiewał brzęk młotów uderzających o małe, polowe kowadła. Różnorakie odory i dźwięki kawaleryjskiego biwaku były dla Corfe'a czymś dobrze znanym i dodawały mu wigoru.

Wałach zatańczył pod nim, najwyraźniej wyczuwając, że nastrój jeźdźca się poprawił. Corfe uspokoił go głosem i kolanami. Wystawił czujki w odległości pół mili od obozu we wszystkich kierunkach, a Andruw z dwudziestoma ludźmi wyruszył przed dwoma dniami na rekonesans w stronę Staed, gdzie księżę Narfintyr zbierał siły przeciwko królowi. Pod jego sztandary napłynęły już z górą trzy tysiące ludzi.

To nie był korzystny stosunek sił. Ale wszystko to z pewnością byli synowie wieśniaków i zagrodowa szlachta, chłopci obrócenii chwilowo w żołnierzy, nie urodzeni wojownicy, jak dzikusy Corfe'a. Ponadto na całym świecie znalazłoby się tylko niewiele oddziałów piechoty zdolnych oprzeć się dobrze przeprowadzonej szarży ciężkiej jazdy. Być może profesjonalni pikinierzy, ale nikt poza nimi.

Nie, najgroźniejszym wrogiem Corfe'a był czas. Wyciekał mu przez palce niczym piasek i Corfe nie mógł sobie pozwolić na tracenie go, jeśli miał odnaleźć i pokonać Narfintyra, nim zastąpi go druga armia wysłana na południe przez króla Lofantyra.

Dziś był trzeci z pięciu Dni Świętego, dodanych przez uczonych na końcu ostatniego miesiąca, żeby kalendarz nie utracił synchronizacji z porami roku. Za dwa dni nadejdzie Sidhaon, noc Końca Roku, i cykl zacznie się od nowa, zmierzając z wolna ku ciepłu i przebudzeniu wiosny.

Corfe miał wrażenie, że wiosna bardzo się spóźnia. Trwała najdłuższa zima w jego życiu. Ledwie pamiętał, jak to jest, gdy czuje się na twarzy ciepłe promienie słońca albo chodzi po trawie, zamiast brnąć przez śnieg bądź błoto. To była piekielnie

nienaturalna pora na prowadzenie wojny, zwłaszcza przy użyciu konnicy. Ale z drugiej strony cały świat stał się ostatnio piekielnie nienaturalny i żaden z odwiecznych pewników nie miał już mocy.

Pomyślał o drugiej armii, zmierzającej na południe po to, by policzyć się z buntownikami, których rozkazano mu rozbić. Dowodził nią niejaki pułkownik Aras, jeden z ulubieńców króla, który przydzielił mu niezły, łączony oddział, by mógł za jego pomocą poskromić szlachtę z południa. Lofantyr był najwyraźniej przekonany, że Corfe sknoci sprawę ze swą zgrają źle wyekwipowanych barbarzyńców. Miał wrogów nie tylko przed sobą, lecz również za plecami, musiał się martwić nie tylko o taktykę i logistykę, ale także stać się czymś w rodzaju polityka. Takich spraw nie dawało się uniknąć, gdy już człowiek dosłużył się wyższej szarży, ale Corfe nigdy by się nie spodziewał, że niuanse tej gry okażą się aż tak śmiertelnie groźne. Nie podczas wojny. Odnosił wrażenie, że połowie oficerów w Torunnie bardziej zależy na wkradnięciu się w królewskie laski niż na przepędzeniu Merduków spod Wału Ormanna. Kiedy o tym myślał, ogarniał go złowrogi, niepohamowany gniew, wściekłość, która zrodziła się w chwili upadku Aekiru i od tej pory narastała w nim bezgłośnie i nieustannie, bez żadnej nadziei na rozładowanie. Mógłby ją złagodzić jedynie ślepy przelew krwi. Zabijanie jednego Merduka po drugim, aż po ostatnie piszczące, ciemnoskóre niemowlę, tak by żaden z nich nie pozostał przy życiu, żeby zasmradzać świat. Wtedy być może przestałyby go dręczyć koszmary i duch Herii mógłby wreszcie zasnąć spokojnie. Goniec podjechał do niego galopem.

–Ondrow wrócił – oznajmił, nie kłaniając się ani nie salutując.

Corfe odpowiedział mu skinieniem głowy – jego dzikusy coraz lepiej mówiły po normańsku, ale nadal miały słabe pojęcie o właściwych formach zwracania się do przełożonego – i popędził za nim, wjeżdżając swobodnym galopem na wzgórze dominujące nad polem biwakowym. Na szczycie czekali Marsch oraz chorąży Ebro w towarzystwie trzech wartowników. Ebro przywitał go dziarskim salutem, który Corfe odwzajemnił z roztargnieniem.

–Gdzie jest?

–Niecałe trzy mile stąd, na północnym trakcie – odpowiedział Marsch, pocierając czoło, obolałe od ciężkiego hełmu *ferinai*. – Chyba mu się śpieszy. Ponagla konie z całych sił.

W głosie Marscha pobrzmiwała lekka dezaprobata, jakby żadna sprawa nie mogła być wystarczająco pilna, by usprawiedliwić znęcanie się nad końmi.

–To znaczy, że zawrócił – stwierdził z zadowoleniem Corfe. – Idę o zakład, że przyjrzał się naszym rywalom w tej grze.

Spoglądali ze szczytu wzgórza na dwudziestkę jeźdźców, którzy mknęli po błotnistym północnym trakcie, a chmury na niebie za ich plecami wyglądały jak stado spłoszonych ptaków. Po dziesięciu minutach cały oddział ściągnął już wodze. Chrapy wierzchowców były czerwone i szeroko rozwarte, a ich szyje spryskane białą pianą. Wszystko, łącznie z twarzami jeźdźców, było brudne od błota.

–Jakie wieści nam przynosisz, Andruw? – zapytał spokojnie Corfe, choć serce zabiło mu szybciej.

Adiutant zdjął hełm. Twarz pokrywała mu maska brudu.

–Narfintyr siedzi w Staed jak stara baba na piecu. Jego ludzie to chłopscy synowie plus garstka szlachetnie urodzonych w zbrojach sprzed pięćdziesięciu lat. Żaden z innych wielkich panów się nie zbuntował. Czekają, żeby się przekonać, czy ujdzie mu to na sucho. Słyszeli o losie, jaki spotkał Ordinaca, ale nikt nawet nie przypuszcza, że jesteśmy regularnym torunnańskim wojskiem. Pogłoski mówią, że Ordinac nadział się na bandę merduckich dezertów i grasantów.

Corfe ryknął śmiechem.

–I bardzo dobrze. A co słyhać na północy?

–Ach, to dopiero jest ciekawa część. Aras i jego kolumna są już blisko. Niespełna dzień marszu za nami. Prowadzi blisko trzy tysiące ludzi, w tym pięciuset konnych. Kirasjerów i pistoletników. Ma też sześć lekkich dział. Z przodu osłania je podjazd kawalerii.

–Widzieli was? – zapytał Corfe.

–Wykluczone. Wczołgaliśmy się po stoku na szczyt wzniesienia i obserwowaliśmy ich stamtąd. Są hamowani przez działa i wozy taborów, a do tego trakt jest bardzo grząski. Idę o zakład, że przeklinają te rarogi przez całą drogę od Torunnu.

Corfe uśmiechnął się szeroko.

–Zaczynasz mówić jak kawalerzysta, Andruw.

–Aha. No cóż, strzelać z nich to jedno, a wlec je przez bagna to coś całkiem innego. Co mamy zrobić, Corfe?

Wszyscy spoglądali na niego. Powietrze nagle wypełniła inna aura, napięcie, które Corfe znał i które nauczył się kochać.

–Zwijamy obóz i wyruszamy natychmiast – oznajmił krótko. – Marsch, zajmij się tym. Chcę, żeby jeden szwadron jechał przed nami i nas osłaniał. Ty będziesz nim

dowodził. Drugi niech pędzi zapasowe wierzchowce, a trzeci, pod dowództwem Andruwa, będzie tylną strażą. Pierwszy szwadron wyruszy, gdy tylko zdąży osiodłać konie. Reszta podąży za nim, najszybciej jak to możliwe. Panowie, czeka na nas robota.

Grupka jeźdźców rozproszyła się. Oddział Andruwa ruszył ku stadu koni po nowe wierzchowce. U boku Corfe'a pozostał tylko Ebro.

–A co ja mam zrobić, pułkowniku? – zapytał chorąży głosem pół płaczkliwym, a pół pełnym urazy.

–Zajmij się mułami z taborów. Chcę, żeby były gotowe do drogi przed upływem dwóch godzin. Każ zapakować na nie, ile tylko się da, ale nie przeciążaj ich zbyt. Musimy poruszać się szybko.

–Narfintyr ma trzy tysiące ludzi, a my mniej niż czterystu. Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy zaczekali na Arasa i połączyli z nim siły?

Corfe przeszył podwładnego zimnym spojrzeniem.

–Czy nie pragniesz okryć się chwałą, chorąży? Wydałem ci rozkazy.

–Tak jest.

Ebro oddalił się cwałem. Miał bardzo niezadowoloną minę.

*

Beztroska krzątania panująca na biwaku zakończyła się w jednej chwili, gdy oficerowie przejechali przez tłum, wykrzykując rozkazy, i dzikusy pognały wdziać zbroje oraz osiodłać konie. Marsch znalazł w zamku księcia spory zapas lanc i jeźdźcy brali je teraz z lasu stojaków, który wyrósł między namiotami. Same namioty zostawili. Były za ciężkie dla mułów taszcących na grzbietach bagaże oddziału Corfe'a. Uparte, ryczące zwierzaki i tak już miały co dźwigać: paszę dla tysiąca koni na cały tydzień, polowe kuźnie z ich małymi kowadłami i pobrzękującymi narzędziami, surówkę w gąskach na nowe podkowy, zapasowe lance, broń i zbroje, nie wspominając już o niewyszukanym, lecz sporo ważącym prowiancie, który zjedzą po drodze ludzie. Główną jego część stanowił dwukrotnie pieczony chleb, twardy jak drewno, oraz solona wieprzowina. Ponadto każdy szwadron miał swój własny kocioł, w którym będzie się moczyć i gotować to mięso. Milion rozmaitych rzeczy potrzebnych armii, która była tak mała, że ledwie zasługiwała na tę nazwę. W zasadzie połowy oddział powinien mieć jeden ciężki, zaprzężony w woły wóz o podwójnych osiach na każdych pięćdziesięciu ludzi, dwa wozy w przypadku konnicy i artylerii. Złożony z dwustu mułów konwój Corfe'a, choć wyglądał imponująco, według regularnych wojskowych standardów nie był w stanie przenieść prawie nic.

Straż przednia ruszyła w drogę po niespełna godzinie, a główne siły godzinę po niej. W południe na biwaku, który za sobą zostawili, można było spotkać jedynie duchy oraz garstkę sparszywiałych kundli, szukających po namiotach resztek żywności albo choć kawałków skóry do przeżucia. Rozpoczął się wyścig.

*

Na podgórzu, na północ od Gór Cymbryckich, panowała surowsza zima niż na nizinach Torunni. Była to okrutna kraina, której piękno zabijało. Wysokie na dwadzieścia tysięcy stóp i więcej góry były tu jednak niższe niż dalej na południu, a ich granie i stoki mniej niedostępne. Na zboczach rosły drzewa: odporne sosny i świerki, górskie jałowce. W tej okolicy brał swój początek Torrin. Wartka, spieniona rzeka miała tu już dwieście stóp szerokości, jej gniewny nurt syciły spływające z gór dopływy. Była zbyt gwałtowna, by zamarznąć. Miała do pokonania jeszcze jakieś czterysta pięćdziesiąt mil, a dalej stawała się spokojnym, majestatycznym gigantem, przepływającym przez Torunn i wpadającym do ciepłego Morza Kardiańskiego.

Tutaj jednak przez miliony tysiącleci nurt skruszył góry, przez które płynął. Wyrzeźbił sobie dolinę pośród turni. Na północy wznosiły się ostatnie szczyty zachodniego Thurianu, skalna bariera powstrzymująca hordy Ostrabaru, zmuszająca je podczas trwających od dziesięcioleci najazdów do wybierania nadbrzeżnej trasy, by przedrzeć się na południe – szlaku prowadzącego je wprost pod mury Aekiru i

działa Wału Ormanna. Na południowy zachód od rzeki piętrzyły się Góry Cymbryckie, kręgosłup Torunny, ojczyzna felimbryckich plemion zamieszkujących skryte pośród gór doliny. Ten przesmyk, wyrzeźbiony przez nurt Torrinu, od stuleci stanowił łącznik między Torunną a Charibonem, między wschodem a zachodem. To był trakt, którym podążali imperialni kurierzy w dniach chwały Fimbrii, gdy sam Charibon był jedynie garnizonową fortecą, mającą chronić wiodącą na wschód drogę przed dzikusami z Almarku. Tędy właśnie biegł szlak handlowy, a w późniejszych dniach, gdy Hegemonia Fimbriańska padła i ludzie zaczęli zabijać się w imię Boga, Torunnie ufortyfikowali przesmyk. Teraz maszerowało tędy wojsko, piesza armia, której żołnierze byli obleczeni w czerń i uzbrojeni w dwudziestostopowe piki albo schowane w skórzanych futerałach arkebuzy. Duże *tercio* fimbriańskich żołnierzy, pięć tysięcy najstraszliwszych wojowników na świecie, maszerowało przez śnieżyce i zaspy ku Wałowi Ormanna.

To właśnie było źródłem niewytłumaczalnego hałasu, jaki dobiegał jego uszu. Nigdy w życiu nie słyszał podobnego dźwięku: poskrzypywania drewna i skóry, brzęku metalu uderzającego o metal, a nawet chrzęstu śniegu.

Nogi. To dziesięć tysięcy nóg maszerujących po śniegu produkowało niski grzmot, raczej wyczuwalny niż słyszalny, drżenie przenikające aż do szpiku kości.

Albrec otworzył oczy i przekonał się, że żyje.

Przez dłuższą chwilę był całkowicie zdezorientowany. Nic z tego, co widział wokół, nie wyglądało znajomo. Leżał w czymś, co kołysało się i podskakiwało. Nad głową miał skórzany dach, a przez szczeliny w nim tu i ówdzie przedzierał się oślepiający blask. Grube futra opatulały go tak szczelnie, że ledwie mógł się ruszać. Był oszołomiony i nie potrafił sobie wyobrazić żadnych wydarzeń mogących doprowadzić do podobnej sytuacji.

Usiadł i w jego głowie eksplodowały światła oraz ból. Zacisnął na chwilę powieki i uwolnił rękę spod okrycia, by potrzeć twarz – było w niej coś dziwnego, oddychał z jakimś osobliwym świstem – i wydało mu się, że jego dłoń spowija białe płótno. Ale pomylił się, nie miała kształtu. Była...

Usunął mruganiem łzy z oczu i spróbował zgiąć palce. Ale nie mógł tego zrobić, bo już ich nie miał. Pozostał mu jedynie kciuk. Oprócz niego za kostkami dłoni nie było nic. Absolutnie nic.

–Miłosierny Boże – wyszeptał.

Oswobodził drugą rękę. Ją również spowijało płótno, ale miał na niej palce, dzięki błogosławionym świętym. Miał czym poruszać, czym dotykać. Kiedy nimi pomachał, poczuł mrowienie, jakby życie wracało do nich po długim śnie.

Pomacał się po twarzy, zamykając oczy, jakby nie chciał zobaczyć tego, co przekaże mu dotyk. Wargi, podbródek i zęby były na miejscu, oczy również. Ale...

Oddech wydostawał się ze świstem przez otwór pozostały po nosie. Poczuł pod palcami kość. Wystająca część jego twarzy zniknęła. Nie miał już nozdrzy. Z pewnością wyglądało to jak dziura w czaszce.

Położył się z powrotem, zbyt wstrząśnięty, by płakać, zanadto zagubiony, żeby myśleć o tym, co się stało. Zapamiętał jedynie strzępki grozy z odległej krainy koszmarów. Zębaty uśmiech wilkołaka. Mrok katakumb. Straszliwą biel śnieżycy, a potem zupełnie nic. Poza...

Avilą.

Wszystko wróciło do niego z szybkością i siłą objawienia. Uciekali z Charibonu. Dokument! Sięgnął gorączkowo pod ubranie. Ale jego habit zniknął. Miał na sobie wełnianą koszulę i długie, również wełniane, pończochy. Odrzucił futra i wczółgał się na nie, podskakując i kołysząc się razem z tym, w czym go uwięziono. Próbował chwycić supły zamykające skórzaną plandekę u jego stóp. Łzy w końcu nadeszły, gdy uświadomił sobie, co się stało. Pojmali ich inicjanci. Z pewnością byli transportowani z powrotem do klasztornego miasta. Spalą ich jako heretyków. A dokument zniknął. Zniknął!

Baldachim otworzył się, gdy Albrec szarpnął za rzemień. Mnich wypadł na zewnątrz i runął twarzą w zdeptany śnieg.

–Odsuń się, durny zwierzaku! – rozległ się czyjś głos. Tuż obok niego zachrzęścił śnieg. Albrec otworzył oczy i zobaczył pochylającą się nad nim czarną postać. Za jej plecami ciągnęła się oślepiająca jasność błyszczącego w słońcu śniegu.

Następny cień. Potem oba przerodziły się w ludzi, którzy chwycili go pod pachy i podnieśli ze śniegu. Spoglądał na nich, zdezorientowany jak sowa za dnia.

–Chodź, kapłanie. Nie opóźniaj marszu – mruknął jeden z nich. Potem spróbowali wepchnąć go z powrotem do nakrytego plandeką wozu, w którym – jak teraz zobaczył – jechał. Za nim stał drugi podobny, zaprzężony we wścibskiego muła, a dalej setka następnych i tysiąc ludzi, ciemny wąż postaci na śniegu. Wszyscy byli uformowani w szyku, a na ramionach trzymali piki. Wielki tłum czekający cierpliwie, aż przeszkoda zostanie usunięta i wóz ruszy w dalszą drogę.

–Kim jesteście? – zapytał słabym głosem Albrec. – Gdzie ja jestem?

Wepchnęli go z powrotem do dwukołowego wozu. Jeden z nich oddalił się, by złapać za kantar muła, i ruszyli w dalszą drogę. Cała kolumna podążyła za wozem. Nie było żadnych rozmów, żadnych skarg na zwłokę, nic poza cierpliwością i szybką sprawnością. Albrec zauważył, że drugi z mężczyzn, którzy mu pomagali, podobnie jak pierwszy ma na sobie sięgające kolan skórzane buty z futrzaną podszewką oraz czarny płaszcz, przypominający strój duchownego, z uwagi na kaptur i rozcięte rękawy. Na plecach niósł krótki, prosty miecz, zawieszony na pendencie, a do upręży prowadzonego przezeń muła był przytroczony arkebuz. Żelazna lufa migotała w blasku słońca z jasnością błyskawicy. Obok arkebuza wisiał mały, stalowy hełm oraz para powleczonych czarnym lakierem metalowych rękawic. Sam mężczyzna był krótko ostrzyżony, szeroki w ramionach i potężnie zbudowany. Podbródek porastał mu kilkuniedniowy złocisty zarost, a twarz miał rumianą, opaloną na brąz w ciągu tygodni spędzonych na wolnym powietrzu.

–Kim jesteś? – dopytywał się Albrec.

–Nazywam się Joshelin z Gaderii. Dwudzieste szóste *tercio*. Beltrana.

Nie powiedział nic więcej, najwyraźniej uważając, że to wszystko wyjaśnia.

–Ale kim wy jesteście? – zapytał żałośnie Albrec.

Mężczyzna zwany Joshelinem łypnął na niego złowrogo.

–Co to ma być, jakaś zagadka?

–Wybacz, czy jesteś żołnierzem z Almarku? Hmm... najemnikiem?

W oczach Joshelina zapłonął gniew.

–Jestem fimbriańskim żołnierzem, kapłanie, a ty znalazłeś się pośrodku fimbriańskiej armii, więc na twoim miejscu uważałbym, kogo nazywam „najemnikiem”.

Zdumienie Albreca musiało uwidocznić się na jego twarzy, gdyż żołnierz dodał łagodniejszym tonem:

–Minęły już cztery dni, odkąd znaleźliśmy ciebie i tego drugiego kapłana. Uratowaliśmy was przed wilkami i zamrażaniem. Twój towarzysz jedzie w drugim wozie. Ucierpiał mniej od ciebie. Przynajmniej ma twarz, stracił tylko kilka palców u nóg i koniuszki uszu.

–Avila! – zawołał z radością Albrec. Znowu spróbował wysiąść z wozu, ale Joshelin powstrzymał go, opierając twardą dłoń o jego pierś.

–On jeszcze śpi. Pozwól mu odzyskać przytomność w swoim czasie, tak jak ty.

–Dokąd zmierzamy, jeśli nie do Charibonu? Dlaczego Fimbrianie znowu maszerują na wojnę?

Albrec słyszał w Charibonie pogłoski na ten temat, ale zlekceważył je jako fantazje nowicjuszy.

–Wygląda na to, że idziemy z odsieczą Wałowi Ormanna – odparł krótko Joshelin i splunął w śnieg. – Fortyfikacji, którą sami zbudowaliśmy. Mamy znowu podnieść tarczę, którą zostawiliśmy tam przed wielu laty. I nie sądzę, by spotkała nas za to wdzięczność. Świat ufa nam w równie małym stopniu, co inicjantom. Ale przynajmniej będziemy mieli szansę znowu walczyć z poganami.

Zamknął nagle usta, jakby uznał, że zaczyna gadać od rzeczy.

–Wał Ormanna – powtórzył Albrec. To była nazwa wywodząca się z historii i legend. Potężna, wschodnia fortyfikacja, której nigdy nie zdobył żaden wróg. Leżała w północnej Torunnie. Maszerowali do Torunny.

–Muszę z kimś porozmawiać – oznajmił. – Muszę się dowiedzieć, co się stało z naszymi rzeczami. To ważne.

–Zgubiłeś coś, kapłanie?

–Tak. To ważne, mówię ci. Nigdy byś nie zgadł, jak bardzo ważne.

Joshelin wzruszył ramionami.

–Nic mi na ten temat nie wiadomo. Siwardowi i mnie rozkazano opiekować się wami, to wszystko. Chyba spalili wasze habity. Nie warto było ich zatrzymywać.

–O Boże – jęknął Albrec.

–Co to było, relikwiarz, czy coś w tym rodzaju? Mielicie zaszyte w szatach klejnoty?

–To była opowieść – odparł Albrec, czując szczypanie w suchych oczach. – Tylko opowieść.

Wczołgał się z powrotem w ciemność osłoniętego plandeką wozu.

Fimbrianie maszerowali jeszcze długo po zachodzie słońca, a gdy wreszcie się zatrzymali, uformowali czworobok, z wozami i mułami taboru pośrodku. Wbili w ziemię zaostrzone pale, by otoczyć obóz płotem, i wysłali oddziały ludzi po drewno na opał. Albrec otrzymał żołnierski płaszcz i buty – jedno i drugie znacznie na niego za duże – i posadzono go przed ogniskiem. Joshelin przyniósł mu suchary, twarde ser i bukłak wina, a potem oddalił się na służbę wartowniczą.

Wiatr się wzmagał, targając płomieniami ogniska. Inne płonące w mroku ognie nakrywały gorejącą kołdrą ośnieżoną ziemię. Ze wszystkich stron otaczały ich majaczące w mroku góry. Chmury opływały majestatyczne turnie niczym niesione nurtem szmaty. W fimbriańskim obozowisku panowała niesamowita cisza, tylko od czasu do czasu mącona rykiem muła. Siedzący przy ogniskach ludzie rozmawiali ze sobą cicho, dzieląc się racjami żywnościowymi, ale większość po prostu spożywała posiłek, a potem owijała się grubymi płaszczami i zasypiała. Albrec zastanawiał się, jak mogą to wszystko znieść: forsowny marsz, krótkie postoje, niedługie chwile snu z gołą głową na zamarznętej ziemi. Niemal bał się ich twardości. Rzecz jasna, widywał już przedtem żołnierzy: Almarkan z charibońskiego garnizonu oraz Rycerzy-Bojowników. Ci Fimbrianie byli jednak czymś więcej. W ich ascezie dostrzegął coś, co przywodziło na myśl mnichów. Nie potrafił sobie wyobrazić, jacy będą podczas bitwy.

–Widzę, że jak zwykle ściskasz w rękach bukłak – rozległ się nagle czyjś głos. Albrec odwrócił się od ogniska.

–Avila!

Przyjaciel Albreca był ongiś najprzystojniejszym inicjantem w Charibonie. Jego twarz zachowała piękne rysy, lecz była teraz wychudła i zapadnięta, nawet gdy się uśmiechał. Coś mu odebrano, jakiś błysk bądź aspekt młodości. Kuśtykał niczym starzec i prawie się zwałił na ziemię obok Albreca. On również miał na sobie gruby płaszcz, a stopy spowijały mu bandaże.

–Cieszę się, że cię widzę, Albrecu. – Nagle ujrzał w blasku ogniska twarz niskiego mnicha. – Słodki Boże w niebiesiech! Co się stało?

Albrec wzruszył ramionami.

–Odmrożenie. Ty najwyraźniej miałeś więcej szczęścia. Straciłeś tylko kilka palców u nóg.

–Mój Boże!

–To nieważne. W końcu nie mamy żon ani kochanek. Avilo, czy wiesz, gdzie i z kim jesteśmy?

Przyjaciel nadal gapił się na niego. Albrec nie był w stanie spojrzeć mu w oczy. Czuł przemożne pragnienie zasłonięcia twarzy dłonią, stłumił je jednak i podał Avili bukłak.

–Masz. Chyba przyda ci się mały łyeczek.

–Wybacz, Albrecu.

Avila przechylił bukłak i ścisnął, by wino trysnęło mu do gardła. Pił tak długo, aż ciemny płyn wypełnił jego usta, a potem pociągnął jeszcze trochę. W końcu otarł wargi.

–Z Fimbrianami. Wygląda na to, że nasi zbawcy to Fimbrianie. Maszerują w stronę Wału Ormanna.

–Tak. Ale straciłem go, Avilo. Zabrali mi dokument. Nic innego nie ma teraz znaczenia.

Avila przyjrzał się własnym, zaciśniętym na bukłaku dłoniom. W niektórych miejscach zeszła z nich skóra, a na grzbietach pojawiły się wrzody.

–Zimno – mruknął. – Nie miałem pojęcia. Wygląda zupełnie jak trąd, sądząc z tego, co nam o nim opowiadano.

–Avilo! – syknął Albrec.

–Wiem, wiem, dokument. No cóż, zniknął. Ale my żyjemy, Albrecu, i możemy jeszcze uniknąć spalenia. Dziękuj Bogu przynajmniej za to.

–Ale prawda zginęła.

–Szczерze mówiąc, wole żeby to ona zginęła niż ja.

Avila nie chciał spojrzeć przyjacielowi w oczy. Jakąś część jego jaźni zastraszyło to, przez co przeszli. Albrec miał ochotę nim potrząsnąć.

–Wszystko w porządku – uspokoił go z krzywym uśmiechem inicjant. – Jestem pewien, że to pragnienie życia mi przejdzie.

Obok mnichów przy ognisku siedzieli żołnierze, ignorujący ich obu jakby nie istnieli. Większość Fimbrian spała, ale w następnej chwili ci, którzy czuwali, zerwali się jak jeden mąż i stanęli sztywno niczym posągi. Albrec i Avila unieśli wzrok i zobaczyli męczyznę ze szkarłatną szarfą na brzuchu. Przystanął obok nich. Był odziany w prostą, żołnierską bluzę. Miał otaczające usta łukiem wąsy, które błyszczały w blasku

ogniska czerwono złotym blaskiem.

–Spocznij – rzucił do żołnierzy i ci osunęli się z powrotem na ziemię. Potem usiadł ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku obok obu mnichów.

–Mógłbym prosić o łyček wina? – zapytał.

Obaj popatrzyli na niego, oniemiałi z zaskoczenia. W końcu Avila odzyskał panowanie nad sobą.

–Oczywiście, żołnierzu – odparł swym najlepszym zimnym, arystokratycznym tonem. – Być może potem zechcesz zostawić nas samych. Mamy z przyjacielem ważne sprawy do omówienia.

Mężczyzna pociągnął długi łyk z bukłaka, a następnie otarł kropelki trunku z wąsów.

–Jak się obaj czujecie?

–Bywało lepiej – odpowiedział Avila, nadal wyniosły jak inicjant rozmawiający z prostym żołdakiem. – Czy mogę zapytać, kim jesteś?

–Możesz – odparł ze spokojem mężczyzna. – Ale z drugiej strony mógłbym nie zechcieć ci odpowiedzieć. Tak się składa, że jestem Barbius z Neyru.

–W takim razie, Barbiusie z Neyru, może zechciałbyś nas zostawić, skoro już się napiłeś wina.

Buta opuszczała stopniowo Avilę. Jego głos nabrał przenikliwego brzmienia. Mężczyzna tylko spojrzał na niego, unosząc brew.

–Czy jesteś oficerem? – zapytał Albrec, spoglądając na jego szkarłatną szarfę.

–Można by tak to ująć.

Z ust jakiegoś niewidocznego w ciemności żołnierza wyrwał się stłumiony śmiech.

–W takim razie może zechciałbyś nam powiedzieć, co się stało z naszymi rzeczami – odezwał się Avila. – Wygląda na to, że gdzieś przepadły.

Mężczyzna uśmiechał się, ale jego oczy lśniły jak kawałki morskiego lodu i nie ogrzewał ich błysk wesołości.

–Sądziłbym, że należy się nam odrobina wdzięczności. W końcu to moi ludzie uratowali wam życie.

–Za co jesteśmy im należycie wdzięczni. A teraz, powiedz, gdzie są nasze rzeczy.

–Nie obawiaj się, czekają bezpiecznie w namiocie dowódcy armii. Teraz kolej, bym ja zadał wam parę pytań. Dlaczego uciekaliście z Charibonu?

–Czemu uważasz, że stamtąd uciekaliśmy? – skontrował Avila.

–Chcesz powiedzieć, że wybraliście się na przechadzkę podczas śnieżycy?

–To nie twój interes – warknął młody inicjant.

–Och, ależ mój. Uratowałem wam życie. Gdyby moi ludzie was nie znaleźli, stalibyście się mrożonym żarciem wilków. Jestem przekonany, że należą mi się odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie zechcę wam zadać, a także odrobina zwykłej uprzejmości.

Obaj mnisi milczeli przez dłuższą chwilę. W końcu to Albrec udzielił mu odpowiedzi:

–Przepraszamy za nasz brak manier. W rzeczy samej jesteśmy wdzięczni za uratowanie życia, ale w ostatnim okresie przeżywaliśmy spore napięcie. Tak, rzeczywiście uciekaliśmy z klasztornego miasta. To była wewnętrzna sprawa. Rozgrywka o władzę, w którą zostaliśmy wciągnięci bez własnej winy. Był też w tym aspekt herezji...

–To mnie zaintrygowało – stwierdził Fimbrianin. – Mów dalej.

–Ocaliłem przed zniszczeniem pewne zakazane teksty – ciągnął Albrec. Jego umysł pracował jak szalony, tworząc miksturę półprawd i całkowitych kłamstw. – To zostało odkryte i musieliśmy uciekać, bo inaczej spalono by nas jako heretyków. To już w zasadzie wszystko.

Barbius skinął głową.

–Tak też myślałem. Czy tekst, który ze sobą mieliście, jest jednym z tych heretyckich dokumentów?

Serce Albreca zabiło gwałtownie.

–Tak, tak, oczywiście. A więc on nadal istnieje?

–Jak już mówiłem, leży w namiocie marszałka. – Wydawało się, że Barbius przestał się nimi interesować. Przeniósł spojrzenie na ogniska, przy których spali jego znużeni ludzie. – Muszę już iść. Przyjdźcie jutro rano do namiotu marszałka, a odzyskacie swoje rzeczy. Możecie towarzyszyć kolumnie, jak długo zechcecie, ale ostrzegam was, że zmierzamy do Wału Ormanna i im dalej z nami zajdziecie, tym gorsze staną się drogi i tym trudniej będzie wam poradzić sobie samotnie na pustkowiach.

–Gdybyś mógł dać nam dwa muły, odjechalibyśmy już jutro – zaproponował z niecierpliwością w głosie Albrec.

Barbius przeszył go chłodnym spojrzeniem.

–A dokąd zamierzacie się udać?

–Do Torunnu.

–A dlaczego?

Albrec poczuł się na chwilę zbity z tropu. Był pewien, że powiedział za dużo, zdradził jakiś ich sekret. Zająknął się, i to Avila odpowiedział na to pytanie, ociekającym wzgardą tonem.

–Ależ po to, by związać swój los z Macrobiusem i jego heretykami, oczywiście. Jak powiadają, wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi. To twardy świat, żołnierzu. Nawet duchowni muszą sobie radzić jak mogą.

Barbius znowu się uśmiechnął.

–W rzeczy samej. Do zobaczenia rano.

Bez odrobiny wysiłku podniósł się z ziemi.

–Zaczekaj! – zawołał Avila, gdy Barbius odwrócił się, by odejść. – Gdzie jest namiot dowódcy? Jak go mamy znaleźć? Ten obóz jest wielki jak miasto.

Fimbrianin wzruszył ramionami, nie zatrzymując się.

–Zapytajcie o kwaterę Barbiusa z Neyru. Słyszałem, że to on dowodzi tą armią.

TRZY

–To mi się nie podoba, pani – mówiła Brienne, poprawiając szpilki we włosach Isolli.
– Nikt nie chce mi nic powiedzieć, nawet paziowie.

–Jeśli nawet oni nie chcą ci zawierzyć swych tajemnic, coś z pewnością musi być nie w porządku ze światem – odparła z przekąsem Isolla. – Wystarczy już tego, Brienne. Nie lubię, jak tak koło mnie skaczesz.

–Musisz zrobić na nich wrażenie, pani – upierała się dziewczyna. – Chcesz, żeby ci Hebrionczycy doszli do wniosku, że przybywasz z jakiegoś prowincjonalnego dworu, gdzie damy nadal noszą włosy opadające na ramiona?

Isolla uśmiechnęła się. Z jej służką nieraz nie sposób było dyskutować. Brienne była prawdziwą kokietką, maleńką i szczupłą. Miała kruczoczarne włosy i lśniące, orzechowe oczy, a przy tym nieskazitelnie białą skórę, jaką ongiś pragnęła posiadać Isolla. Wystarczyło, że poruszyła małym palcem, a mężczyźni jękali się i wytrzeszczali oczy. Nie była jednak rozchichotaną, pustogłową ślicznotką. Nie brakowało jej rozumu i Isolla z nikim nigdy nie przyjaźniła się bliżej, jeśli nie liczyć jej brata Marka. Króla Marka, który kochał siostrę i wysłał ją tu, by wyszła za mąż za człowieka, o którym nie wiedziała prawie nic. Człowieka, który z jakichś tajemniczych powodów był ciągle nieobecny.

–Nie sądzisz, że on zginął, prawda? – zapytała służkę.

–Nie, pani. Nie zginął. Zasugerowałam tę możliwość jednemu z kucharzy i w nagrodę omal nie rozwalił mi głowy warząchwią. Pałacowa służba jest bardzo drażliwa. Nie, jestem przekonana, że podczas bitwy stało mu się coś złego. Nie ulega wątpliwości, że został ranny, ale nikt nie wie, jak poważnie. Albo nie chcą powiedzieć. To wygląda niepokojąco. W dzieciństwie byłam w Abrusio. Wiesz, że moja rodzina pochodzi z Imerdonu. Wtedy było to bezbożne miasto, pełne cudzoziemców i pogan. Za pieniądze można było kupić wszystko. Teraz jest tu inaczej.

–Wojna z pewnością popsuka ludziom humory – zauważyła Isolla, przeglądając się w zwierciadle. – Może być, Brienne.

–Nie chcesz pudru, pani?

–Powtarzam po raz pięćdziesiąty, że nie. Nie pozwolę, żeby mnie pomalowano jak manekin, nawet dla króla.

Brienne wyduła usta w grymasie dezaprobaty, nic jednak nie powiedziała. Była bezgranicznie oddana swej pani, kobiecie, która zaprzyjaźniła się z dziewczką kuchenną i podniosła ją do statusu przybocznej służki. Wiedziała też, że Isolla

znakomicie zdaje sobie sprawę z niedostatków własnej urody, i cierpiała, gdy inne damy na dworze szeptały, zasłaniając usta dłońmi. Astaracka księżniczka potrafiła jeździć konno z biegłością godną mężczyzny i kroczyła z męską śmiałością na swych długich, chudych nogach. Do tego miała gębę niewyparzoną jak mężczyzna i czytała książki, ponoć całymi setkami. To było dziwne zachowanie dla szlachetnie urodzonej damy. Ale król Mark nie pozwalał nikomu powiedzieć złego słowa o swej siostrze i jej ekscentrycznych zwyczajach. Opowiadano nawet, że w ciszy swych apartamentów omawia z nią sprawy wagi państwowej. Rozmawiać o polityce z kobietą! To nienaturalne.

Brienne docinki bolały bardziej niż jej panią, która dawno już przestała się nimi przejmować. Chciała, by jej pani była szczęśliwa, wyszła za mąż, urodziła dziecko. Miała wszystko to, co powinna mieć kobieta. Wiedziała jednak, że Isolla pragnie od życia czegoś więcej, nie tylko dlatego, że urodziła się księżniczką, lecz również dlatego, że była tym, kim była.

Ktoś zapukał do drzwi. Isolla wstała z gracją od toaletki.

–Proszę – powiedziała.

W drzwiach stanął obleczony w hebrionński szkarłat lokaj.

–Pani, czarodziej Golophin prosi o pozwolenie wejścia – rzekł mężczyzna, kłaniając się nisko.

–Golophin? – Czoło Isolli zmarszczyło się, a potem znowu wygładziło. – Tak, oczywiście. Wprowadź go. – Drzwi się zamknęły. – Szybko, Brienne. On lubi wino. I przynieś trochę oliwek.

Gdy służka wybiegła do przedpokoju, Isolla opanowała nerwy. Golophin był mentorem i nauczycielem Abeleyna, a słyszała, że również jego najlepszym przyjacielem. Być może wreszcie się dowie, co dolega niewidzialnemu królowi Hebrionu.

Golophin wkroczył do komnaty bez zbytnich ceremonii, pomijając dworny ukłon. Isollą wstrząsnął jego wygląd. Wyglądał ledwie lepiej niż ożywiony szkielet. Jego oczy widziały jednak wszystko.

–Dziękuję, że zechciałaś mnie przyjąć tak nieformalnie, pani – odezwał się stary czarodziej. Miał dźwięczny głos śpiewaka albo mówcy, przepojony muzyką.

Przez chwilę siedzieli oboje bez ruchu, przyglądając się sobie nawzajem. Potem Brienne przyniosła wino i oliwki. Spojrzenie Golophina było szczere i otwarte. Szacuje mnie, pomyślała Isolla. Zastanawia się, ile może mi powiedzieć.

Stary czarodziej nalał wina im obojgu, uniósł kielich w toaście, wychylił go jednym haustem i nalał sobie drugi. Isolla upiła mały łyczek, skrywając zaskoczenie.

Golophin uśmiechnął się.

–Staram się odzyskać utracone siły, pani, a być może również zapomnieć o tym, w jaki sposób je utraciłem. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Isolli przypadła do gustu jego szczerość. Nadal nie odzywała się ani słowem. Z jakiegoś powodu uświadamiała sobie, że lepiej będzie nie wdawać się w niezobowiązujące rozmówki.

–Podobają ci się twoje komnaty? – zapytał od niechcienia Golophin.

Przydzielono jej wielki, pusty apartament, który należał niegdyś do jakiejś dawno zmarłej hebrionńskiej królowej, być może matki Abeleyna. Na ścianach wisiały ohydne, ponure gobeliny, tkaniny dekoracyjne i obrazy świętych. Meble były wielkie, masywne i ciemne. Czuła się tu jak w mauzoleum. Mimo to skinęła głową.

–Są bardzo przyjemne.

–Sam nigdy ich zbyt nie lubiłem – przyznał czarodziej. – Matka Abeleyna, Bellona, była wspaniałą kobietą, ale miała nieco zbyt ascetyczne upodobania. Widzę, że zdjęłaś zasłony z balkonowych okien. To dobrze. Wpuściłaś do środka słońce, choć o tej mrocznej porze roku nie mamy go za wiele.

Osuszył kolejny kielich. Isolla pomyślała, że z pewnością nie jest to trzeci ani nawet czwarty, który dziś wypił.

–Pamiętam cię jako dziecko – mówił Golophin. – Byłaś małym, cierpliwym stworzeniem. Abeleyn cię lubił, ale był okrutny jak wszyscy chłopcy. Mam nadzieję, że nie masz mu tego za złe.

–Oczywiście, że nie – odparła raczej chłodnym tonem.

Znowu się uśmiechnął.

–Masz głowę na karku, pani. Tak mi przynajmniej mówiono. Dlatego tu przyszedłem. Gdybyś była tylko kolejną pustogłową księżniczką, trzymalibyśmy cię w nieświadomości i powiedzieli to, w co naszym zdaniem mogłabyś uwierzyć. Mam jednak wrażenie, że to nie wystarczy. Dlatego właśnie postanowiłem uczynić to, co za chwilę uczynię.

Ach, pomyślała, prostując się.

–Brienne, zostaw nas.

Służka wyszła z komnaty, obrzucając Isollę błagającym o litość spojrzeniem. Golophin wstał z krzesła i zaczął spacerować po komnacie. Płaszcz powiewał za nim, nadając mu wygląd ogromnego, strupieszatego nietoperza. Nie, był raczej drapieżnym ptakiem, być może wygłodzonym sokołem. Nawet jego ruchy były szybkie i ekonomiczne, jak u ptaka, mimo że wypił sporo wina.

Podszedł do najdalszej ściany, zdarł z niej obrzydliwy gobelin i mocno nacisnął fragment kamiennego muru. Rozległ się trzask i pojawiła się szczelina, która poszerzała się szybko, zmieniając się w niskie drzwi.

Isolla wciągnęła powietrze przez zęby.

–Magia.

Parsknął śmiechem.

–Nie. Inżynieria. W pałacu jest pełno ukrytych drzwi i tajnych przejść. Będziesz musiała pójść ze mną.

Zawahała się. Nie przypadła jej do gustu dziura, na którą wskazywał mag. Nie wiadomo dokąd prowadziła. Czy to mógł być jakiś spisek?

–Zaufaj mi – rzekł łagodnym tonem Golophin. Nagle ujrzała w jego oczach wyraz cierpienia. Krył się w nich żal, trzymany przezeń w szczelnym zamknięciu niczym dżinn ze wschodnich mitów. Mimo woli wstała i podeszła do tajnych drzwi.

–Zaprowadzę cię do narzeczonego – powiedział czarodziej i ruszył w ciemność.

Isolla widziała już w dzieciństwie magiczny ogień. Teraz płonąca kula unosiła się nad głową Golophina, oświetlając im drogę. Migotała jednak słabo, jak świeca wypalona niemal do samego końca. Księżniczka uświadomiła sobie nagle, że stary mag utracił z jakiegoś powodu siły. Coś mu je ukradło, zamieniając go w karykaturę tego, kim był ongiś. Pomyślała, że to z pewnością wojna.

Korytarz miał gładkie kamienne ściany i wił się we wszystkie strony niczym wąż. Mijali drzwi, zapewne wiodące do komnat pałacu. Zdawała sobie sprawę, że ją, cudzoziemkę, wtajemniczono w najważniejsze sekrety tego gmachu. Zresztą wkrótce i tak miała zostać królową Hebrionu.

Zatrzymali się. Magiczny ogień zgasł i usłyszała zgrzyt kamienia. Przeszła za wychudzonym czarodziejem przez kolejne niskie drzwi i znalazła się w wysokiej komnacie, gdzie było niemal zupełnie ciemno. Obok bogato zdobionego łoża z baldachimem palił się szereg wysokich świec. Dostrzegła wiszącą na ścianach broń, migoczącą w ich blasku. Leżały tu mapy i księgi, a na ścianach wisiały kolejne brzydkie gobeliny. Nocny stolik z dzbanem i kubkiem ze srebra. Wszędzie też było pełno hebrionskich królewskich herbów, rytych albo tłoczonych. Znalazła się w królewskiej komnacie.

–Mów normalnie. Nie szepcz – pouczył ją Golophin. – Jest daleko, ale nie odszedł całkowicie. Być może nowy głos dokona tego, czego znajome głosy nie potrafią zdziałać, i przywoła go z powrotem.

–O czym...?

Ale Golophin ujął ją za ramię i poprowadził do ogromnego łoża.

Król. Jej przerażone oczy objęły jednym spojrzeniem to, co z niego zostało. Uniosła dłoń do ust. Ten wrak miał zostać jej mężem.

Golophin obserwował ją uważnie. Wyczuwała u niego gniew, niemal widoczny. Cofnęła dłoń od twarzy i dotknęła spoczywającej na kołdrze dłoni Abeleyna.

Poznawała jego rysy. Ciemne włosy były tak samo gęste, jak ongiś, choć przyprószyła je już siwizna. Twarz, którą pamiętała opaloną na brąz, była jasna jak pościel, w której leżał. Isollę zaskoczyło, że żał jej nie samej siebie, dlatego że miała połączyć się węzłem małżeńskim z tą ruiną człowieka, ale Abeleyna, pełnego werwy chłopaka, którego poznała, który ciągnął ją za włosy i powtarzał okrutne słowa na temat jej nosa. Nie zasługiwał na taki los.

–Co się stało? – zapytała, zdając sobie ze skrzepowaniem sprawę, że Golophin

obserwuje ją uważnie niczym jastrzęb.

–To była kula armatnia. Nasza, niech nam Bóg dopomoże, i to w chwili, gdy bitwa była już wygrana. Udało mi się powstrzymać krwotok z kikutów, ale byłem wyczerpany walką i nie mogłem działać nic więcej. Żeby uleczyć go całkowicie, potrzeba by wielkiej teurgii. Nie jestem pewien, czybym tego dokonał nawet w pełni sił. Dlatego leży teraz w tym łożu, a jego umysł przebywa w jakiejś niezgłębionej otchłani, do której nie potrafię dotrzeć. Wypytywaliśmy się dyskretnie o mówców umysłu, ale ci, których nie zamordowano pod władzą reżimu Sastro di Carrery, uciekli na skraj świata. Dweomer nie pomoże Abeleynowi. Może on liczyć tylko na siłę własnej woli i na ludzkie ciepło, jakie mu oferujemy.

Przeszył Isollę złowrogim spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy odważy się mu sprzeciwić.

Nie dała się jednak zastraszyć tak łatwo. Puściła dłoń nieprzytomnego króla i spojrzała staremu magowi prosto w oczy.

–Jak rozumiem, nie będzie ślubu, dopóki król nie wróci do siebie.

–To prawda. Ale ten ślub i tak kiedyś się odbędzie. Kraj go potrzebuje. Udało nam się wyróżnić oddziały Carrery i przepędzić ocalałych Rycerzy-Bojowników, ale w Hebrionie nie brak ambitnych ludzi, którzy schylą się po koronę, jeśli tylko zobaczą, że upadła.

–Nie zdołasz oszukiwać świata bez końca, Golophinie. Prawda w końcu wyjdzie na jaw.

–Wiem o tym. Ale musimy spróbować. Ten człowiek ma w sobie wielkość. Nie pozwolę, żeby tu zgnił!

On go kocha, pomyślała Isolla. Naprawdę kocha. Poczowała sympatię do straszliwego starca. Zawsze pociągały ją beznadziejne sprawy, zawsze stawiała po stronie przegranych. Być może dlatego że sama uważała się za jedną z nich.

–A więc chcesz mnie wciągnąć do waszego małego spisku. Kto jeszcze wie, jaki jest naprawdę stan króla?

–Admirał Rovero, generał Mercado i być może trzy albo cztery zaufane osoby ze służby pałacowej.

–Całe miasto jest w żałobie.

–Musiałem wydać komunikat o stanie zdrowia króla. Jest poważnie chory, ale nie umierający. Tak brzmi oficjalna wersja.

–I myślisz, że jak długo uda ci się utrzymać psy na smyczy?

–Kilka tygodni, może parę miesięcy. Rovero i Mercado trzymają mocno w garści armię i flotę, a zresztą hebrioncy żołnierze i żeglarze wprost ubóstwiają Abeleyna. Tym razem to dworzani musimy się obawiać. I tu właśnie zaczyna się twoja rola, moja droga.

–Rozumiem. Mam powtarzać ludziom w pałacu uspokajające komunały.

–Tak. Czy jesteś gotowa się tego podjąć?

Ponownie spojrzała na kalekiego króla i poczuła absurdalne pragnienie, by zmierzić leżące na poduszce ciemne włosy.

–Jestem gotowa. Zresztą tego oczekiwaliby ode mnie brat.

–Świetnie. Widzę, że nie pomyliłem się w ocenie twojego charakteru.

–A jaki los by mnie czekał, gdybyś się pomylił, Golophinie?

Starzec uśmiechnął się złowrogo.

–Ten pałac stałby się twoim więzieniem.

Dla pani Jemilli pałac w rzeczy samej coraz bardziej przypominał więzienie. Już od chwili odzyskania miasta nieustannie strzeżono jej, obserwowano i kierowano jej krokami, jakby była jeńcem wojennym. Przez cały ten czas Jemilli ani razu nie udało się zobaczyć Abeleyna. Ten stary diabeł Golophin zawsze był na miejscu i nie dopuszczał jej do niego. Oznajmił, że król jest poważnie chory i nie może przyjmować nikogo poza swymi najwyższymi rangą ministrami. W pałacu jednak plotki szerzyły się niczym pożar: Abeleyn nie żył i już go pochowano, miał tak straszliwe blizny, że nie mógł się pokazać w świetle dnia, odniesione obrażenia uczyniły zeń imbecyla. Tak czy inaczej, triumwirat złożony z Rovera, Mercada i Golophina – zawsze ten Golophin – sprawował władzę w Abrusio, tak jakby jego członkowie sami nosili korony. Irytowało ją niezmiernie, że ją – kobietę noszącą w łonie królewskiego dziedzica – odpychano bezceremonialnie na bok, jakby była jakąś natarczywą dziewczką, której rosnący brzuch można po prostu ignorować. A potem, co najgorsze, przybyła astaracka księżniczka ze swym orszakiem, by poślubić ojca dziecka Jemilli. Albo przynajmniej człowieka uważanego przez wszystkich za jego ojca. W tej chwili nie miało to już znaczenia.

Z każdym dniem sprawy coraz bardziej wymykały się jej z rąk. Nie może dopuścić do tego ślubu. Dziecko musi być uznane za prawowitego dziedzica. Jeśli Abeleyn rzeczywiście był tak bliski śmierci, jak wszyscy przypuszczali, z pewnością należało rozstrzygnąć sprawę sukcesji. Czy tego nie rozumieli? A może musiała spowodować, by to sobie uświadomili?

Leżała naga na szerokim łożu w swej komnacie. Krótki dzień dobiegał już końca i w pomieszczeniu panowała ciemność, rozjaśniana jedynie blaskiem ognia płonącego na wielkim kominku, który dominował nad jedną ze ścian. Przynajmniej dali jej kwatery w pałacu. To już było coś. W blasku ognia popatrzyła na swe ciało, przebiegając po nim dłońmi, tak jak mężczyzna mógłby to zrobić z koniem, którego zamierzał kupić. Brzuch powiększył się już widocznie, a jego wypukłość psuła doskonałą poza tym symetrię jej ciała. Zmarszczyła brwi. Poród. Cóż za nieprzyjemna, bolesna sprawa. Ale jeszcze gorzej było, gdy ktoś starał się go uniknąć. Pamiętała własną krew i krzyki z tej nocy, kiedy pozbyła się pierwszego dziecka Richarda Hawkwooda. Z pewnością nic nie mogło być gorsze od tego.

Piersi stawały się coraz większe. Ujęła je w dłonie, a potem przebiegła szczupłymi palcami po brzuchu, aż ku miejscu, gdzie jej krocze porastały hebanowe loki. Pogłaskała się tam od niechcienia, zatopiona w myślach. Traktowała swe ciało jak instrument, który należało wykorzystać jak najskuteczniej. Wraz ze wszystkim, co w sobie zawierało, było ono dla niej kluczem do lepszego życia.

Poderwała się nagle, zarzuciła na siebie szatę z nalbeńskiego jedwabiu i podeszła

boso do drzwi. Odczekała chwilę, by wziąć się w garść, przypomnieć sobie słowa, które zamierzała powiedzieć, a potem gwałtownym ruchem otworzyła ciężkie wrota.

–Szybko, szybko... hej, ty!

Było dwóch strażników, nie jeden. Z pewnością złapała ich w chwili zmiany warty. Zawahała się, ale tylko na mgnienie oka.

–W mojej komnacie coś jest... szczur! Musicie to sprawdzić!

Obaj żołnierze służyli w garnizonie Abrusio, brali udział w bitwie o odzyskanie miasta. Byli prostymi, niewykształconymi rębajłami, którym nawet nie powiedziano, po co mają pilnować komnaty pani Jemilli. Wiedzieli tylko tyle, że o każdym jej ruchu należy meldować generałowi Mercado. Odsunęli się.

–Zawołam twoją służkę, pani – zaproponował jeden z nich.

–Nie, nie, durnie. Ona nie znosi szczurów, tak samo jak ja. Chodźcie tu i zabijcie go, na Boga. Jesteście mężczyznami czy nie?

Jemilla była pięknie rozczochrana, a jeden biały jak kość słoniowa bark wysuwał się spod szaty, którą ścisnęła na wysokości piersi. Obaj żołnierze popatrzyli na siebie. Jeden z nich wzruszył ramionami i razem weszli do komnaty.

Jemilla podążyła za nimi, zamykając za sobą drzwi. Żołnierze zajrzeli pod łoże i za gobeliny.

–Chyba już uciekł, pani – stwierdził jeden z nich. Potem już nie mówił nic więcej i tylko się gapił. Jemilla rzuciła szatę i stanęła przed nimi naga. Dotykała się, kołysząc się jak wierzba na wietrze.

–Minęło już tyle czasu – poskarżyła się. – Czy nie zechcecie mi pomóc?

–Pani... – odezwał się jeden z mężczyzn ochryłym głosem. Wyciągnął rękę, jakby chciał ją od siebie odepchnąć.

–Och, błagam. Zróbcie to dla mnie, tylko ten jeden raz. – Podeszła do sparaliżowanych z wrażenia wartowników. – Błagam was, żołnierze. Tylko ten jeden raz. Minęło już tyle czasu... zresztą nikt się o niczym nie dowie.

Mężczyźni popatrzyli sobie w oczy, a potem ruszyli ku niej jak wilki skradające się ku jagnięciu.

CZTERY

Ludzie osuwali się ze zmęczenia w siodłach, gdy pierwsi jeźdźcy straży przedniej ujrzeni przed sobą Staed. Corfe zarządził postój – był już środek nocy – i po uporządzeniu koni jego dzikusy padły na ziemię i zasnęły, nie zapalając nawet ognisk. Wokół obozu, w odległości stu jardów, wystawiono strażę.

Corfe, Marsch i Andruw podkradli się do wzniesienia, które osłaniało ich przed spojrzem nieprzyjaciela, i przyjrzeni się portowi w blasku gwiazd. Ścisłał siarczasty mróz i płatki śniegu mknęły z wiatrem niczym ptasie pióra. Zmarznięta ziemia była twarda jak kamień. To również miało swoją dobrą stronę – taki grunt był lepszy dla koni. Nie ma nic gorszego niż szarża kawalerii, która ugrzęzła po pęciny w błocie.

Staed było sporym portem, liczącym sobie około dziesięciu tysięcy mieszkańców, jedną z bogatych osad założonych przed stuleciami przez Fimbrian, starających się skolonizować pustkowia zdominowane wówczas przez felimbryckie plemiona. Miasto prosperowało nie najgorzej. Corfe widział potężne falochrony, osłaniające port i z górą dwadzieścia cumujących w nim statków: kardiańskich galer, zapewne wywodzących się z jednego z sułtanatów, oraz kilku karawel, małych, szybkich żaglowców, stanowiących podstawę handlu na Levangore. Nad portem górowała stara forteca, w której z pewnością książę Narfintyr urządził swą kwaterę główną, jako że było to zamczysko wzniesione przez jego przodków. W świetle gwiazd wydawało się bardzo wysokie. Zbudowano je jeszcze przed wynalezieniem artylerii. W dzisiejszych czasach mury były za niskie i za cienkie, by mogły się oprzeć ostrzałowi. Ale w tej twierdzy nie zmieściłoby się nawet trzystu ludzi, nie wspominając już o trzech tysiącach. Gdzie ich zakwaterował?

Corfe i jego towarzysze leżeli na twardej ziemi, a zimno powoli wnikało w ich ciała, studzone dodatkowo przez metalowe zbroje. Świat był wielki, mroźny i skąpany w blasku gwiazd. W miasteczku i w górującym nad nim zamku paliło się niewiele światła, ale poza tym na całej uśpionej Ziemi było ciemno jak w jaskini.

Ta kraina była ongiś ojczyzną Corfe'a. Urodził się w wieśniaczej chacie niespełna sześć mil od miejsca, w którym teraz leżał. Był synem wieśniaka przez czternaście lat, a potem podążył do Torunnu za maszerującymi na północ *tercios*, żeby zostać żołnierzem. Oddał się jednemu zajęciu, jakim pozwalano się parać najniższej urodzonej klasie mieszkańców Torunnu, tym którzy byli przywiązani do ziemi i zmuszeni do służby feudalnym panom. Biedacy mieli do wyboru: albo żołnierkę, albo poddaństwo. Wydawało mu się, że upłynął już wiek od owego ostatniego poranka na gospodarstwie. Świat był wówczas młody. Corfe nie dostrzegał w mrocznych wzgórzach nic znajomego, nie przypominał sobie żadnych szczegółów. Pamiętał tylko matkę, drobną i cierpliwą, oraz ojca, małomównego, szerokiego w ramionach

mężczyznę, który pracował ciężiej niż ktokolwiek, kogo Corfe w życiu spotkał, który nie powstrzymał jedynego syna przed zostaniem żołnierzem, choć oznaczało to, że nie będzie miał nikogo, kto opiekowałby się nim na stare lata.

Stare lata. Oboje nie żyli już od dziesięciu lat, zniszczeni przez nieustanną harówkę. Umarli w czwartej dekadzie życia, by szlachetnie urodzeni, tacy jak Narfintyr, mogli oddawać się łowom, popijać dobre wino i wzniecać bunty. Tak właśnie był urządzone świat. O ironio, tym razem to chłopski syn prowadził do boju armię mającą zniszczyć szlachcica. Corfe napawał się słodyczą tej myśli.

Dzięki swemu sokolemu wzrokowi to Marsch wypatrzył nieprzyjacielski obóz. Luźno rozrzucone ogniska paliły się na stoku na południe od miasta. Nie dostrzegało się w nich żadnego kształtu, żadnej regularności. Równie dobrze mogły być iskierkami spadłymi z nieba, z kuźni jakiegoś boga. Corfe przyjrzał się im z lekkim zdziwieniem.

–W tym obozie brakuje jakiegokolwiek dyscypliny. Cholera, do tego zajmuje prawie pół mili. Co sobie wyobrażają ich oficerowie?

–W zamku są ludzie – odezwał się cicho Andruw. – Widać światła i tak dalej. Jak myślisz, czy Narfintyr tam siedzi, czy jest w polu ze swoimi żołnierzami?

–Noc jest zimna – odparł z uśmiechem Corfe. – Gdzie byś wolał ją spędzić, gdybyś wywodził się ze starej szlachty? A jeśli starsi rangą oficerowie schronili się przed zimnem razem z nim, to tłumaczyłoby panujący w obozie nieład. Ale czy on nie słyszał, że zbliża się do nich wroga armia? Spanie z dala od swoich ludzi to zbrodnicza niedbałość ze strony dowódcy, nawet jeśli jest twardogłowym szlachcicem.

–W ciągu ostatnich osiemnastu godzin pokonaliśmy sześćdziesiąt mil – przypomniał mu Andruw. – Niewykłuczone, że ich zaskoczyliśmy. Może spodziewają się tylko kolumny Arasa i nikogo więcej, a ona wciąż jest jakieś siedemdziesiąt pięć mil za nami. Przy ich tempie to tydzień marszu.

Corfe zastanowił się nad tymi słowami. Im dłużej myślał, tym bardziej był przekonany, że musi działać natychmiast. W tej chwili. Jeśli odłoży atak na następny dzień, istniało bardzo poważne zagrożenie, że jego ludzie zostaną odkryci, co pozbawiłoby ich przewagi płynącej z zaskoczenia, która miała kluczowe znaczenie w walce z tak zdecydowanie liczniejszym przeciwnikiem.

–Zaatakujemy dziś w nocy – oznajmił.

Andruw jęknął.

–Chyba nie mówisz poważnie. Ludzie nie spali od dwóch dni. Przed chwilą ukończyliśmy piekielnie trudny, forsowny marsz. Na Boga, Corfe, to tylko ludzie z

krwi i kości!

–Właśnie dla zaoszczędzenia ich krwi pragnę uderzyć dzisiaj. Kiedy już rozbijemy Narfintyra, będą mogli się wyspać do woli.

–Pułkownik ma rację – poparł go Marsch. – Mamy nieprzyjaciela tam, gdzie chcemy go mieć. Taka okazja może się już nie powtórzyć. To musi nastąpić dziś w nocy.

–Na krew Boga, ależ z was para śmiazków – mruknął zrezygnowany Andruw. – To jak wygląda plan, Corfe?

Pułkownik milczał przez dłuższą chwilę, obserwując bezładne skupisko ognisk płonących w nieprzyjacielskim obozie. Rozbito go na niewysokim wzgórzu – mieli przynajmniej tyle rozsądku, żeby wybrać wyżej położony teren – ale jeśli wyteżył wzrok, zdołał wypatrzeć za obozowiskiem plamę głębszej ciemności. Mały lasek. Zapewne wybrali to miejsce po to, by nie musieć chodzić daleko po drewno. Coś połączyło się w całość w umyśle Corfe'a.

–Polowałeś kiedyś na dziki w lesie, Andruw? – zapytał wreszcie.

Gwiazdy przesuwaly się na niebie i robilo się coraz zimniej. Minęły dwie godziny, nim szwadrony zajęły pozycje. Ludzie chwiali się na nogach ze zmęczenia. Zgodnie z planem Corfe'a połowa oddziału miała atakować na piechotę. Pułkownik siedział na koniu, obserwując swych ludzi. Przyszło mu na myśl, że to jeden z najtrudniejszych i najbardziej nużących elementów sztuki wojennej. Nocny marsz, gdy ciało i umysł są pijane z wyczerpania. Ludzie potrafią spać podczas marszu, budząc się dopiero, gdy kolana zaczynają się pod nimi uginać. Widzą wówczas jasne światła i miewają halucynacje. Cienie przeradzają się w żywe istoty, drzewa zaczynają chodzić. Sam kiedyś to przeżywał i miał nadzieję, że nie zmusił podążających za nim z ochotą dzikusów do nadmiernego wysiłku.

Otaczały go cztery szwadrony. Dwustu konnych siedziało na swych wierzchowcach, nieruchomo niczym posągi. Oddechy ich rumaków wypełniały mroźne, nocne powietrze obłokami pary. Dzięki Bogu za to, że mieli konie na zmianę. Każdy z jeźdźców dosiadał w miarę świeżego wierzchowca. W obozie zostało tylko dziesięciu ludzi pilnujących reszty koni oraz taboru. Jak zwykle, stawiał wszystko na jedną kartę. Miał za mało ludzi, żeby postąpić inaczej.

Jego konnica ustawiła się w dwuszeregu na stoku położonym na północ od nieprzyjacielskiego obozu, pomiędzy nim a przedmieściami Staed. Widział stąd morze, błyszczące pod pogodnym, nocnym niebem po lewej stronie. Jakieś pół mili przed nim paliły się setki ognisk, dogasających już w miarę zbliżania się świtu.

Reszta jego ludzi, piesi, powinna już zajmować pozycje na południe od nieprzyjacielskiego obozu. Dowodzili nimi Marsch i Andruw. Lasek ukryje ich przed oczyma wroga. Północny skraj stanie się dla nich punktem wyjścia. Byli naganiaczami, ich zadanie polegało na posianiu zamętu w szeregach nieprzyjaciela, wywabieniu go z obozu na otwartą przestrzeń, tak jak wypłasza się dzika z leszczynowego gaju prosto na włócznie myśliwych. Corfe nie miał odwodów. Wszystko opierało się na szybkości, ciemności, zaskoczeniu oraz nieokiełznanej gwałtowności jego ludzi.

Zaczęło się. Noc wypełniła fala wrzasków, przeraźliwych i mrozących krew w żyłach okrzyków wojennych Felimbrich. Wierzchowiec Corfe'a zadrżał i zaczął się wiercić pod nim, słysząc te odległe głosy. Skupieni wokół niego jeźdźcy wyprostowali się w siodłach, zapominając o zmęczeniu.

Marsch i Andruw byli już w nieprzyjacielskim obozie. Ludzie z pewnością wypadali w panice z namiotów, na wpół pogrążeni we śnie. Szukali na oślep broni w rozświetlanym tylko blaskiem ognisk mroku, uciekając przed nieznanymi napastnikami. Nie było czasu, żeby włożyć zbroje ani ustawić się w szyk. Ich

oficerowie nie mieli szans. Gdyby któremuś z nich udało się choć w części opanować sytuację, Marsch i Andruw mieli rozkaz natychmiast ich wyeliminować, zmiażdżyć wszelkie zaczątki zorganizowanego oporu. Poza tym ich zadaniem było jedynie posianie paniki w nieprzyjacielskich szeregach, zmuszenie wroga do ucieczki na północ. Prosto w ramiona Katedralników Corfe'a.

Wystrzeliło kilka arkebuzów: błyski, a po nich huk. Krzyki były coraz głośniejsze. Ludzie wrzeszczeli ze strachu, bólu i gniewu. W rzedniejącej ciemności zapłonęły jasne ognie. Ktoś podpalał namioty. Na tle płomieni było widać biegnące postacie. Ich sylwetki przesłaniały obozowe ogniska. To właśnie będzie najtrudniejsza część planu: ocenić, kiedy nieprzyjaciel znajdzie się na otwartej przestrzeni, wystarczająco daleko od obozu, by szarża Corfe'a nie zepchnęła go z powrotem pomiędzy namioty. Pułkownik już ich widział. Ludzie uciekali bezładnym strumieniem. To była raczej tłuszcza niż armia. Setki mężczyzn biegły na północ, w stronę miasta, a dzikusy deptały im po piętach, nie dając chwili wytchnienia, pozwalającej im ustawić się w szyk. W panującym zamieszaniu nawet nie zauważyli, że jest ich więcej niż napastników.

Teraz. Corfe miał nadzieję, że jego ludzie rozpoznają sygnał, jakiego próbowali ich nauczyć z Andruwem. Spojrzał na Cerne'a, krzepkiego dzikusa, który zajął miejsce u jego prawego boku.

–Zagraj sygnał do ataku.

Cerne oblizał wargi i uniósł do ust myśliwski róg. Instrument nie był ortodoksyjną kawaleryjską trąbką, ale spełniał swoje zadanie. Przy tym wydawało się w jakiś sposób odpowiednie, żeby tych ludzi wzywał do boju czysty i głośny dźwięk łowieckiego rogu, który znali z rodzinnych gór.

Pierwszy szereg ciężkozbrojnej konnicy ruszył naprzód, najpierw stępa, a potem kłusem. Nocne powietrze wypełnił brzęk metalu, stłumione parskanie koni oraz dźwięk przypominający niskie buczenie: tętent niezliczonych kopyt uderzających o twardą ziemię.

Corfe wysunął się przed swych ludzi, unosząc lancę. Musiał dopilnować, by się nie rozproszyli, zachować spójność oddziału aż do ostatniej chwili, tak jak zaciska się w pięść palce przed zadaniem ciosu. Utrzymywanie szyku podczas szarży było dla nich nowością i mimo że uczył ich tego podczas marszu na południe, nie był pewien, czy nie zapomną o ćwiczeniach, ogarnięci szalem nadchodzącej bitwy. Dlatego wysunął się naprzód, by mogli skupić na nim uwagę.

Galop. Ich szereg nie był już taki wyrównany. Niektórzy ludzie wysuwali się przed innych, a ich wierzchowce obijały się czasem o siebie. Nieprzyjaciel był czarnym tłumem pozbawionych twarzy postaci dwieście jardów przed nimi. Wciąż jeszcze

walczył z ludźmi Marscha i Andruwa, którzy naciskali nań od tyłu. Sylwetki rysowały się wyraźnie na tle pożaru. Blask płomieni z pewnością oślepił wrogów, którzy nie będą w stanie zauważyć, co zbliża się do nich pod osłoną nocy. Usłyszą jednak tętent i zatrzymają się, wystraszeni i porażeni niepewnością.

–Szarża! – krzyknął Corfe, pochylając lancę.

Cerne zagrał złożony z pięciu tonów myśliwski hejnał z cymbryckiego pogórza. Jeźdźcy spięli wierzchowce ostrogami, przechodząc w pełen cwał. Lance pochyliły się niczym płot z drewna i żelaza.

Corfe czuł, jak jego wierzchowiec pokonuje niewielkie zagłębienia, podążając za ukształtowaniem terenu. Jeden z koni się potknął – Corfe zauważył to kątem oka – i runął na ziemię z głośnym kwikiem. Być może wpadł w króliczą norę. Byli ślepi na to, co znajduje się pod kopytami ich wierzchowców: nieprzyjemne wrażenie dla jeźdźca, zwłaszcza takiego, który musi dźwigać pancerz i lancę, a pole widzenia ogranicza mu masywny, żelazny hełm. Jego ludzie utrzymali jednak szyk, wykrzykując swój nieziemski, przenikliwy zew bojowy. Stu ciężkozbrojnych jeźdźców na stu masywnych rumakach trzymało lance na wysokości piersi. Uderzyli w nieprzyjaciela całym impetem niczym żelazna apokalipsa wypadająca z mroku. Tratowali wrogich żołnierzy, przebijali ich lancami, miażdżyli, zwalali z nóg.

Corfe widział teraz wyraźniej. Pożar obozu zamienił noc w chaotyczny, rozświetlony żółtym blaskiem cyrk pełen kłębiących się cieni, błysków stali, przelotnie dostrzeganych twarzy ludzi, którzy padali na ziemię tratowani kopytami, przebijani lancami bądź rąbani mieczami.

Nie było zorganizowanego oporu. Nieprzyjaciel nie zdołał sformować szyku. Konni wojownicy polowali na wrogów jak na zwierzęta, przebijając ich lancami i zwalając z nóg. To była zwyczajna rzeź. Ci, którzy zdołali, uciekali przez luki w pierwszym szeregu Corfe'a. Rozbił się on teraz na grupki przedzierających się przez tłum jeźdźców. Tłok powstrzymał szarżę. Zbiegowie pędzili tam, gdzie spodziewali się znaleźć ocalenie: na północ, w stronę Staed i zamku swego pana.

I na tych chwiejących się na nogach niedobitków uderzył drugi szereg konnicy Corfe'a pod dowództwem chorążego Ebro. Jeźdźcy wypadli z mroku pełnym cwałem – kolejna głośna fala olbrzymich cieni, z których wyłoniły się gniewne oczy, kopyta i ostre, bezlitosne żelazo. Wydawało się, że to nie kawalerzyści, ale jakieś straszliwe połączenie ludzi i zwierząt, wywodzące się z koszmarne mitu. Przebili się przez tłum, rzucając na ziemię połamane lance i wyciągając miecze, by uderzać nimi na lewo i prawo, podczas gdy szkolone rumaki stawały dęba, gryzły i kopały, wspomagając swych jeźdźców.

Corfe nie był zaskoczony, gdy usłyszał, że niektórzy z jego ludzi śmieją się głośno,

kręcąc się wkoło i bez wytchnienia siejąc śmierć ciosami miecza. Zapomnieli o zmęczeniu, ich krew zawrzała pod wpływem tego niezwykłego, niefrasobliwego uniesienia, które niekiedy nawiedza ludzi podczas walki. Byli urodzonymi jeźdźcami, mieli dobre wierzchowce i starli się z nieprzyjacielem. Robili to, do czego stworzyła ich natura. Corfe uświadomił sobie w tej chwili, że ta garstka stanowi załóżek potencjalnie wielkiej armii, zdolnej przeciwstawić się nawet fimbriańskim *tercios*. Z dziesięcioma tysiącami takich ludzi mógłby zetrzeć z powierzchni Ziemi każdego, kto stanie mu na drodze.

Słońce wynurzyło się wreszcie z błyszczącego morza, otoczone krwawą plamą chmur. W kotlinach między wzgórzami utrzymywał się jeszcze cień, a nad ziemią wisiała mgła, przesłaniająca pole bitwy niczym całun zaciągnięty ze względów przyzwoitości. Zimny, szary poranek i pokłosie nocy.

Był Andaon, pierwszy dzień roku Świętego 552.

Na polu leżało z górą siedemset trupów, w tym tylko trzydziestu ludzi Corfe'a. Armia księcia Narfintyra została doszczętnie zdruzgotana. Wzięli ponad tysiąc jeńców, a ponadto dopadli i wytłukli wiele dziesiątków uciekinierów, nim ci zdążyli dotrzeć do przedmieść Staed. Kilkuset nieprzyjaciół zdołało odzyskać choć strzępy dyscypliny i przedrzeć się na swobodę. Przebywali teraz pośród wzgórz, a drogę do miasta zagradzała im ciężka jazda. Mogli sobie tam zostać. Ludzie Corfe'a mieli zapadnięte oczy i dygotali ze zmęczenia. Podniesiony podczas walki poziom adrenaliny szybko opadał. Stracili też mnóstwo koni: pole bitwy zaścieniały trupy z górą osiemdziesięciu wielkich rumaków.

Corfe przystanął obok swego drżącego, buchającego parą wierzchowca. Wykrzywił twarz, widząc, że uderzenie miecza odcięło z barku zwierzęcia płac ciała. To była najgorsza chwila, chwila, której nienawidził: gdy bitewna chwała ustępowała miejsca rannym ludziom i zwierzętom oraz rozdygotanemu wyczerpaniu. Gdy trzeba było spojrzeć w zmasakrowane, wykrzywione oblicza poległych i rozpoznać w nich własnych rodaków, zabitych dlatego że rozkazano im opuścić ich małe gospodarstwa i walczyć za ambicje szlachetnie urodzonych panów.

Podszedł do niego Andruw. Miał gołą głowę, a jego blond włosy były ciemne od potu. Był znacznie mniej ożywiony niż zwykle.

–Biedne skurczybyki – mruknął, trącając stopą ciało martwego chłopca. Miał nie więcej niż trzynaście lat.

–Powieszę Narfintyra, jeśli zdołam go złapać – zapowiedział cicho Corfe.

Andruw pokręcił głową.

–Ptaszek wyfrunął z gniazdka. Wsiadł na statek, gdy tylko do miasta dotarły wieści o bitwie. Jest już daleko na morzu. Połowa jego domowników uciekła razem z nim. Zapewne zmierzają do jednego z sułtanatów. Co za śmierdziel. Ale przynajmniej wykonaliśmy swoją robotę.

–Wykonaliśmy – zgodził się Corfe.

–Nocna szarża kawalerii – ciągnął Andruw. – Zapisaliśmy się w historii.

Corfe potarł oczy, naciskając je kłykcikami dłoni tak mocno, że aż mu zamigotało pod powiekami. Zmęczenie było jak przemoczony koc zwisający z ramion. On i jego ludzie stali się powłóczącymi nogami zjawami, słabym wspomnieniem o krwiożerczych demonach, w jakie przerodzili się podczas walki. Dwustu z nich pilnowało jeńców, którzy, utykając, wlekli się w stronę miasta, inni zajęli się rannymi towarzyszami albo przeszukiwali pole bitwy, by się upewnić, że nie przeoczyli kogoś, kto nadal żyje. Jeszcze inni, pod dowództwem Ebra, zajmowali właśnie zamek Narfintyra ze wszystkim, co się w nim znajdowało, zakładali prowizoryczny szpital polowy i gromadzili wszelkie zapasy, jakie tylko można było znaleźć w Staed. Mieli tyle rzeczy do zrobienia. Porządki po bitwie zawsze były znacznie trudniejsze niż przygotowania do niej. Tyle rzeczy do zrobienia... ale zwyciężyli. Pokonali siły wielokrotnie liczniejsze od ich oddziału, do tego tak niewielkim kosztem, że zakrawało to niemal na nieprzyzwoitość. To nie była bitwa, lecz masakra.

–Widziałeś kiedyś takich ludzi? – zapytał Andruw ze zdumieniem w głosie. Gapił się na Katedralników, którzy włóczyli się po polu bitwy, prowadząc wyczerpane wierzchowce. Ich wykonane we wschodnim stylu zbroje wywierały dziwne, barbarzyńskie wrażenie. W blasku poranka wyglądali jak istoty z innego świata.

–Taką jazdę? Nigdy. Torunnańscy kirasjerzy wydają się przy nich małymi dziećmi. Mają w sobie jakąś taką... energię. Coś, z czym nigdy jeszcze się nie spotkałem.

–Dokonałeś odkrycia, Corfe – stwierdził Andruw. – Nie... raczej coś stworzyłeś. Udało ci się połączyć dzikość z dyscypliną, a suma tego jest czymś przerażającym. Czymś nowym.

Obaj byli pijani. Pijani zmęczeniem i zabijaniem. A być może także czymś więcej.

–W mieście czeka na nas kilku ocalałych miejscowych notabli – poinformował go Andruw bardziej dziarskim tonem. – Chcą złożyć broń i prosić o pokój. Opuściła ich ochota do walki.

–Czy wiedzą, jak niewielu nas jest i w jak kiepskim jesteśmy stanie?

Andruw uśmiechnął się złowrogo.

–Myślą, że mamy dwa tysiące ludzi, a każdy z nich to wyjący diabeł. Nie mają nawet pojęcia, z jakiego kraju pochodzimy.

–Utrzymajmy ich w nieświadomości. Na Boga, Andruw, jestem słaby jak kot, ale czuję się jak pan świata.

–Zwycięstwo tak działa na ludzi – zgodził się z uśmiechem Andruw. – Ja chcę tylko

się wykąpać, a potem znaleźć jakiś ką, żeby się położyć.

–Będziesz musiał trochę z tym poczekać. Przed nami dzień pełen zajęć.

Albrec nie miał dotąd okazji bliżej poznać żadnych żołnierzy, nawet Ahnarkan z charibońskiego garnizonu. Zakładał, że wszyscy oni są prości, nieokrzesani, hałaśliwi i pewni siebie. Ci Fimbrianie byli jednak inni.

Niebosiężne góry z obu stron szlaku przykrywała oślepiająco biała czapa śniegu. Wiatr unosił jego proporce i chorągwie z turni Gór Cymbryckich po prawej i Thurianu po lewej. To był Przesmyk Torrinu, miejsce gdzie zachód spotykał się ze wschodem, starożytna trasa, którą od stuleci zwykły zmierzać armie.

Fimbrianie maszerowali już niegdyś tą drogą, we wczesnych dniach imperium. Byli wówczas niespokojnym ludem, gnany niezaspokojoną ciekawością. Wysyłali ekspedycje na północny wschód, na niezmierzone pustkowia Równin Toriańskich, gdzie obecnie pasły się stada almarkańskich koni. Byli pierwszymi cywilizowanymi ludźmi, którzy przekroczyli Searil, docierając na ziemie zwane dziś północną Toruną. Ich zwiadowcy i botanicy sforsowali również góry południowego Thurianu i doszli tam, gdzie teraz leżał Ostrabar. Byli ongiś narodem skłonny do nieustannego zadawania pytań i pewnym swego miejsca na świecie. Albrec znał historię. Jako pomocnik bibliotekarza w Charibonie miał okazję przestudiować niezliczone woluminy mówiące o czasach Hegemonii Fimbriańskiej. Zdawał sobie sprawę, że zachodni świat, taki jakim był teraz, stworzyli w znacznej mierze Fimbrianie. Wszystkie ramusiańskie królestwa stanowiły niegdyś prowincje ich imperium. Stolice zachodnich królów zbudowali fimbriańscy architekci, a trakty Normanii służyły w tych odległych czasach do tego, by przyspieszyć marsz fimbriańskich *tercios*.

Dlatego odnosił osobliwe wrażenie, że cofnął się w czasie, znalazł w jakimś minionym stuleciu, gdy obleczeni w czerń pikinierzy z elektoratów sprawowali władzę nad całym zachodem. Towarzyszył fimbriańskiej armii maszerującej na wschód. Takiego wydarzenia nie widziano od czterystu lat. Czuł się dziwnie uprzywilejowany, jakby pozwolono mu na chwilę ujrzeć szeroki świat, w którym charibońskie rytuały były pozbawionym znaczenia przeżytkiem.

Nie miał jednak pewności, co ma myśleć o tych twardoliczych mężczyznach, którzy zostali teraz jego towarzyszami podróży. Byli poważni jak mnisi, tak lakoniczni, że można ich było nazwać niemal milczkami, a mimo to cechowali się wielką szczodrością. Dali mu i Avili pełne zimowe stroje oraz zapasy na podróż. Obaj jechali na mułach z taboru, podczas gdy wszyscy żołnierze szli piechotą, nawet ich dowódca Barbuis. Wojskowi lekarze opatrzyli im rany sprawnie i delikatnie, a ponieważ sami nie potrafili sobie poradzić z gotowaniem posiłków, robili to dla nich nocami Joshelin i Siward, dwaj żołnierze, którym najwyraźniej zlecono opiekę nad nimi: starsi już mężczyźni oddelegowani z pierwszego szeregu do taborów, którzy

przyjęli to nowe zadanie bez szeptu sprzeciwu.

–Fimbriańskie społeczeństwo musi być naprawdę niewiarygodne – oznajmił przyjacielowi Avila, gdy obaj jechali blisko końca ciągnącej się na milę kolumny.

–A to dlaczego? – zainteresował się Albrec.

–No cóż, o ile się nie mylę, nie mają tam szlachty. Dlatego właśnie ich przywódców zwą elektorami. Urządzają tam serię wieców, na których zgłasza się kandydatów, i wszyscy mężczyźni głosują na swych przywódców, a każdy głos jest wart tyle samo, bez względu na to, czy ktoś jest kowalem, czy właścicielem ziemskim. To czysta anarchia.

–Dziwne – zgodził się Albrec. – Równość wszystkich mężczyzn. Zauważyłeś, jak swobodnie i bezceremonialnie rozmawiają z naszym przyjacielem, marszałkiem Barbiusem? On nie ma też świty godnej tej nazwy, służących ani strażników osobistych. I obywa się bez żadnej pompy. Jedyłą oznaką jego stanowiska jest namiot, w którym spotykają się starsi rangą oficerowie. Gdyby nie fakt, że wszyscy robią, co im rozkaże, nie byłoby żadnej różnicy między nim a najskromniejszym żołnierzem.

–To niewiarygodne – zgodził się Avila. – Nigdy nie zrozumiem, w jaki sposób udało się im podbić świat. Czy zawsze byli tacy, Albrecu?

–Mieli kiedyś cesarzy, i to właśnie kwestia wyboru ostatniego z nich popchnęła elektoraty do wojny domowej, która dała prowincjom szansę wywalczenia niezależności i przerodzenia się w Siedem Królestw.

–Co się wydarzyło?

–Cesarz Arbius Menin był umierający i chciał, żeby syn został jego następcą, mimo że był on tylko ośmioletnim chłopcem. Synowie następowali już przedtem po ojcach, ale zawsze dotąd byli to dorośli mężczyźni o sprawdzonych zdolnościach, nie dzieci. Pozostali elektorzy nie chcieli się na to zgodzić i doszło do wojny. Fimbrianie walczyli z Fimbrianami, a imperium rozpadło się na części. Narbosk całkowicie oderwał się od Fimbrii i stał się niezależnym państwem, którym jest po dziś dzień. Inne elektoraty doszły w końcu do porozumienia i próbowały odzyskać dawne prowincje, ale utraciły zbyt wielu ludzi i nie miały już na to sił. Miejsce imperium zajęło Siedem Królestw. Świat się zmienił i nie było już drogi powrotu. Fimbria zamknęła się w sobie i przestała interesować czymkolwiek, co działo się poza jej granicami.

–Do tej pory – wskazał ponurym tonem Avila.

–Tak. Do dzisiejszego dnia.

–Ciekawe dlaczego zmienili zdanie?

–Kto wie? Mamy szczęście, że tak się stało.

Podszedł do nich prowadzący muły Joshelin. Jego ogorzała twarz była zaczerwieniona od zimna i szybkiego tempa marszu.

–Mówisz jak uczony historyk – oznajmił Albrecowi. – Myślałem, że jesteś mnichem.

–Przeczytałem wiele ksiąg.

–Naprawdę? A co z tą księgą, którą tak bardzo chcieliście odzyskać z namiotu marszałka? Czy warto ją przeczytać?

–Jej treść nie powinna cię obchodzić – warknął ze złością Avila.

Joshelin tylko zerknął na niego.

–Wyłącznie ignoranci są zbyt biedni, żeby pozwolić sobie na uprzejmość, inicjancie – odparł, a potem zwolnił, tak że obaj mnisi znowu go wyprzedzili.

Albrec dotknął starożytnego dokumentu, który znowu nosił ukryty pod płaszczem. Barbius zwrócił go im, nawet nie pytając o jego treść. Mały mnich odniósł wrażenie, że fimbriański marszałek ma na głowie bardzo wiele spraw. Każdego dnia przybywali i odjeżdżali kurierzy – jedyni Fimbrianie, którzy jeździli konno – i obozowe pogłoski zapewniały, że przynoszą oni wieści od generała Martellusa z Wału Ormanna i te wieści nie są dobre.

Wkrótce nadejdzie czas, gdy obaj mnisi będą musieli rozstać się z armią i ruszyć na własną rękę w stronę Torunnu, podczas gdy kolumna pomaszeruje dalej wschodnim traktem, ku Searilowi i granicy. Albrec układał już w myślach przemowę, którą wygłosi przed wielkim pontyfikiem Macrobiusem. Związana z dokumentem odpowiedzialność ciążyła mu niczym kamień młyński. Był tylko skromnym antylianinem. Pragnął oddać dokument komuś innemu, któremuś z wielkich tego świata, żeby on poniósł za niego to brzemie. Było za ciężkie, by zdołał dźwigać je sam.

Obaj duchowni zmierzali na południowy wschód, eskortowani przez całą armię. Minęły trzy kolejne dni jazdy na złośliwych mułach, siedzenia razem z żołnierzami przy palonych nocą ogniskach, opatrywania ich powoli gojących się ran przez wojskowych lekarzy. Fimbrianie już niemal sforsowali Przesmyk Torrinu i weszli na teren samej Torunny, rozległej, pagórkowatej krainy przecinanej przez koryto Torrinu, rzeki, która ciągnęła się przed nimi przez trzysta mil, aż ku Morzu Kardiańskiemu. Okolica była rzadko zaludniona, gdyż znajdowała się zbyt blisko nadciągających z gór śnieżyc oraz felimbryckich łupieżców, którzy po dziś dzień

nieraz zjeżdżali cwałem z gór w ślad za nimi. Najludniejsze miasta i osady Torunny leżały na wybrzeżu. Staed, Gebrar, Rone, nawet sam Torunn, były portami, bronionymi od wschodu przez fale Morza Kardiańskiego. W centralnej części królestwa nadal można było znaleźć rozległe pustkowia, a także góry, w które nie zapuszczał się nikt poza myśliwymi oraz królewskimi poszukiwaczami i inżynierami, wypatrującymi złóż rudy, zamienianej następnie w wojskowych odlewniach w broń, zbroje i działa.

Fimbrianie zostawili wreszcie śnieżną krainę za sobą. Maszerowali teraz po porośniętych sosnami stokach. Roilo się tu od zwierzyny: antylop, dzikiego bydła i dzikich koni. Barbius pozwolił grupom myśliwych odłączyć się od kolumny, by zdobyć trochę mięsa dla uzupełnienia monotonnych wojskowych racji. Nie widzieli jednak żadnych Torunnan, rodowitych mieszkańców królestwa. Kraina była całkowicie opustoszała, jak nietknięte ludzką stopą pustkowia. Tylko starożytny trakt, którym zmierzali, świadczył, że kiedyś docierali tu ludzie.

W końcu jednak doszli do rozwidlenia. Jedna gałąź szlaku prowadziła na wschód, a druga niemal prosto na południe. Wschodni trakt przechodził przez Torrin i niknął za horyzontem. Po około stu osiemdziesięciu milach kończył się w fortecy Wału Ormanna, do której zmierzała armia. Południowy natomiast wił się przez całe trzysta mil, nim wreszcie docierał do bram stolicy Torunny.

Tej nocy armia rozbiła obóz na rozstajach. Albreca i Avilę zaproszono do namiotu marszałka. Odchylili skórzaną połę i zobaczyli czekającego na nich Barbiusa. Marszałek nie był jednak sam. Towarzyszyli mu Joshelin i Siward, a także młody oficer, którego nie znali.

–Usiądźcie, ojcowie – poprosił Barbius tonem tak życzliwym, jak tylko było to w jego przypadku możliwe. – Żołnierze mogą stać. Joshelina i Siwarda już znacie. Byli waszymi... aniołami stróżami od pewnego czasu. To jest Formio, mój adiutant.

Formio był wysokim, szczupłym mężczyzną. Zbliżał się do trzydziestki, ale w porównaniu ze swymi towarzyszami wyglądał bez mała na chłopca, być może dlatego że brakowało mu tradycyjnej byczej budowy, typowej dla większości Fimbrian.

–Nadeszła pora rozstania – kontynuował Barbius. – Rankiem kolumna ruszy w dalszą drogę w stronę Wału Ormanna, a wy pójdziecie na południe, do Torunnu. Joshelin i Siward będą wam towarzyszyli. Pośród tych wzgórz nigdy nie brakowało zbójców, a teraz, gdy Aekir padł i na wschodzie trwa wojna, jest ich więcej niż kiedykolwiek. Ci dwaj żołnierze będą waszymi strażnikami i zostaną z wami dopóty, dopóki będziecie ich potrzebować.

Albrec zerknął ukradkiem na Joshelina i posiwiały weteran odwdzieczył mu się złowrogim spojrzeniem. Najwyraźniej nie był zachwycony tym pomysłem, nie odezwał

się jednak ani słowem.

–Dziękuję – powiedział mnich.

Marszałek nalał trochę wina do cynowych kubków, jedynych naczyń, jakie mieli w obozie. Gdy on i obaj mnisi popijali trunek, Formio, Joshelin i Siward wpatrywali się w pustkę z nieobecny wyrazem twarzy, charakterystycznym dla żołnierzy czekających na rozkazy. Zapadła długa, krępująca cisza. Marszałek Barbius wyraźnie nie był zwolennikiem towarzyskich rozmów. Wydawało się, że coś zaprzęta jego uwagę, jakby połową umysłu przebywał gdzie indziej. Jego adiutant również był dziwnie spokojny, nawet jak na Fimbrianina. Albrec odnosił wrażenie, że obu im ciąży jakaś tajemnica, którą nie ważą się podzielić z innymi.

–Zostaje mi tylko życzyć wam szczęśliwej podróży i powiedzieć: „Idźcie z Bogiem” – oznajmił wreszcie Barbius. – Cieszę się, że obaj wróciliście do zdrowia. Mam nadzieję, że wasza podróż zakończy się tak, jak byście tego pragnęli. Mam nadzieję, że wszyscy...

Wpatrzył się w swój kubek. W słabo oświetlonym namiocie wino wydawało się czarne jak zakrzepła krew.

–Nie będę wam przeszkadzał w udaniu się na spoczynek, ojcowie. To by było wszystko.

Odwrócił się w stronę stołu, zapominając o obu mnichach. Joshelin i Siward wyszli bezgłośnie. Avila wyglądał na rozwścieczonego tą krótką odprawą, ale dopił wino, wymamrotał coś o „manierach” i opuścił namiot w ślad za dwoma żołnierzami. Albrec zwlekał jeszcze przez chwilę, choć nie był właściwie pewien dlaczego.

–Czy wieści z wału są złe, marszałku? – zapytał.

Barbius odwrócił się, jakby zaskoczony tym, że Albrec jeszcze tu jest.

–To sprawa dotycząca wojskowych władz tego świata – zauważył z ironią w głosie.

–A co mam powiedzieć władzom Torunny, jeśli mnie o to zapytają? – nie ustępował Albrec.

–Władze Torunny z pewnością są dobrze poinformowane i nie muszą pytać o informacje zbiegłego mnicha, ojcze – wtrącił młody adiutant, Formio. Wypowiedział te słowa z uśmiechem, chcąc złagodzić ich wymowę. Pod tym względem również nie był typowym Fimbrianinem.

–Codziennie wysyłam im komunikaty, dzięki którym są dobrze zorientowani – dodał Barbius. Nagle się zawahał. Albrec wyczuwał, że dręczy go jakiś straszliwy ciężar.

–Co się stało, marszałku? – zapytał cicho mały mnich.

–Wał już jest stracony – wyznał wreszcie Barbius. – Torunnański dowódca, Martellus, nakazał jego ewakuację.

–Ale dlaczego? – zapytał wstrząśnięty Albrec. – Czy go zaatakowano?

–Niezupełnie. Wielka merducka armia wylądowała na brzegach Torunny na południe od ujścia Searilu. Wał oskrzydłono. Martellus próbuje wycofać swych ludzi – jest ich wszystkiego jakieś dwanaście tysięcy – i doprowadzić ich do Torunnu, ale znalazł się w kleszczach. Prowadzi zbrojny odwrót od brzegów Searilu, naciskany przez armię, która stała pod wałem, podczas gdy nowe nieprzyjacielskie siły maszerują z południa, by przeciąć mu drogę. – Barbius przerwał. – W związku z tym doszedłem do wniosku, że charakter mej misji uległ zmianie. Moim zadaniem nie jest już wzmocnienie obrony wału, ponieważ on przestał istnieć. Muszę zaatakować tę drugą merducką armię i spróbować powstrzymać ją na czas wystarczająco długi, by ludzie Martellusa mogli uciec do stolicy.

–A jaka jest liczebność tej drugiej armii? – zapytał Albrec.

–Może ze sto tysięcy ludzi – odparł bezbarwnym głosem Barbius.

–To niedorzeczne! – sprzeciwił się mnich. – Ty masz ich dwadzieścia razy mniej. To samobójstwo.

–Jesteśmy fimbriańskimi żołnierzami – przypomniał Formio, jakby to wszystko wyjaśniało.

–Wytną was w pień!

–Może tak, a może nie – odparł Barbius. – Tak czy inaczej, wydano mi jasne rozkazy. Moi zwierzchnicy aprobowują tę decyzję. Armia pomaszeruje na południowy wschód, by zablokować marsz zbliżających się od strony wybrzeża Merduków. Być może przypomnimy zachodowi, jak walczą Fimbrianie.

Odwrócił się. Albrec uświadomił sobie, że marszałek wie, że wysyła swych ludzi na pewną śmierć.

–Będę się za was modlił – rzekł łamiącym się głosem.

–Dziękuję. A teraz, ojcze, chcę zostać sam ze swym adiutantem. Musimy do rana omówić wiele spraw.

Albrec opuścił namiot milcząc.

PIĘĆ

Władza jest czymś naprawdę dziwnym, pomyślała pani Jemilla. Nie można jej dotknąć ani zobaczyć. Czasami kupuje się ją i sprzedaje jak zboże, a w innych przypadkach nie można jej nabyć za wszystkie pieniądze świata.

Zdobyła teraz odrobinę władzy, jej maleńki zapasik, który mogła wykorzystać tak, jak to uzna za stosowne. W świecie, w którym się urodziła, kobieta nie mogła posiadać atrybutów władzy przynależnych mężczyznom. Armii, flot i dział. Instrumentów wojny. Najpotężniejszą kobietą na świecie była ponoć Odelia, królowa wdowa Torunny, ale nawet ona musiała się ukrywać za plecami swego syna Lofantyra. W żadnym z ramusiańskich państw nie tolerowano by królowej, która by sprawowała samodzielną władzę, nie wstydząc się własnej płci. A przynajmniej nie wydarzyło się to do tej pory. Kobiety, którym nie była obca ambicja, musiały osiągać swe cele innymi środkami. Jemilla uświadomiła to sobie już w dzieciństwie.

Trzymała w garści życie dwóch mężczyzn i ta władza zapewniła jej wolność. Pozwoliła, by posiadli ją dwaj strażnicy. Było to nieprzyjemne, ale konieczne. Wymazała z pamięci wszystko, co zrobiła dla nich w ciemnej, oświetlonej tylko blaskiem kominka komnacie. Wolała pamiętać o tym, że może jednym słowem skazać ich na powieszenie. Pałacowym strażnikom nie było wolno zabawiać się ze szlachetnie urodzonymi damami powierzonymi ich opiece. Obaj doskonale o tym wiedzieli. Uświadomili to sobie, gdy tylko zaspokoiли żądzę i Jemilla wstała z łoża, ze skórą lśniąca jeszcze od ich potu, i wybuchła śmiechem. Dzięki temu właśnie mogła teraz swobodnie wędrować po pałacu, gdy tylko któryś z nich będzie pełnił straż pod jej drzwiami.

To było takie proste. Działo na prostych żołnierzy równie skutecznie jak na królów.

Było już dobrze po północy i Jemilla krążyła po pałacowych korytarzach niczym widmo obleczone w jedwabną szatę z kapturem. Szukała Abeleyna.

Królewskich komnat rzecz jasna strzeżono, ale w pałacu kryła się niezliczona liczba tajnych przejść, tuneli i nisz. Niektóre z nich powstały jeszcze przed założeniem Abrusio. To właśnie ich szukała Jemilla w pełnej ech ciemności. Abeleyn opowiedział jej o nich przed wielu miesiącami, pewnej bezwietrznej nocy w dolnym mieście, gdy oboje leżeli obok siebie, spoceni i zmęczeni miłością, za oknem lśniły gwiazdy późnego lata, a na dziedzińcu gospody na dole stali dwaj osobiści strażnicy króla, dyskretni jak cienie. Abeleyn używał tych tajnych przejść, by opuszczać pałac i wracać do niego, gdy tylko zechce, bez fanfar i zwracania na siebie uwagi. Dzięki temu mógł do woli korzystać z przyjemności bujnego nocnego życia starego Abrusio, swobodny i beztroski jak każdy młody mężczyzna, który miał garść złota w

kieszeni i szukał mocnych wrażeń. Była to dla niego wspaniała zabawa. Wałęsał się w przebraniu po zaułkach ludnego miasta, pił piwo i wino w brudnych, lecz pełnych życia tawernach, kolana wciskały mu się w pośladki jakiejś nierządniczy z dolnego miasta. Był ich królem, a oni o tym nie wiedzieli. Być może sam chciał na chwilę o tym zapomnieć, stać się młodzieńcem, którego swobody nic nie krępowało, zamożnym szlachcicem i nikim więcej.

Płonął w nim ogień, pomyślała Jemilla nie bez żalu. Coś, co nie miało nic wspólnego z faktem, że był królem, ale stanowiło część jego osobowości. Łatwo było go polubić, przyjemnie z nim sypiać. Miał w sobie więcej z chłopca niż z monarchy. Ale potem lato się skończyło i nadeszła zima, spowijając świat całunem krwi, ognia i prochowego dymu. A Abeleyn się zmienił, dorósł. Zdarzały się chwile, gdy budził w niej strach, nie groźbami czy przemocą, ale samym spojrzeniem ciemnych oczu. Stał się prawdziwym królem, choć nie pomogło mu to zbytnio.

Bose stopy Jemilli uderzały cicho o posadzkę. Pantofelki schowała pod płaszczem, bo ślizgały się po zimnym marmurze, spowalniając jej kroki. W pogrążonym we śnie pałacu panował chłód. Tylko kilka oliwnych lampek paliło się we wnękach ścian, otaczając ją gęstym ogrodem światła i ciemności i rzucając na ściany korytarzy ogromny, zakapturzony cień jej postaci. W jednej ręce trzymała pantofelki, a drugą opiekuńczo obejmowała rosnący brzuch. Mdłości, które dręczyły ją co rano, miały jedną dobrą stronę – dzięki nim nie tyła. Twarz Jemilli się nie zmieniła, tylko urosły jej piersi. Sutki często robiły się sztywne i obolałe. Poza brzuchem i piersiami całe ciało było tak samo gibkie jak zawsze.

Oprócz... o, nie. Nie w tej chwili.

Oprócz tego jednego. Złapała wazę i wsunęła się z nią za zasłonę. Potem zdjęła kaptur i przykucnęła nad naczyniem. Westchnęła z ulgi, gdy trysnął z niej płyn. Och, cóż to był za Bóg, który skazał kobiety na takie upokorzenia.

Zostawiła wazę na miejscu i pobiegła przed siebie tak szybko, jak tylko mogła. Abeleyn powiedział jej kiedyś, jak przedostać się z jego komnaty do innych pomieszczeń pałacu. Był wówczas pijany, a ona udawała pijaną. Od tej pory minęło już jednak sporo czasu, a przynajmniej tak jej się wydawało, i nie była pewna, czy dokładnie pamięta, co i w jakim miejscu należy zrobić. Dlatego musiała biegać na bosaka po pałacowych korytarzach podczas zimnej bezksiężycowej nocy, omijając wartowników oraz ziewających służących, którym zlecono jakieś zadania. Naciskała na ściany i luźne płyty posadzki, zaglądała pod gobeliny, co musiało wyglądać nedorzecznie. To jednak było gdzieś tutaj, w gościnnym skrzydle pałacu. Tajne drzwi, które pozwolą jej przeniknąć do sekretnego labiryntu korytarzy, a stamtąd do królewskich komnat. Zakładając, że król nadal oddycha, że nie wynieśli już po cichu jego trupa z pałacu, żeby pochować go potajemnie. Wierzyła, że Golophin jest zdolny do wszystkiego. Musiała jednak się dowiedzieć, czy Abeleyn naprawdę żyje i czy

rzeczywiście jest tak ciężko ranny, że nie ma szans, by odzyskał zdrowie. Po pałacu krążyły straszliwe pogłoski na ten temat. Gdy już zdobędzie tę wiedzę, będzie mogła zdecydować, co robić dalej.

W korytarzu przed nią coś się poruszyło. Skryła się w cieniu. Serce biło jej jak szalone, a pęcherz nagle znów był gotów eksplodować. Dzięki Bogu za to, że miała ciemny płaszcz.

–...Nie ma zmiany, najmniejszej. Ale widywałem już podobne stany. Nie musimy wpadać w rozpacz, jeszcze nie.

To był głos czarodzieja, tego chudego jak szkielet diabła, Golophina. Ale kto mu towarzyszył? Jemilla wsunęła się głębiej w mrok. Zbliżało się zimne, kołyszące się w górę i w dół światło. Wiedziała, że jest nienaturalne, że to piekielna lampa czarodzieja. Poczowała za plecami gruby gobelin, osłaniający wnękę, w której pałacowa służba chowała szczotki i miotły, by ich widok nie drażnił szlacheckich oczu. Schowała się tam z ulgą, wyglądając przez wąską szparę, którą sobie zostawiła. Zimne światło było coraz bliżej.

Tak, to Golophin. Jego łysina lśniła w magicznym blasku. Towarzyszyła mu jednak odziana w bogate szaty kobieta. Jej płaszcz z kapturem przypominał ten, który nosiła Jemilla. Blade dłonie zsunęły kaptur i Jemilla zobaczyła białą twarz oraz błysk miedzianych włosów. To była brzydka kobieta, której twarz miała w sobie niewiele harmonii, dostrzegało się w niej jednak siłę. Do tego zachowywała się jak królowa.

–W takim razie będę go nadal odwiedzała – oznajmiła nieznajoma głosem niskim i dźwięcznym jak tony lutni basowej. – Ludzie Mercada nie zaprzestali poszukiwań, jak sądzę?

–Nie zaprzestali – zgodził się czarodziej równie melodyjnym głosem. To była para pięknych głosów, tworzących razem dziwną harmonię. A także dziwnie kontrastujących z obliczami swych właścicieli. Kim mogła być ta arystokratyczna, lecz nieładna kobieta? Mówiła z dziwnym akcentem, który nie był hebrionński, ale nie brzmiał też pospolicie. Z akcentem jakiegoś obcego dworu.

Byli już tylko trzy jardy od niej. Jemilla zasłoniła usta dłonią. Serce biło jej tak głośno, że czuła puls krwi napływającej jej do gardła.

–Obawiam się, że nie mieli szczęścia – ciągnął czarodziej. – Królestwo całkowicie oczyszczono z ludu dweomeru. Wątpię, by miał on kiedykolwiek odzyskać w Hebrionie większą liczebność. My, użytkownicy siedmiu dyscyplin, jesteśmy wymierającym ludem. Pewnego dnia staniemy się tylko opowieścią, legendą o starożytnych cudach. Nie, nie uda nam się odkryć na czas jakiegoś potężnego maga, który uzdrowiłby Abeleyna. Wszyscy uciekli, nie żyją albo zaginęli na najdalszym

zachodzie. A ja jestem w najlepszym razie złamaną trzcina. Nie, musimy nadal radzić sobie z tym, czym dysponujemy.

–A tego jest bardzo niewiele – zauważyła kobieta.

Mijali ją już. Jemilla poczuła woń kosztownych perfum, zobaczyła na głowie nieznajomej upięte w wysokich splotach miedzianego ognia włosy. Tylko one i głos były w niej piękne. Oboje zniknęli za rogiem.

Jemilla odczekała chwilę, a potem opuściła kryjówkę, oddychając szybko. Podążyła za czarodziejem i nieznajomą, cicho jak kot, i dotarła do ślepego zaułka. Korytarz kończył się zdobnym oknem z barwionego szkła, za którym widziała światła miasta na dole, lampy na masztach okrętów w zburzonym porcie oraz lśniące zimnym blaskiem gwiazdy.

Zbadała każdy cal kamiennej ściany, wtykając palce w szczeliny, pukając i naciskając. Trwało to dobre pół godziny. Serce waliło jej jak szalone, a pęcherz znowu wypełnił się, sprawiając ból. Nagle usłyszała cichy trzask i fragment ściany, szeroki może na jard, odsunął się na bok tak gwałtownie, że omal się nie przewróciła. Zachwiała się na nogach, czując bijący z ciemnego otworu zimny, cmentarny powiew. Widziała tylko zarysy paru prowadzących w dół stopni, a potem nic poza mrokiem.

Zadrżała. Palce u nóg drętwiały jej od zimnego podmuchu. Jemilli nie uśmiechała się perspektywa schodzenia do nieoświetlonego korytarza.

Cofnęła się szybko i zabrała lampę z najbliższej niszy. Potem wsunęła złodowaciałe stopy w pantofelki i ruszyła tajnym przejściem, osłaniając dłonią płomień lampy przed podmuchaem.

Po wewnętrznej stronie drzwi umieszczono metalową dźwignię. Nacisnęła ją i drzwi zatrzasnęły się za jej plecami. Przez mgnienie oka była bliska paniki, potem jednak przeklęła własną głupotę i ruszyła w dół. Gniewała się na siebie i nienawidziła spokoju okazywanego przez brzydką kobietę, która towarzyszyła Golophonowi. Nienawidziła ich oboje za to, że byli wtajemniczeni w sekrety pałacu, znaleźli się tak blisko ośrodka władzy. Nienawidziła wszystkiego i wszystkich za to, że ona, Jemilla, musiała skradać się zimnymi korytarzami jak złodziejka, mimo że nosiła w sobie królewskiego dziedzica. Na krew umęczonych świętych, zapłacą za to, że ją do tego zmusili. Pewnego dnia pozbędzie się stąd ich wszystkich. Zanim umrze, ten pałac będzie należał do niej.

Po obu stronach korytarza ujrzała wyposażone w dźwignie drzwi, takie same jak te, przez które tu weszła. Korciło ją, by wypróbować wszystkie, czuła jednak, że nie zaprowadzą jej one tam, gdzie pragnęła się znaleźć. Miała wrażenie, że drzwi prowadzące do królewskich komnat muszą się czymś odznaczać, wyglądać inaczej.

Miała rację. Korytarz wiał się w trzewiach pałacu jeszcze przez setki jardów, ale na jego końcu znajdowały się drzwi wyższe od pozostałych. Umieszczono w nich oko.

Omam nie wypuściła z dłoni lampy, gdy popatrzyło na nią, spotykając jej przerażone spojrzenie. Obserwowało ją ludzkie oko, wprawione w drewniane drzwi.

–Słodki panie niebios! – wydyszała. To była siła nieczysta, zamontowana tutaj przez tego skurczybyka czarodzieja. Odkryto ją. Mało brakowało, a zawróciłaby i uciekła, ale twardsza Jemilla, ta która pozbyła się pierwszego dziecka Hawkwooda i na zimno postanowiła uwieść młodocianego króla, kazała jej zaczekać i się zastanowić. Dotarła już daleko i było za późno, żeby zawrócić.

Zbliżając się do oka, poczuła nagły skurcz w brzuchu. Jak się na nią gapiło! Zaciśnęła powieki i dźgnęła je kciukiem, najsilniej, jak potrafiła.

I znowu, jeszcze mocniej. Ustąpiło, jak dojrzała śliwka, i pękło. Jej kciuk zapadł się do środka aż po pierwszy staw. Obryzgał ją ciepły płyn. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła w drzwiach krwawą dziurę. Cały płaszcz splamiła jej karmazynowa posoka. Jemilla odwróciła się, pochyliła i wymiotowała na kamienną posadzkę, plamiąc sobie pantofelki.

–Panie Boże.

Otarła usta, wyprostowała się i naparła na drzwi.

Ustąpiły z łatwością i znalazła się w królewskiej sypialni, którą świetnie znała.

Przystanęła, zastanawiając się, czy alarm zostanie podniesiony szybko, czy ten demon Golophin już w tej chwili mknie tutaj ze straszliwymi zaklęciami na ustach, by zetrzeć ją z powierzchni Ziemi. No cóż, dotarła tu, gdzie chciała się znaleźć.

Podeszła do wielkiego, zdobnego łóża, w którym nieraz igrali z Abeleynem w parne noce późnego lata, odsłoniwszy zasłony, by wpuścić do środka świeże, morskie powietrze. Świece paliły się teraz tak samo jak wówczas, a głowa Abeleyna spoczywała na poduszkach.

Zatrzymała się nad leżącym w łóżu królem niczym mroczny, krwawy anioł, który przybył po jego duszę. I zrozumiała, dlaczego tu go ukryli, dlaczego jedynym źródłem informacji o jego stanie są szeptane plotki.

Dotknęła ciemnych loków, czując przez chwilę coś zbliżonego do litości. Potem odsunęła kołdry jednym gwałtownym szarpnięciem.

Pod spodem leżał tylko nagi strzępek mężczyzny. Kikuty nóg owiązano Inianymi bandażami. Jego pierś poruszała się w rytm oddechu, ale skóra miała blady odcień

śmierci, usta były sine, a oczy zapadnięte. Król Hebrionu nie pozostanie już długo na tym świecie.

–Abeleynie – wyszeptała. – Abeleynie! – powtórzyła głośniejsz, z większą pewnością siebie.

–On cię nie słyszy – rozległ się czyjś głos.

Odwróciła się gwałtownie. Płomień lampy zamigotał. Za nią stał Golophin. Zjawił się bezgłośnie jak duch. Jemilla nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. W jej gardle uwiązał krzyk przerażenia.

Stary mag wyglądał jak stwór z piekła rodem, przywołany przez nocne cienie i płomień świec. W jego oczach gorzało nieludzkie światło. Z jednego spływały na policzek czarne, krwawe łzy.

–Pani Jemillo – powiedział mag i podszedł bliżej, sunąc bezszelestnie po posadzce. – W twoim stanie nie powinnaś być o tej porze na nogach.

Nigdy w życiu tak się nie bała, ale stoczyła szybką, cichą walkę ze swym przerażeniem, wzięła się w garść i zapanowała nad sobą.

–Chciałam go zobaczyć – oznajmiła ochryplym głosem.

–No to go zobaczyłaś. Cieszysz się?

–On nie żyje, Golophinie. Nie jest już mężczyzną.

Jej głos z każdą chwilą stawał się spokojniejszy, choć cały czas rozważała gorączkowo sytuację, zastanawiając się, czy ktoś usłyszałby jej krzyk. Czy ktokolwiek przyszedłby tu, żeby zbadać sprawę. Stary mag wyglądał jak jakiś straszący po nocach diabeł o lśniących oczach i obliczu czaszki.

–Noszę w łonie królewskiego dziedzica – oznajmiła, gdy podszedł bliżej.

–Wiem o tym.

Przykrył kołdrami nagie ciało króla. Czowała niemal zapach kipiącej w nim furii, lecz mimo to zachowywał się spokojnie i panował nad swym głosem.

–Nie możesz mnie tknąć, Golophinie.

–Wiem o tym.

–Nie miałeś prawa zabraniać mi spotkania z nim.

–Nie mów mi o prawach, pani – odparł czarodziej takim tonem, że włosy stanęły jej dęba. – Służę królowi i będę to robił aż po ostatnie tchnienie. Jego albo moje. Jeśli spróbujesz mu w jakikolwiek sposób zaszkodzić, zabiję cię.

Powiedział to z całkowitym spokojem. To nie była groźba, ale stwierdzenie faktu.

–Nie możesz mnie tknąć. Noszę w łonie królewskiego dziedzica – sprzeciwiła się piskliwym głosem.

–Wynoś się.

Słowa maga ociekały jadem. Powietrze między nimi wypełniła aura nienawiści. Jemilla czuła, że w każdej chwili może dojść do wybuchu przemocy. Odsunęła się od łoża. W drżącej dłoni nadal ścisnęła lampę, drugą przyciskała do brzucha.

–Żądam, by traktowano mnie stosownie do mojej pozycji – nie ustępowałam. – Nie pozwolę, by mnie zamknięto albo o mnie zapomniano. Nie zamkniesz mi ust, Golophinie. Powiem światu, kogo noszę w łonie. Nie zdołasz mnie powstrzymać.

Stary mag patrzył na nią bez słowa.

–Dostane to, co mi się należy – wysyczała nagle, odpowiadając jadem na jad.

Nie mogła już dłużej wytrzymać jego wzroku. Odwróciła się i wyszła z komnaty, nie oglądając się za siebie. Zdawała sobie sprawę, że Golophin ani na moment nie spuszcza z niej nieruchomego spojrzenia.

SZEŚĆ

–Jedzie – odezwał się Andruw. – Wygląda na zdrowo wkurzonego.

Obserwowali zbliżającą się grupkę jeźdźców. Proporczyki nad ich głowami powiewały na wietrze dmącym od szarego morza. Za nimi czekało w szyku prawie trzy tysiące żołnierzy w pełnym bojowym rynsztunku. Artyleria podążała przodem, a kolumnę zamykały odwody kawalerii. Klasyczna torunnańska formacja bojowa. Klasyczna i świadcząca o braku wyobraźni

–Znasz tego pułkownika Arasa? – zapytał swego adiutanta Corfe.

–Tylko ze słyszenia. Jest młody jak na tę pozycję. To ulubieniec króla, uważa się za nowego Johna Mogena i jest zbyt wyrozumiały dla swych ludzi. Odbił kilka potyczek z plemionami, ale nie brał udziału w prawdziwej bitwie.

Prawdziwej bitwie. Corfe'a nadal zdumiewała świadomość tego, jak wielka część torunnańskiej armii nigdy nie uczestniczyła w prawdziwych bitwach. Jej sława opierała się na ludziach z aekirskiego garnizonu, którzy byli ongiś najlepszymi żołnierzami na całym świecie poza Fimbrią. Ale oni już wszyscy nie żyli albo byli niewolnikami w Ostrabarze. Zostały tylko wojska drugiego rzutu, pomijając *tercios* Martellusa, stacjonujące na wale. A teraz to te oddziały drugiego rzutu będą musiały się zmierzyć z inwazją Merduków, pokonać armie, które zdobyły Aekir. Ta perspektywa mroziła krew w żyłach.

Reszta ludzi Corfe'a, Katedralników, ustawiła się za nim w dwóch szeregach. Z pięciuset, z którymi wyruszył na południe, zostało zaledwie trzystu zdolnych dosiąść konia. Jego oddział kurczył się nieubłaganie pomimo odnoszonych zwycięstw. Ludzie potrzebowali odpoczynku, nowego ekwipunku, świeżych koni. A także wzmocnienia.

Ludzie Arasa ściągnęli wodze przed Corfe'em i Andruwem. Ich zbroje błyszcząły, a konie były dobrze odżywione. Mieli na sobie typowe pancerze noszone przez torunnańską kawalerię, znacznie lżejsze od merduckich zbroi ludzi Corfe'a, który zdawał sobie sprawę, że on i jego ludzie wyglądają jak horda barbarzyńskich strachów na wróble. Mieli na sobie pomalowane na szkarłatny kolor merduckie uprząże bojowe, ich oczy były zapadnięte ze zmęczenia, a wierzchowce wyczerpane i pokryte bliznami.

–Witaj, pułkowniku Cear-Inaf – odezwał się pierwszy z przybyłych jeźdźców, młody, rudowłosy mężczyzna o bladej twarzy upstrzonej piegami tak gęsto, że wyglądała na opaloną. Miał wielkie dłonie jeźdźca i trzymał się pewnie na końskim grzbiecie, ale w porównaniu z żołnierzami Corfe'a wyglądał na niedorostka.

–Pułkowniku Aras. – Corfe skinął głową. – Masz piękny oddział.

Mężczyzna wyprostował się w siodle.

–Tak. To dobrzy żołnierze. Teraz, gdy już tu przybyliśmy, będziemy mogli wziąć się do roboty. Jak rozumiem, Narfintyr opuścił z armią tę okolicę, bo w przeciwnym razie nie byłoby was tutaj.

Uśmiechnął się. Corfe usłyszał za plecami gniewne mamrotanie niektórych ze swych dzikusów. Rozumieli po normańsku wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co przed chwilą powiedziano.

–W rzeczy samej – odparł uprzejmie. – Obawiam się, że Narfintyr przebywa daleko stąd, ale jeśli chcesz, możesz spróbować go schwytać.

Uśmiech Arasa stał się niepewny.

–Po to właśnie tu przybyłem. Jestem pewien, że twoi ludzie sprawili się godnie, ale teraz musicie zostawić wykonanie zadania mnie i mojemu oddziałowi.

Corfe był bardzo zmęczony. Niemal już zapomniał, czym jest odpoczynek. Był zbyt zmęczony, żeby się gniewać. Albo przechwalać.

–Narfintyr uciekł za morze – wyjaśnił. – Razem ze swymi ludźmi rozbiłem jego armię. W zamku czeka z górą tysięcy jeńców. Uporanie się z niedobitkami pozostawię tobie, pułkowniku. Zabieram swoich żołnierzy z powrotem na północ.

Na chwilę zapadła cisza.

–Nie rozumiem – oznajmił po chwili Aras, nadal próbując się uśmiechać.

–Wykonaliśmy za was robotę, pułkowniku – poinformował go Andruw, szczerząc się w radosnym uśmiechu. – Jeśli wątpisz w nasze słowa, na południe od miasta można znaleźć stos, na którym tli się jeszcze siedemset trupów najlepszych ludzi Narfintyra.

Aras zamrugał szybko.

–Ale przecież... gdzie jest reszta waszych ludzi? Myślałem, że macie tylko kilka *tercios*.

–Jesteśmy tu wszyscy, pułkowniku – odpowiedział znużonym głosem Corfe. – Było nas wystarczająco wielu, by sobie poradzić. Możesz pozwolić odpocząć swoim ludziom. Jak już mówiłem, my natychmiast ruszamy na północ. Muszę jak najszybciej wracać do stolicy.

–Nie możesz tego zrobić! – wybuchnął Aras. – Musisz tu zostać, żeby mnie

wspomóc. Oddać swoich ludzi pod moją komendę.

–Na oczy Boga, słyszałeś, co powiedziałem? – warknął Corfe. – Narfintyr uciekł, a jego armia została rozbita. Nie możesz wydawać mi rozkazów. Nie jesteś moim przełożonym. A teraz zejź mi z drogi!

Obie grupy nadal stały naprzeciwko siebie. Konie zaczęły tańczyć w miejscu, zarażone niepokojem jeźdźców. Corfe miał zamiar urządzić uprzejme spotkanie, coś w rodzaju wojskowej narady, podczas której mógłby zapoznać Arasa z sytuacją. Ostatecznie walczyli po tej samej stronie. Przekonał się jednak, że nie potrafi znieść myśli o zdawaniu relacji temu aroganckiemu szczeniakowi. Słabnąca już od pewnego czasu cierpliwość opuściła go na dobre. Pragnął tylko oddalić się stąd, zapewnić swoim ludziom chwilę zasłużonego odpoczynku. I wrócić na północ, gdzie trwała prawdziwa wojna. Nie było czasu na skargi i utyskiwanie.

O jednym nie mógł jednak zapomnieć.

–Zanim odjedziemy, pułkowniku, muszę cię poinformować, że jestem zmuszony zostawić tu około dwudziestu ludzi, którzy są zbyt ciężko ranni, by mogli utrzymać się w siodłach. Ulokowałem ich na górnych piętrach twierdzy. Masz o nich zadbać, tak jakby byli twoimi żołnierzami. Czynię cię osobiście odpowiedzialnym za los każdego z nich. Jasne?

Aras otworzył i zamknął usta. Na jego bladą twarz wystąpił rumieniec.

–A więc mamy być teraz niańkami dla dzikusów? – mruknął jeden z jego adiutantów.

Andruw trącił stopami wierzchowca i podjechał do mężczyzny, który wypowiedział te słowa.

–Znam cię, Harmionie Cear-Adhur. Byliśmy razem w szkole artylerii, pamiętasz?

Mężczyzna zwany Harmionem wzruszył ramionami. Andruw ponownie zademonstrował swój zaraźliwy uśmiech.

–Každy z dzikusów, którzy stoją za mną, jest wart dziesięciu waszych bohaterów z placu apelowego. A ty... ty zawdzięczasz stopień haptmana tylko temu, że lizales dupę każdemu oficerowi, pod którego rozkazami służyłeś. I co mi na to powiesz?

Uśmiech Andruwa przerodził się w dziki grymas, nadający jego brudnej twarzy szalony wygląd. Prawą dłoń trzymał na rękojeści szabli.

–Dość już tego – rzucił Corfe. – Andruw, wracaj do szeregu. To było nie na miejscu. Pułkowniku Aras, przepraszam za zachowanie mojego podkomendnego.

Aras wziął się w garść. Odchrząknął, skinął głową do Corfe'a i zapytał wreszcie uprzejmym tonem:

–Czy to może być prawda? Czy ci twoi ludzie rzeczywiście pokonali Narfintyra?

–Nie mam zwyczaju kłamać, pułkowniku.

–To ty jesteś pułkownik Cear-Inaf, który był w Aekirze i na Wale Ormanna, czyż nie tak?

–W rzeczy samej.

Twarz Arasa zmieniła wyraz. Pułkownik odchrząknął po raz drugi.

–W takim razie, czy mogę uścisnąć twoją dłoń, pułkowniku, i pogratulować tobie oraz twoim ludziom wspaniałego zwycięstwa? Być może zdołam cię przekonać, byś został tu jeszcze na jedną noc i skorzystał z gościnności mojej kwatery głównej? Mogę też użyczyć twoim żołnierzom trochę ekwipunku i zapasowych wierzchowców. Wybacz, ale mam wrażenie, że to im się przyda.

Corfe podjechał do młodszego mężczyzny i uścisnął jego dłoń.

–To uprzejme słowa. Zgoda, zostaniemy na noc. Mój starszy chorąży, Ebro, zapozna waszego kwatermistrza z naszymi potrzebami.

Tak oto zostali na miejscu. Dwie małe armie rozbiły obozy na błotnistej równinie na północ od Staed. Aras miał ochotę zakwaterować swoich ludzi w mieście, ale Corfe wybił mu z głowy ten pomysł. Miejscowi ludzie dość już ostatnio wycierpieli, a w końcu to byli Torunnanie, nie jakiś podbity naród. Wystarczyło, że musieli głodować, by zaopatrzyć w prowiant żołnierzy, którzy ostatnio zalali okolicę, i że setki ich synów zginęły w walce z tymi żołnierzami.

Katedralników i regularne torunnańskie oddziały umieszczono w oddzielnych obozach, a pomiędzy nimi rozbito namioty kwatery głównej Arasa. Torunnanie z początku byli sceptyczni, a potem zaciekawieni. Grupki ludzi z obu obozów spotykały się ze sobą przy strumieniu, gdzie pojono konie, i tam przyglądały się sobie nieufnie niczym dwa psy, które obwąchują się i krążą wokół siebie, nie mogąc się zdecydować, czy rzucić się przeciwnikowi do gardła.

Kolumna Arasa była nadzwyczaj dobrze zaopatrzona we wszystkie rodzaje ekwipunku. Pułkownik wysłał Katedralnikom całe wozy nowych lanc, żelaza w gąskach, węgla drzewnego do polowych kuźni, świeżych racji żywnościowych i prowiantu zdobytego na miejscu, a także sześćdziesiąt świeżych koni.

Corfe, Andruw i Marsch przyglądali się pędzonym ku nim wierzchowcom. To były grubokościste, gniade wałachy o skłębionych grzywach i dzikim spojrzeniu.

–Są tylko na wpół ujeżdżone – zauważył Andruw.

–A na co liczyłeś? Na jego najlepsze rumaki? – zapytał Corfe. – Przyjąłbym je nawet, gdyby miały po trzy nogi. Jak uważasz, Marsch? Nadadzą się do czegoś?

Potęźnie zbudowany dzikus przyjrzał się wprawnym okiem parskającym, tańczącym zwierzętom.

–To trzylatki – stwierdził. – Dopiero niedawno wycięli im jaja i wciąż jeszcze czują ich brak. Z czasem się uspokoją. Moi ludzie je ujeżdżą.

–Dlaczego ten Aras nagle zaczął lizać ci dupę, Corfe? – zapytał z namysłem w głosie Andruw.

–To oczywiste. Jutro odjeżdżamy do Torunnu, wracamy na dwór. Chce, żebyśmy powiedzieli o nim parę ciepłych słów, być może nawet podzielili się z nim częścią chwały.

Andruw prychnął pogardliwie.

–Marne szanse.

–Och, nie będę mówił o nim źle przed królem. W ten sposób nie zdobędę przyjaciół. Ale i tak nie ukradnie chwały, za którą moi ludzie przelewali krew.

Nocą w konferencyjnym namiocie Arasa wydano ucztę. Wiatr szarpał połami olbrzymiego namiotu, długiego na trzydzieści stóp i tak wysokiego, że można w nim było stać prosto. Stawili się wszyscy oficerowie, odziani, ku zdumieniu Corfe'a, w dworskie mundury z koronkowymi mankietami i półbutami zapinanymi na sprzączki dla dopełnienia obrazu. Za każdym składanym brezentowym krzesłem dla gości stał torunnański żołnierz by usługiwać podczas uczyty, a długi stół błyszczał od srebrnych sztućców oraz zastawy. Gdy Corfe, Andruw i Ebro weszli do środka, Andruw parsknął głośnym śmiechem.

–Chyba zabłądziliśmy, Corfe – mruknął. – Myślałem, że jesteście na wojnie.

Corfe'a posadzono na honorowym miejscu po prawej stronie Arasa, Andruwa nieco dalej, a Ebra blisko końca. Marsch nie chciał przyjść. Oznajmił, że musi się zająć nowymi końmi, ale Corfe podejrzewał, że to perspektywa używania noża i widelca przeraziła go bardziej niż jakakolwiek bitwa.

–W zeszłym tygodniu moim ludziom udało się upolować kilka jeleni – poinformował Corfe'a Aras. – Wystarczająco już skruszały. Mam nadzieję, że lubisz dziczyznę, pułkowniku.

–Jak najbardziej – zgodził się nieobecny tonem Corfe. Upił łyk wina ze srebrnego pucharu. To było dobre, candelariańskie wino okrętowe. Zastanawiał się, jak wielkie muszą być tabory Arasa, jeśli mógł wozić ze sobą takie wspaniałości. W przypadku armii liczącej niespełna trzy tysiące żołnierzy to było po prostu śmieszne.

Wino lało się obficie i przynoszono kolejne dania. Rozmowy przy stole stały się całkiem głośne. Corfe zauważył, że chorąży Ebro jest w swoim żywiole i zabawia innych młodszych oficerów wojennymi opowieściami. Andruw jadł i pił miarowo, jak człowiek pragnący nadrobić stracony czas. Siedział obok oficera w błękitnej liberii artylerzysty i obaj dyskutowali ze sobą zawzięcie w przerwach między kęsami łąpczywie pochłanianego pokarmu oraz łykami wina. Corfe pokręcił lekko głową. W polowej armii aekirskiej, którą dowodził John Mogen, nie oglądało się podobnych rzeczy. Skąd wzięła się ta pompa i ceremonie przesycające całą torunnańską armię? Być może miało to coś wspólnego z faktem, że ta armia stacjonowała za osłoną nieprzeniknionej granicy. Poza nią i Andruwem nikt tutaj nigdy nie walczył w dużej walnej bitwie. Ale po upadku Aekiru ta granica nie była już nieprzenikniona. Razem z miastem zginęła cała armia, z górą trzydzieści tysięcy ludzi. Jedynymi naprawdę doświadczonymi żołnierzami w królestwie byli teraz ci, którzy walczyli na wale pod dowództwem Martellusa. Corfe'a po raz kolejny przeszył dreszcz niepokoju na tę myśl. Na miejscu Lofantyra werbowałby i szkolił nowych żołnierzy całymi tysiącami, a potem bezzwłocznie wysyłał ich na Wał Ormanna. Strategia Naczelnego Dowództwa

cechowała się nader niepokojącą ospałością.

Aras mówił coś do niego. Corfe zebrał pośpiesznie myśli, próbując okazać uprzejmość. W ostatnich czasach nie przychodziło mu to łatwo.

–Pewnie słyszałeś już te pogłoski, pułkowniku, no bo w końcu byłeś na dworze w chwili przybycia pontyfika.

–Nie słyszałem – przyznał Corfe. – Powiedz mi.

–Trudno w to uwierzyć, ale wygląda na to, że nasz suweren opłacił fimbriańskich najemników, by wzmocnić obronę Wału Ormanna.

Corfe słyszał o tym podczas narad wojennych u króla, ale jego twarz niczego nie zdradzała.

–To niezwykła wiadomość – stwierdził, popijając łyk wina.

–To prawda, chociaż osobiście użyłbym innych słów. Kto by pomyślał! Nasi dawni władcy mają toczyć za nas wojnę. To zniewaga dla każdego oficera w armii. Wojskowi nigdy nie darzyli króla zbytnią miłością, ale ten krok rozwścieczył ich bardziej niż cokolwiek innego. Wygląda na to, że nasz monarcha nie ufa własnym rodakom.

Corfe był zdania, że król choć raz wykazał odrobinę mądrości, zachował jednak tę opinię dla siebie.

–A teraz duże *tercio* maszeruje sobie przez Torunnę, jakby ten kraj należał do nich. Fimbrianie! Zastanawiam się, czy potrafią jeszcze walczyć. W końcu przez czterysta lat nie wychylali nosa zza swoich granic.

–Jestem pewien, że Martellus będzie wiedział, co z nimi zrobić – odparł spokojnie Corfe.

–Martellus... tak, to dobry dowódca. Pewnie go znasz, skoro służyłeś na wale.

–Tak, znam go.

–Mówią, że nie jest szlachetnie urodzony. To prosty człowiek, ale dobry generał.

–John Mogen również nie był szlachetnie urodzony, ale na polu bitwy radził sobie całkiem nieźle – przypomniał Corfe.

–Oczywiście, oczywiście – zgodził się pośpiesznie Aras. – Po prostu uważam, że czas już, by nowemu pokoleniu oficerów dano szansę udowodnienia swej wartości. Starsi ludzie są zbyt przyzwyczajeni do dawnych metod i nie zauważają, że świat

wokół nich się zmienia. Gdybym miał parę dużych *tercio*, oto jak ruszyłbym z odsieczą wałowi... – wdał się w szczegółową opowieść o tym, jak pułkownik Aras przewyższyłby Martellusa, a nawet Johna Mogena, i przegonił Merduków za Ostian.

Corfe uświadomił sobie, że jego rozmówca jest pijany. Wielu oficerów zdążyło się już upić. Opróżniali kolejne karafki rubinowego candelariańskiego wina, a ich pełne puchary lśniły krwawo w blasku świec. Na dworze Marsch i Katedralnicy układali się już do snu na zimnym, torunnańskim błocie, a nad Ostianem, blisko czterysta mil stąd, kości ludzi, którzy byli ongiś towarzyszami broni Corfe'a, nadal leżały nieopogrzebane.

Ja też się upiłem, pomyślał, choć wino miało kwaśny smak w jego ustach. Nienawidził ponurego nastroju, w jaki ostatnio coraz częściej popadał. Chciał być taki jak Andruw i Ebro, którzy potrafili się bawić i śmiać razem z innymi oficerami. To jednak nie było już dla niego możliwe. Zmienił go Aekir. Aekir i Heria. Zastanawiał się, czy zazna jeszcze kiedyś prawdziwego spokoju ducha, poza chwilami morderczego bitewnego szału, gdy istniała tylko chwila obecna. Nie było wówczas przeszłości ani myśli o przyszłości, a tylko jaskrawe, przerażające, ekscytujące doświadczenie, jakim było zabijanie. Tylko ono.

Pomyślał o nocy, którą spędził ze swą patronką, królową wdową Torunny. To było jak bitwa. Zatracił się w tej chwili. Jak zwykle jednak, potem nadeszła pustka przebudzenia. Nie, tę pustkę mógł wypełnić jedynie zgiełk wojny i być może też towarzystwo garstki mężczyzn, którym ufał i których szanował. Nie było już w nim miejsca na delikatniejsze uczucia. Zachował obraz twarzy żony i wspomnienia o niej w niedostępnym zakamarku umysłu i nic już więcej nie sprawi mu bólu.

–...Ale oczywiście potrzeba nam ludzi, więcej ludzi – mówił Aras. – Zbyt wiele oddziałów jest zajętych w samej Torunnie, a teraz wyślemy na południe jeszcze więcej, by zapobiec nowemu powstaniu. Muszę przyznać, że rozumiem motyw króla. Czemu by nie pozwolić, żeby cudzoziemcy przelewali za nas krew na wale, i zachować naszych rodaków na czas, gdy będą naprawdę potrzebni? Ale z drugiej strony zostaje po tym w ustach przykry smak. Tak czy inaczej, wał nie padnie. Z pewnością wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny, pułkowniku. Nie, powstrzymaliśmy już ofensywę Merduków. Pora pomyśleć o przejściu do kontrataku. Nie jestem jedynym oficerem w armii, który wyraża te opinie. Kiedy opuszczałem stolicę, mówiono o tym, jak moglibyśmy uderzyć z wału wzdłuż Traktu Zachodniego i spróbować odzyskać Święte Miasto.

–Gdyby wszystkie kampanie opierały się tylko na śmiałych słowach, nikt nigdy nie przegrałby wojny – sprzeciwił się poirytowany Corfe. – Pod wałem obozuje dwieście tysięcy Merduków...

–Już nie – przerwał mu Aras, zadowolony z przyłapania Corfe'a na tym, że ten

czegoś nie wie. – Dotarli do nas meldunki, że połowa sił nieprzyjaciela opuściła zimowe obozy nad brzegami Searilu. Pod wałem zostało niespełna dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy.

Corfe zamrugnął, starając się przegnać z głowy opary wina. Uświadomił sobie nagle, że powiedziano mu coś niezmiernie ważnego.

–A dokąd odeszli? – zapytał.

–Kto to wie? Może wrócili w podmokłe strony rodzinne albo są w Aekirze i pomagają w odbudowie miasta. Pozostaje faktem...

Corfe przestał go słuchać. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Po co przenosić sto tysięcy ludzi z zimowych leży o najzimniejszej porze roku, gdy trakty stają się grząskie i nigdzie nie można zdobyć paszy dla wierzchowców i zwierząt z taborów? To z pewnością był jakiś ważny powód, nie zwykle względy administracyjne. Za tym posunięciem musiały stać strategiczne motywy. Czy to możliwe, że Merducy nie zamierzali już przeprowadzić głównego uderzenia na Wał Ormanna, lecz w jakieś inne miejsce? Wykluczone, choć to sugerowała ta wiadomość. Pozostawało pytanie: jeśli nie na Wał Ormanna, to gdzie? Nie było żadnej innej możliwości.

Nagle nawiedziło go przeczucie silniejsze niż kiedykolwiek w życiu. Wytrzeźwiał w mgnieniu oka. Znaleźli jakiś sposób na ominięcie wału. Uderzą w innym miejscu, i to wkrótce, zimą, gdy torunnański wywiad uważa nieprzyjacielski atak za niemożliwy.

–Wybacz mi – powiedział do zdumionego Arasa, wstając z krzesła. – Dziękuję za wspaniałą gościnę, ale ja i moi oficerowie musimy natychmiast ruszać w drogę.

–Ale... co się stało? – zdołał wykrztusić Aras.

Corfe wezwał skinieniem Andruwa i Ebra, którzy gapili się na niego zdziwieni, pokłonił się torunnańskim oficerom i wyszedł z namiotu. Obaj podkomendni dogonili go, gdy brnął po błotnistym gruncie. Andruw podtrzymał pijanego, oszołomionego Ebra, ratując go przed upadkiem. Siąpiła delikatna mżawka i noc zrobiła się odrobinę cieplejsza.

–Corfe... – zaczął Andruw.

–Budź ludzi – warknął pułkownik. – Chcę, żeby za godzinę byli spakowani i gotowi do drogi. Wyruszamy natychmiast.

–Co się stało? Na Boga, Corfe! – sprzeciwił się Andruw.

–To rozkaz, haptmanie – oznajmił zimno Corfe.

Jego ton otrzeźwił natychmiast Andruwa.

–Tak jest. Czy mogę zapytać, dokąd się udajemy?

–Na północ, Andruw. Do Torunnu – odparł Corfe łagodniejszym tonem. – Będziemy tam potrzebni – dodał.

Torunna wydawała się podczas tej zimy pępkiem świata, miejscem, gdzie rozstrzygnie się los całego kontynentu. Wokół jej stolicy, Torunnu, nadal obozowały hordy nieszczęsnych uchodźców z Aekiru, gnieźdzących się w rozległych obozowiskach poza granicami miasta. Byli cudzoziemcami, przyzwyczajonymi do życia w ogromnej, kosmopolitycznej metropolii, która już nie istniała. Ale byli też Torunnanami i w związku z tym korona ponosiła za nich odpowiedzialność. Karmiono ich na koszt państwa i dostarczano im niezliczone sterty materiałów, z których powstawało wielkie miasto namiotów. Postronnemu obserwatorowi mogłoby się zdawać, że pod stolicą stacjonuje potężna armia. Nad obozami unosiły się dym i mgła, a także woń i zgiełk niezliczonej ciżby. Produkowały one również smród nieczystości, zarazę oraz chaos siany przez ludzi, którzy stracili wszystko i nie mieli dokąd pójść.

Normańska szlachta lubiła wysokie budowle. Może dlatego że przyjemnie było spoglądać z góry na swe posiadłości, a może chodziło o względy obronne, albo był to po prostu sposób na odróżnienie się od masy poddanych. W Torunnie nie było wzgórz, na których można by wznieść pałace, tak jak w Abrusio i Cartigelli, więc budowniczości królewskiej siedziby uczynili z niej strzelisty gmach złożony z szerokich wież połączonych ze sobą mostami oraz wiszącymi przejściami. Nie była to perła architektury, w jakiej mieszkał król Perigraine w Vol Ephrir, ale solidna, imponująca budowla spoglądająca z góry na miasto jak zgarbiony tytan. Z najwyższej położonych komnat można było w pogodny dzień dostrzec biały błysk szczytów Gór Cymbryckich na zachodnim horyzoncie. A w bezwietrzny wiosenny poranek można było sięgnąć wzrokiem na odległość pięćdziesięciu mil od brzegu i wypatrzeć statki nadpływające z Zatoki Kardiańskiej.

Teraz jednak miasto spowiła bijąca z obozów mgła i nawet z najwyższych wież nie widziało się nic, co leżałoby dalej niż przedmieścia Torunny.

Odelia, królowa wdowa, potarła z westchnieniem dłonie o szczupłych palcach i nieskazitelnych paznokciach. To mogłyby być dłonie młodej kobiety, gdyby nie starcze plamy, które przypominały jej, ile ma lat. Wydawało się, że podczas tej ciągnącej się bez końca zimy chłód wniknął aż do szpiku jej kości. Walczyła z czasem już od tak dawna, że każdą następną oznakę słabnięcia swego ciała, każdy nowy ból, każdą, nawet lekką, utratę sił witała natychmiastowym wybuchem złości. Dziś w nocy naprawi słabnącą teurgię swych podtrzymujących żywotność zaklęć, ale, och, jak bardzo pragnęła znowu dzielić łożę z młodym mężczyzną, by karmić się jego siłą życiową, czuć jego moc. Poczuć się jak kobieta, niech to szlag. Nie jak królowa pogrążająca się już w półmroku starczego wieku.

Nikt nie wiedział, ile dokładnie lat liczy sobie Odelia. Wydano ją za ojca Lofantyra, króla Vanatyra, gdy miała ich piętnaście, ale troje pierwszych z ich poczętych bez radości dzieci umarło, zanim nauczyły się mówić. Lofantyr przeżył i teraz jej macica była już jałowa. Vanatyr nie żył od piętnastu lat. Udławił się czymś podczas uczy. Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

W ciągu lat, które upłynęły od śmierci męża Odellii, przez jej życie przewinęło się trzech kochanków. Pierwszym był książę Errigal, regent, którego zadaniem było doradzać trzynastoletniemu królowi Lofantrowi, służyć mu przewodnictwem i edukować go od dnia jego koronacji. Sprawowała władzę za pośrednictwem Errigala i własnego syna, a potem, gdy Lofantyr osiągnął pełnoletność, tylko za jego pośrednictwem. Ale jej syn, król, zbliżał się już do trzydziestki i coraz częściej lekceważył rady matki, podejmował decyzje, nie pytając jej o zdanie. Krótko mówiąc, uczył się rządzić samodzielnie.

Odelię doprowadzało to do szału.

Jej drugi kochanek, John Mogen, był generałem, wojskowym komendantem Aekiru, jednym z największych przywódców w dziejach zachodu. Naprawdę go kochała. Dlatego, że był mężczyzną. Prawdziwym mężczyzną, wolnym od brzemienia manier, kultury i dobrego wychowania, a w zamian obdarzonym wspaniałym poczuciem humoru i nigdy nie zapominającym niczego, co mu powiedziano, ani ludzi, których spotkał. Jego żołnierze również go kochali. Dlatego dziesiątki tysięcy oddały za niego życie. Pomogła mu zrobić karierę. To ona załatwiła Mogenowi pozycję wojskowego gubernatora Świętego Miasta. Nigdy się jej nie śniło, że Aekir padnie, gdy on będzie dowódcą. Rozpaczała po jego śmierci, płakała nocą w poduszkę, wściekając się na siebie za to, że nie potrafi nad sobą zapanować. Minęło sześć lat, odkąd ostatnio z nim rozmawiała.

A teraz był ten nowy kochanek, ów pełen goryczy młodzieniec, który służył pod

rozkazami jej umiłowanego Johna Mogeny i widział jego śmierć. Świetnie zdawała sobie sprawę, że pomagając mu ulega swego rodzaju nostalgii, być może próbuje przywołać na nowo magię tych lat, gdy była *de facto* władczynią Torunni, a Mogen był jej rycerzem, jej obrońcą. Ulegała jednak sentymentom tylko do pewnego stopnia, a mrok czasów, które teraz nastąpiły, był czymś innym, czymś nowym. Miała pewność, że potrafi wywęszyć wielkość równie łatwo, jak pies myśliwski wyczuwa zapach zająca. Mogen miał ją w sobie i ten Corfe Cear-Inaf również. W swym synu, królu, nie wyczuwała nawet najdrobniejszego jej śladu.

Pokojówka weszła do komnaty za plecami Odelii, jakby wezwana jej myślami.

–Pani, Jego Królewska Mość... – oznajmiła z dygnięciem.

–Wpuść go – warknęła Odelia. Zasuwała żaluzje balkonu, odgradzając się od paskudnej pogody, smrodu obozu uchodźców i hałasów miasta na dole.

–Chyba się nie spóźniłem, co, matko? – zapytał Lofantyr, wchodząc do komnaty. Miał na sobie gruby, podszyty futrem płaszcz. Nienawidził zimna tak samo, jak ona.

–Starym wybacza się niecierpliwość – zripostowała. – Mają mniej czasu do stracenia niż młodzi.

Król rozsiadł się wygodnie na jednej z ustawionych pod ścianami sof, ogrzewając dłonie nad szafranowym płomieniem piecyka. Rozejrzył się wokół.

–Gdzie jest twój towarzysz?

–Śpi. Złapał kotka, ale jest już taki stary, że musi zebrać siły, zanim się do niego zabierze.

Wskazała głową na sufit.

Lofantyr dostrzegł między skrytymi w półmroku krokwiemi szeroką na dwanaście stóp pajęczynę. W jej środku przycupnęła chowaniec Odelii, a w rogu było widać mały, owinięty w pajęczynę obiekt, który nagle miauknął żałośnie słabym głosem. Lofantyr zadrżał.

–Czemu zawdzięczam zaszczyt tej wizyty? – zapytała królowa wdowa, zmierzając dostojnym krokiem ku swemu stolikowi do haftowania. Usiadła za nim i wybrała sobie igłę oraz szpulkę jaskrawej, jedwabnej nici.

–Dotarły do mnie pewne wieści... właściwie to raczej pogłoski. Pomyślałem sobie, że mogą cię zainteresować. Pochodzą z południa.

Nawlokła igłę, marszcząc przy tym brwi.

–Słucham?

–Ponoć naszych zbuntowanych poddanych w tamtych stronach poskromiono niesłychanie szybko i łatwo.

–To znaczy, że twój pułkownik Aras dobrze się sprawił – zauważyła, próbując go sprowokować.

–Te pogłoski mówią, że buntowników pokonała zbieranina dzikusów w dziwacznych zbrojach pod dowództwem torunnańskiego oficera.

Twarz Odellii nic nie wyrażała, choć jej serce zabiło gwałtownie. Igła przebiła się przez materiał i ukłuła ją w palec. Wypłynęła kropelka krwi, ale Odellia nic po sobie nie okazała.

–To bardzo intrygujące.

–Czyż nie tak? Powiem ci jeszcze coś równie intrygującego. Pod naszymi bramami oprócz uciekinierów z Aekiru zjawilo się również prawie tysiąc dzikusów z gór, razem z końmi i bronią. Cymbrianie. Felimbri. Feldari. Istna zbieranina barbarzyńców. Wysłali delegację do władz garnizonu, mówiąc, że chcą się zaciągnąć na służbę pod dowództwem niejakiego pułkownika Corfe'a, jak go zwa, i że nie odejdą spod bram miasta, dopóki się z nim nie zobaczą.

–To bardzo interesujące – przyznała. – I jak odpowiedziałeś na ich prośbę?

–Nie chcę, żeby pod moimi bramami stała horda uzbrojonych barbarzyńców. Wysłałem kilka *tercios*, żeby ich rozbroić.

–Co zrobiłeś? – zapytała bardzo cicho Odellia.

–Doszło do niefortunnego incydentu. Przelano krew. W końcu kazałem otoczyć obóz dzikusów artylerią i zmusiłem ich do oddania broni. Zakuto ich w łańcuchy i obecnie czekają na transport na królewskie galery, gdzie będą służyć jako wioślarze – zakończył z uśmiechem Lofantyr.

Odellia wbiła spojrzenie w syna.

–Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała.

–Nie rozumiem, matko.

–Nie próbuj ze mną takich gier, Lofantyrze.

–Co cię tak poirytowało? To, że sam podjąłem decyzję, zamiast pobiec do twoich komnat po radę? Jestem królem. Nie muszę odpowiadać przed tobą, nawet jeśli

jesteś moją matką.

Jego blada twarz nabrała różowego odcienia.

–Jesteś cholernym durniem – oznajmiła synowi królowa wdowa nadal delikatnym tonem. – Zachowałeś się jak dziecko, które niszczy coś cennego w napadzie złości i nie chce potem tego naprawić. Choć na chwilę zapomnij o urażonej dumie, Lofantyrze, i weź pod uwagę dobro królestwa.

–Nigdy nie kieruję się niczym innym – zapewnił Lofantyr gniewnym, naburmuszonym tonem.

–Ten człowiek, którego poparłam, ten młody oficer, przerasta zdolnościami wszystkich twych dworskich faworytów i świetnie o tym wiesz. Potrzebujemy takich ludzi, Lofantyrze. Dlaczego próbujesz go zniszczyć?

–Sam awansuję swoich dowódców! Nie pozwolę, żebyś to ty mi ich wybierała! – zawołał król. Zerwał się z krzesła z rozwianym płaszczem.

–Być może pozwolę ci na to, kiedy nauczysz się wybierać mądrze – odparła Odelia. Jej skórę pokrył płomienisty rumieniec, a oczy błyszczały w blasku słońca niczym szmaragdy.

–Na Boga, nie muszę tego słuchać!

–To prawda, nie musisz. Głupiec nigdy nie lubi słuchać słów mądrości, gdy sprzeciwiają się one jego pragnieniom. Zastanów się, Lofantyrze! Nie myśl o własnej dumie, ale o królestwie! Król, który nie panuje nad sobą, jest panem niczego.

–Jak mogę być panem czegokolwiek, kiedy ty zawsze kryjesz się gdzieś w cieniu, snujesz swe pajęczyny i szepczesz do ucha moim doradcom? Miałaś już swój czas w świetle słońca, matko, teraz kolej na mnie. Jestem królem, niech to szlag!

–To zachowuj się jak król – odrzekła Odelia. – Twoje brewerie są godne rozpieszczonego bachora. Otaczasz się kreaturami, dla których jedynym celem życia jest mówić ci to, co pragniesz usłyszeć. Stawiasz własną niedorzeczną dumę wyżej niż dobro królestwa i nie chcesz słuchać żadnych wieści kłócących się z twoim wyobrażeniem o tym, jak powinien wyglądać świat. To ludzie przelewający krew na polach bitew są spoiwem, które utrzymuje w całości królestwo, Lofantyrze, nie ambitni dworscy pochlebcy. Nigdy nie zapominaj, gdzie leży prawdziwe źródło władzy i jaka jest jej rzeczywista natura.

–Co to ma być? Lekcja królowania?

–Na krew Świętego, gdybym była mężczyzną, stłukłabym cię tak, że aż krzyczałbyś

z bólu. Dworski protokół i piękne stroje zaślepiają cię do tego stopnia, że nie słyszysz kroków nadciągającej zagłady.

–Oszczędź mi tych apokaliptycznych gróźb, matko – przerwał jej Lofantyr ociekającym wzgardą głosem. – Wszyscy na dworze wiedzą, że parasz się czarami, ale to jeszcze nie znaczy, że potrafisz przepowiadać przyszłość. To nie jest jeden z twoich darów.

–Nie potrzeba jasnowidza, żeby przewidzieć, ku czemu zmierza świat.

–Ani geniusza, żeby zrozumieć, skąd się wzięło twoje nagłe zainteresowanie tym parweniuszowskim pułkownikiem z Aekiru. Czy dzielenie łoża z mężczyzną tak młodym, że mógłby być twoim synem, pozwala ci zapomnieć o twym wieku?

Oboje wbili w siebie spojrzenia.

–Uważaj, Lofantyrze – odezwała się wreszcie Odelia.

–Bo co mi zrobisz? Cały dwór mówi o tym, że królowa wdowa sypia z obdartym dezertorem z wyróżnionej w pień armii Johna Moga. I ty chcesz mnie uczyć zachowania. A jak twoje zachowanie wpływa na godność korony? Moja matka i niski stopniem oficer-gołodupiec!

–Władałam tym królestwem, gdy byłeś jeszcze zasmarkanym bachorem! – wrzasnęła Odelia.

–Tak, i wszyscy wiemy, jak osiągnęłaś ten cel. Z Errigalem również sypiałaś. Jesteś gotowa prostytuować się tysiąc razy, żeby tylko zdobyć miejsce bliżej tronu. No cóż, jestem już dorosłym mężczyzną, matko. Nie potrzebuję cię już więcej.

–Tak ci się wydaje? – zapytała Odelia. – Naprawdę tak ci się wydaje?

Oboje wstali z krzesel. Piekielny żar stojącego między nimi piecyka oświetlał ich twarze od dołu, zamieniając je w maski ognia i cienia. Olbrzymi pajak Arach przebudził się nad ich głowami i trącał lekko nogami pajęczynę, jakby przygotowywał się do skoku. Lofantyr zerknął na stwora, który wydawał z siebie cichy odgłos przypominający mruczenie kota.

–Przestań się wtrącać w sprawy państwowe – zażądał Lofantyr spokojniejszym tonem. – Musisz dać mi szansę sprawowania władzy, matko. Nie będziesz żyła wiecznie.

Odelia pochyliła lekko głowę, jakby na znak uprzejmej zgody. Zieleń w jej oczach mieszała się z żółtym blaskiem płomieni.

–Uwolnij barbarzyńców – poprosiła spokojnie. – Daj mu ich. To ci nie zaszkodzi.

–Mam uzbroić Felimbrich? Tego ode mnie chcesz? Przecież sama ostrzegałaś mnie przed sprowadzeniem Fimbrian!

–Będą słuchali jego rozkazów. Wiem o tym.

–To dzikusy.

–Gdybyś od początku dał mu oddział regularnych żołnierzy, pewnie nie byłoby tego problemu – zauważyła ostrym tonem.

–A gdybyś ty... – zaczął, ale się powstrzymał. – Te kłótnie do niczego nie prowadzą.

–Zgadzam się.

–Niech ci będzie, uwolnię ich. Twój protegowany dostanie swoich dzikusów. Ale nie otrzymają żadnego wsparcia od władz wojskowych. Ten aekirski pułkownik będzie musiał radzić sobie sam.

Odelia pochyliła głowę na znak zgody.

–Nie kłóćmy się, matko.

Lofantyr okrążył piecyk i wyciągnął do niej rękę.

–Oczywiście.

Ujęła jego dłonie i pocałowała go w policzek.

Król uśmiechnął się, a potem odwrócił.

–Do miasta dotarli już kurierzy od Martellusa. Muszę ich przyjąć. Pójdiesz ze mną?

–Nie – odpowiedziała do jego oddalających się pleców. – Zobacz się z nimi sam. Mam tu swoją robotę.

Uśmiechnął się do niej i wyszedł z komnaty.

Odelia siedziała przez chwilę nieruchomo w ciszy, którą zostawił za sobą. Opadające powieki przesłaniały ogień jej oczu. Wreszcie wzięła tamborek i cisnęła nim w drugi koniec komnaty. Narzędzie rozbiło się z trzaskiem o ścianę i runęło na podłogę jako sterta drewna, tkaniny i nici. Pokojówka uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Gdy zobaczyła twarz pani, uciekła.

Osmalone kamienie Wieży Admiralskiej znakomicie harmonizowały z nastrojem panującym obecnie w Abrusio. Komnaty i biura Jaimego Rovera, admirała wszystkich flot Hebrionu, były ulokowane blisko jej szczytu. Admirał spacerował po wysokim pomieszczeniu, w którym stało jego biurko. Z portu na dole napływała woń morskiej wody i popiołów, słyszał też obłąkańcze wrzaski mew. Z pewnością do brzegu przybijał jol zimowych rybaków. Rovero całe życie spędził na morzu. Zaczynał jako oficer na karaweli, potem dowodził własnym okrętem, eskadrą, flotą, aż wreszcie osiągnął szczyt kariery i został pierwszym lordem marynarki. Nie mógł już zająć wyżej. Mimo to, spoglądając na trójlistną koniczynę portów otoczoną przez miasto Abrusio, na tętniące w nich życie, na hordy robotników portowych i marynarzy, żałował niekiedy, że nie jest już prostym oficerem marynarki z paroma miedziami w kieszeni, dla którego każdy dzień niesie nową obietnicę.

Ktoś zapukał do drzwi.

–Proszę! – warknął i wyprostował się, mruganiem usuwając z oczu wspomnienia i absurdalne żale.

–Galliardo Ponero – zaanonsował jeden z jego sekretarzy – trzeci kapitan portu Szlaków Zewnętrznych, wasza lordowska mość.

–Tak, tak. Wpuść go.

Do komnaty wszedł niski, ciemnoskóry mężczyzna. Pomimo pięknego stroju oraz ozdobionego nadmierną liczbą piór kapelusza otaczała go aura morza. Ponero pokłonił się i pióra zatoczyły łuk, gdy machnął swym nakryciem głowy w geście, który zapewne uważał za szczyt elegancji.

–Och, daj sobie spokój z tymi dworskimi pierdołami – wychrypiał Rovero. – Nie jesteś w pałacu. Siadaj, Ponero. Chcę ci zadać kilka pytań.

Po twarzy Galliarda sływał pot. Usiadł przed masywnym, ciemnym biurkiem admirała i wygładził zmierzwione pióra.

Rovero przez chwilę przypatrywał się w milczeniu gościowi. Na biurku przed nim leżał mały stosik papierów opatrzonych królewską pieczęcią. Galliardo zauważył je i przełknął ślinę.

–Uspokój się – powiedział Rovero. – Nie jesteś oskarżony o korupcję, jeśli tego właśnie się obawiasz. Połowa kapitanów portu w tym mieście przymyka od czasu do czasu oko na pewne sprawy. Potrzeba smaru, by koła się obracały. Nie, Ponero, chce, żebyś rzucił okiem na to.

Cisnął papiery na biurko, w stronę drżącego gościa.

–To królewski nakaz zaprowiantowania – stwierdził Galliardo, obejrzawszy papiery.

–Brawo. A teraz czekam na wyjaśnienia.

–Nie rozumiem, ekscelencjo.

–Te dwa żaglowce, wyposażone i zaprowiantowane na koszt króla, a także mające na pokładzie hebrionńskich żołnierzy, przygotowano do rejsu w części stoczni, za którą ty jesteś odpowiedzialny. Chcę się dowiedzieć, dokąd popłynęły i dlaczego król sponsorował ten rejs.

–To czemu jego o to nie zapytasz?

Rovero zmarszczył brwi w wyrazie złowrogiego ostrzeżenia.

–Wybacz, ekscelencjo. Fakty wyglądają tak, że oba statki były własnością niejakiego Richarda Hawkwooda, a dowódcą żołnierzy oraz całej ekspedycji był lord Murad z Galiapeno.

Rovero zasępił się jeszcze bardziej.

–Ekspedycji? Wyjaśnij mi to.

Galliardo wzruszył ramionami.

–Zabrali zapasy na wiele miesięcy podróży, rozplodowe konie, nie wałachy, a także owce i kury. Oczywiście byli też pasażerowie...

–To znaczy?

–Okolo stu czterdziestu ludzi dwoomeru pochodzących z miasta.

Rovero zagwizdał cicho.

–Rozumiem. A dokąd się wybierali, Poneró?

Galliardo cofnął się myślą do końca lata. Wydawało się, że od tej pory minęło już wiele lat. Przypomniał sobie brzęk ostatniego kielicha wina, wypitego z Richardem Hawkwoodem w portowej tawernie nieopodal jego biura, która widziała tak wiele rozstań, żegnała tak wielu mężczyzn, wsiadających na pokład żaglowców i odpływających za horyzont, by nigdy nie powrócić. Gdzie był teraz Richard Hawkwood, jego statki i ich załogi? Gnili w głębinach albo rozbili się na jakiejś skale pośród niezbadanego oceanu. Galliardo wiedział jedno: Hawkwood zamierzał pożeglować na zachód, nie na Wyspy Brenn czy Hebrionese, ale tak daleko, jak

zdołają zanieść go statki, być może dalej niż ktokolwiek wcześniej. Co się z nim stało? Czy w końcu odnalazł granice obracającego się świata i wysiadł na nietknięty ludzką stopą ląd? Galliardo zapewne nigdy się tego nie dowie, uznał więc, że może bezpiecznie powiedzieć admirałowi wszystko, co wie o ekspedycji, mimo że Hawkwood nakazał mu dochować tajemnicy. Richard zapewne już nie żył i nic, co mógłby uczynić Galliardo, mu nie zaszkodzi. Ród Hawkwoodów wymarł, gdyż jego żona, Estrella, zginęła w piekle, które szalało w Abrusio zaledwie przed kilkoma tygodniami.

–Mówisz, że na zachód? – mruknął zamyślony Rovero, usłyszawszy odpowiedź Galliarda.

–Tak, ekscelencjo. Jestem przekonany, że ich zamiarem było odkrycie legendarnego Zachodniego Kontynentu.

–To z pewnością tylko bajka.

–Wydaje mi się, że Hawkwood miał jakiś dokument, czy mapę, który sugerował, że jest inaczej. Tak czy owak, nie wraca już od miesiący i nie ma o nim żadnych wieści. Nie sądzę, by jeszcze żył.

–Rozumiem.

Rovero sprawiał wrażenie dziwnie zakłopotanego.

–Jest coś jeszcze, ekscelencjo? – zapytał nieśmiało Galliardo.

Admirał przeszył go spojrzeniem.

–Nie. Dziękuję, Ponero. Możesz odejść.

Galliardo wstał i pokłonił się. Gdy już opuścił gabinet i schodził na dół przez mroczny labirynt Wieży Admiralskiej, w jego umyśle zapłonęły jasno wspomnienia, wizje z minionej epoki. Upalne, pełne życia Abrusio, tysiąc okrętów stojących w porcie i ludzie z setki różnych krajów na ulicach. *Gabrioński Rybołów* i *Boża Łaska* opuszczały z odpływem zatokę – dwa dumne statki odpływające w nieznane.

Gdy Galliardo wyszedł na dwór, na zimny, szary zimowy dzień, wyszeptał pośpiesznie modlitwę do Rana, boga burz. Wielu żeglarzy próbowało ubłagać to starodawne bóstwo, gdy znajdowali się tysiąc mil od lądu, najbliższego kapłana czy nadziei znalezienia portu. Modlił się za dusze Richarda Hawkwooda i jego załóg. Z pewnością wszyscy znaleźli już wieczny spoczynek wśród fal.

SIEDEM

ROK ŚWIĘTEGO 552

W to zimowe mroczne popołudnie w królewskich komnatach było jeszcze ciemniej niż na dworze. Isolla odnosiła wrażenie, że ostatnio całe życie spędza w blasku świec albo kominka. Siedziała przy łożu Abeleyna, czytając na głos stare dzieło o historii hebrionńskiej marynarki. Od czasu do czasu zerknęła na nieruchomą postać leżącego w łożu z baldachimem króla. W pierwszych dniach była nieustannie przygotowana na możliwe nagłe przejawy życia, jakiś tik albo uchylenie powieki, ale Abeleyn nadal pozostawał nieruchomy jak posąg, o ile posągom zdarzają się od czasu do czasu głośne, stentorowe oddechy.

Czytając, głaskała jego dłoń. Księgę trzymała otwartą na kolanach. Była nudna, ale dawała jej powód, by tu przychodzić, a Golophin wierzył, że Abeleyna może jeszcze przywołać z powrotem brzmienie głosu, dotyk albo jakiś inny zewnętrzny bodziec, którego nikomu z nich nie udało się dotąd odkryć.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, by zadać sobie pytanie, co właściwie robi u łoża – być może łoża śmierci – mężczyzny, którego niemal nie знаła, dlaczego czyta na głos komuś, kto jej nie słyszy, i to w kraju, który nie był jej ojczyzną, w mieście, którego połowę zniszczono ogniem i mieczem. Poczucie obowiązku było w niej zbyt głęboko zakorzenione. Wspierał je przy tym wrodzony upór, o którym mogłaby coś opowiedzieć jej pokojówka Brienne. Determinacja, by doprowadzić do końca to, co zaczęła. Nigdy w życiu przed niczym nie uciekała, wytrzymywała złośliwe docinki astarańskich dam dworu przez tak długi czas, że spływały po niej jak woda po kaczce. Wiedziała, że jej brat, król, również ją kocha. To był jeden z niepodważalnych filarów jej życia.

A on chciał, by się tutaj znalazła, z tym mężczyzną, czy może raczej z tym, co z niego zostało. Isolla nie mogła uchylić się od tego zadania, tak samo jak nie mogła spowodować, by wyrosły jej skrzydła, i odlecieć do Astaracu. Życie nie było pasmem przyjemności, lecz ciężką pracą. Trzeba je było rzeźbić, gładzić i szlifować, by po jego zakończeniu ludzie ujrzeli piękną, symetryczną formę. Szczęście rzadko bywało w tym procesie istotnym czynnikiem, zwłaszcza dla ludzi królewskiej krwi.

Drzwi otworzyły się cicho za jej plecami. Do środka wszedł stary sługa pałacowy, jeden z nielicznych, których wtajemniczono w prawdziwy stan zdrowia króla. Mężczyzna zatrzymał się i cicho kaszlnął.

–O co chodzi, Bionie?

Znała imiona ich wszystkich.

–Pani, król ma... gościa, który nalega, by go wpuścić. To szlachetnie urodzona kobieta.

–Król nie przyjmuje gości – oznajmiła Isolla.

–Pani, ona twierdzi, że pan Golophin pozwolił jej odwiedzać króla.

Isolla odłożyła księgę, zaintrygowana, ale nieufna. Połowa szlachty w Hebrionie próbowała w takiej bądź innej chwili prośbą czy groźbą dostać się do sypialni. Pragnęli zobaczyć na własne oczy niewidzialnego monarchę Hebrionu. Golophin odsyłał wszystkich, ale mag był teraz niedysponowany. Coś stało mu się w oko – nosił na nim czarną przepaskę – i nawet jego gorączkowa energia jakby zaczęła przygasać.

–A jak brzmi jej imię?

–Pani Jemilla.

Bion był wyraźnie zaniepokojony, nawet zmieszany. Nie chciał patrzeć jej w oczy.

–Spotkam się z nią w przedpokoju – oznajmiła energicznie Isolla, nie chcąc przyznać, nawet przed sobą samą, że cieszy się z chwili wytchnienia.

Pani miała jasną cerę, krucze włosy i była bardzo pewna siebie: istny sobowtór chyba sześciu innych, które uczyniły z dzieciństwa Isolli jedno pasmo udręki. Teraz jednak sprawy wyglądały inaczej.

Znieruchomiła na chwilę, gdy Isolla weszła do przedpokoju, obrzucając ją szacującym spojrzeniem ciemnych oczu. Potem przywitała się eleganckim dygnięciem. Isolla odpowiedziała jej lekkim pochyleniem głowy.

–Usiądź, proszę.

Obie spoczęły na małych, niewygodnych krzeselkach, rozpościerając szaty wokół siebie na podobieństwo piór dwóch rywalizujących ze sobą ptaków.

–Mam nadzieję, że dobrze się czujesz, pani – odezwała się uprzejmym tonem Jemilla.

Nastąpiła wymiana czczych słówek, stanowiąca nieodłączny element każdej dworskiej konwersacji. Wszystko to było tylko pozbawioną znaczenia konwencją. Czy pani Isolli podobało się w Hebrionie? O tej porze roku jest tu zimno, nieprawdaż? Wiosną z pewnością będzie przyjemniej. Lato było stanowczo zbyt upalne. Lepiej wyjechać do domku w górach, do czasu, gdy liście zaczną żółknąć. I Astarac! Wspaniałe królestwo. Jej brat to prawdziwy wzór ramusiańskiego monarchy (sprawę

jego niedawnej herezji i ekskomunikowania beztrąsko pominięto). Pani Jemilla trzymała w wypielęgnowanej dłoni zwój papieru, który pobudził ciekawość Isolli i skłonił ją do wzmożonej ostrożności, mimo że z jej ust cały czas płynęły puste słowa.

–A więc Golophin zgodził się wpuścić cię do króla – stwierdziła Isolla, gdy czas na uprzejme rozmówki wreszcie minął.

–Tak, w rzeczy samej. Jesteśmy starymi znajomymi. Pałac jest jak mała wioska. Nie sposób nie poznać wszystkich. Nawet samego króla.

–Och, naprawdę?

Twarz Isolli niczego nie zdradzała, ale w jej duszy wzbierał lęk.

–Cóż to za mężczyzna! Cóż za monarcha! Wszyscy bardzo go kochają, pani. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę. Całe królestwo straszliwie się o niego niepokoi. Sytuacji nie załagodził też brak wieści dotyczących jego stanu. – Wyciągnęła rękę w uspokajającym geście, gdy Isolla poruszyła się nerwowo. – Nie chcę oczywiście krytykować Golophina ani naszego dzielnego admirała Rovero czy generała Mercado. Ale ludzie, którzy przelewali krew za Abeleyna, mają prawo wiedzieć, podobnie jak najważniejsze osoby w królestwie. W końcu, jeśli powrót króla do zdrowia potrwa długo, wypadaloby wybrać jakąś osobistość o odpowiedniej randze, która pokieruje sprawami państwa. Ci... profesjonaliści są bardzo przydatni, ale prosty lud chciałby widzieć u steru kogoś odpowiedniej krwi. Zgadzasz się?

To właśnie było to: błysk stali ukrytej pod aksamitem. Jemilla uśmiechnęła się. Zęby miała małe, równe i bardzo białe. Całkiem jak kot, pomyślała Isolla. Czy to możliwe, by Golophin rzeczywiście pozwolił komuś takiemu odwiedzać króla? Nie, oczywiście, że nie. Ale co miała zrobić? Zarzucić tej damie kłamstwo prosto w oczy? I co zawierał ten cholerny dokument?

Twarz Isolli nabrała – nieświadomie dla niej samej – twardego, niemal odpychającego wyrazu. Widząc tę minę, jej brat Mark zawsze mawiał: „Pora zarządzić odwrót”.

–Nie będę snuła spekulacji na temat polityki człowieka, który wkrótce ma zostać moim mężem, ani polityki jego najbliższych i najbardziej zaufanych doradców. Rozumiesz, pani, to nie uchodzi – odcięła się Isolla, patrząc z zadowoleniem, jak jej riposta trafia w cel. – Niestety, król jest dziś bardzo zmęczony i nikogo nie przyjmuje. Możesz być jednak pewna, pani, że przekażę mu twe najlepsze życzenia powrotu do zdrowia. Jestem pewna, że bardzo go pokrzepią. Niestety, ja również nie jestem panią własnego czasu i obawiam się, że muszę już zakończyć tę zachwycającą rozmowę.

Przerwała, spodziewając się, że pani Jemilla wstanie, pożegna ją dygnięciem i

opuści komnatę. Kobieta nie ruszyła się jednak z miejsca.

–Wybacz – mruknęła jak kot – ale obawiam się, że muszę cię prosić jeszcze o chwilę cierpliwości. Mam tu... – wreszcie wspomniała o zwoju – dokument, który nakazano mi doręczyć ci jako narzeczonej króla. Jestem tylko kobietą i niewiele wiem o takich sprawach, ale mam pewność, że to petycja podpisana przez głowy wielu szlacheckich rodzin Hebrionu. Czy mogę ją zostawić w twoich rękach? Ciężar spadłby mi z serca. Dziękuję, szlachetna pani. A teraz muszę cię już pożegnać.

Dygnęła, tylko tak nisko, jak wymagał tego zwyczaj, i wyszła z błyskiem triumfu w oczach.

Suka, pomyślała Isolla. Podstępna, bezczelna suka. Złamała pieczęć – rodowy herb jakiegoś książątka – i przebiegła wzrokiem po treści zwoju, który rozwinął się w jej rękach.

Faktycznie była to petycja. Widząc, kto się pod nią podpisał, Isolla wyduła wargi i zagwizdała w zupełnie niegodny damy sposób. Książę Imerdonu, ni mniej, ni więcej. Lordowie Feramuno, Hebrero i Sequero. Swe podpisy złożyły tu chyba ze dwie trzecie najlepiej urodzonych arystokratów w Hebrionie. O ile dokument był autentyczny. Będzie musiała to sprawdzić, choć raczej nie budził wątpliwości. A kim właściwie jest ta pani Jemilla? Nie żoną żadnego mężczyzny o wysokiej randze, bo w przeciwnym razie przyjęłaby jego nazwisko, zamiast obnosić się z własnym. Wyznacznikiem pozycji kobiety było nazwisko męża.

A czego żądano w tej petycji? Po pierwsze, tego by król pokazał się zaniepokojonym poddanym i dowiódł, że to on włada Hebrionem, a nie triumwirat złożony z Golophina, Mercado i Rovero. Albo, jeśli jego stan na to nie pozwala, by wybrano odpowiedniego szlachcica, najbliższego spokrewnionego z królem, i mianowano go regentem do czasu, gdy król będzie w stanie ponownie objąć rządy. Po drugie, tego by sygnatariuszom, królewskim kuzynom, umożliwiono dostęp do monarchy, gdyż bardzo się niepokoją o jego zdrowie. Po trzecie, tego żeby wyżej wymieniony triumwirat został rozwiązany, a panowie Golophin, Rovero i Mercado wrócili do swych obowiązków, pozwalając, by królestwem władał ten, kogo Rada Szlachty wyznaczy na regenta. Co więcej, Rada Szlachty – instytucja, o której Isolla nigdy w życiu nie słyszała, mimo że była bardzo czytana w hebrionńskiej historii – miała się zebrać za dwa sendnie w mieście Abrusio, aby omówić te sprawy, a także wezwać króla do poślubienia astarańskiej księżniczki i dać w ten sposób krajowi radosne widowisko, jakim są królewskie zaślubiny, a z czasem być może również dziedzica.

Rzucono jej rękawicę. Miała poślubić Abeleya albo wracać do domu. Pokazać wszystkim żywego i zdrowego króla albo pozwolić szlachetnie urodzonym użerać się o sprawę sukcesji. Do tego sprowadzała się petycja, bez względu na jej kwiecisty język. Isolla zastanawiała się, jak głęboko była w to zamieszana Jemilla. Nie uległo

wątpliwości, że jest ona kimś więcej niż zwykłym posłańcem.

–Bionie! – zawołała głosem ostrym jak strzał z bicia.

–Słucham, pani?

–Zapytaj maga Golophina, czy może mnie natychmiast przyjąć. Powiedz mu, że sprawa jest nadzwyczaj pilna. I pośpiesz się.

–Tak, pani.

Hebrion dopiero co przeżył jedną wojnę, a teraz czekała go następna. Tym razem jednak walki będzie się toczyć w korytarzach samego pałacu. Co dziwne, Isolla niemal się cieszyła na tę myśl.

OSIEM

Corfe'a przygnębił widok Torunnu w nowym roku. Na miasto siąpiła szara mżawka, dym z palonych przez uchodźców ognisk wisiał nad nim na podobieństwo całunu, a tysiące zbiegów z Aekiru zdeptały okolice w promieniu wielu mil, zmieniając ją w grzęzawisko. Wszyscy nadal wegetowali w uszytych z niewyprawionych skór namiotach, które dostali od torunnańskich władz, i wydawało się, że nie są ani o krok bliżej rozproszenia się i podjęcia próby odbudowy swego życia.

–Nasza wspaniała stolica – wyszeptał Andruw. Charakterystyczny dla niego dobry humor ulotnił się pod wpływem tego widoku, a także wielu mil drogi, jakie pokonali w ostatnim tygodniu. Podczas powrotu na północ zajeździli dwadzieścia trzy konie. Nawet barbarzyńcy Corfe'a zrobili się burkliwi i ogłupiali ze zmęczenia. Mieli już dosyć. Corfe wiedział, że na razie nie może ich zmuszać do dalszego wysiłku. Być może ta myśl dodatkowo pogorszyła mu nastrój. Był tak samo zmęczony jak oni, ale mimo to myślał tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się na północy, gdzie trwała wojna. Nie obchodziło go nic innego.

Tak właśnie wygląda teraz moje życie, pomyślał. To wszystko, co mi zostało.

Długa kolumna brudnych, ziewających kawalerzystów i milczących mułów zjechała krętą drogą z wyżej położonych terenów i zatrzymała się pod miejskimi murami, pośród namiotów miasta uchodźców. Ludzie z Aekiru gapili się na dosiadających wielkich rumaków barbarzyńców o zapadniętych oczach, jakby byli oni stworami z innego świata. Corfe odwzajemniał ich spojrzenia. Na widok ubłoconych dzieci i obdartych rodziców narastała w nim furia. To byli kiedyś dumni obywatele największego miasta na świecie. Teraz przerodzili się w żebraków, a torunnański rząd najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, żeby nimi pozostali. Miał ochotę wywlec króla Lofantyra za mury i wepchnąć mu twarz w plugastwo wylewające się z otwartych kanałów. Gdy zrobi się cieplej, zaraza będzie się tu szerzyła z gwałtownością pożaru. Spojrzał na Andruwa i Marscha.

–Tu nie możemy zostać. Każ ludziom zatrzymać się na noc poza obozem, z dala od tego wszystkiego.

–Nie mamy posłań, prowiantu ani nawet paszy dla koni – przypomniał mu Andruw, jakby Corfe sam o tym nie wiedział.

–Zdaję sobie z tego sprawę, haptmanie. Pojadę do miasta zobaczyć, co się da załatwić. Tymczasem wiesz co masz robić. – Zastanawiał się przez chwilę. – Może przydałoby się zarznąć parę jucznych mułów – dodał z niechęcią. – Nasi ludzie potrzebują mięsa.

–Na krew Boga, Corfe! – sprzeciwił się cicho Andruw.

–Wiem. Ale nie możemy liczyć na zbyt wiele. Lepiej przygotować się na najgorsze. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Zawrócił konia, nie mogąc spojrzeć Andruwowi w oczy. Miał wrażenie, że kipiący w nim gniew mógłby podpalić cały świat i sprawić, że przyglądałby się z radością temu pożarowi, ta myśl jednak wypełniała go pustką i chłodem. Polegali na nim jego ludzie. Jeśli okaże się to potrzebne, będzie lizał królewskie stopy, żeby zdobyć wszystko, czego potrzebowali.

W karmazynowej merduckiej zbroi wyglądał tak dziwacznie, że wartownicy przy głównej bramie zapomnieli mu zasalutować. Rozważył stojące przed nim opcje i w końcu skierował koński nos w stronę dziedzińców i wież królewskiego pałacu. Być może jego patronka będzie w stanie mu pomóc. W końcu uporał się z pierwszą próbą, jakiej go poddała.

–Pułkownik Cear-Inaf – oznajmił szambelan, wytrzeszczając oczy.

Królowa wdowa odwróciła się od okna, dotykając pośpiesznie dłońmi twarzy i włosów.

–Wprowadź go, Chares.

W komnacie było ciepło dzięki licznym piecykom i wiszącym na ścianach gobelinom koloru krwi. Dwie służące siedziały w narożniku pokoju, cicho jak myszki. Na jej spojrzenie wstały i wyszły przez ukryte drzwi. Czekał na Corfe'a, przybrała królewską pozę, choć serce waliło jej szybciej. Wyczuwała w jego rytmie skrzydlatą lekkość, której nie zaznała od wielu lat. Radowało ją to i irytowało zarazem.

Wlał ciężkim krokiem do środka. Wydawało się, że kocha tę swoją dziwną zbroję, ale przynajmniej zdjął stanowiący z nią komplet barbarzyński hełm. Pokrywało go błoto. Był krwawym zwiastunem wojny, nie pasował do tego miejsca i czuł się tu skrępowany. W ciągu kilku tygodni, które minęły od ich ostatniego spotkania, jego twarz postarzała się o dziesięć lat. Blask w oczach Corfe'a pozbawił ją na chwilę odwagi – ją, która potrafiła sprzeciwiać się królom. Dojrzała w tych oczach siłę i gwałtowność, których przedtem nie zauważyła, trzymaną mocno w ryzach dzikość.

–A więc wróciłeś – rzekła cicho.

–Na to wygląda. – Wziął się w garść i opadł sztywno na jedno kolano. Z jego buciurów osypywały się grudy błota. – Wasza Wysokość.

–Mówiłam ci już, że masz się do mnie zwracać „pani”. Wstań. Wyglądasz na zmęczonego.

–Jestem zmęczony, pani.

Wyprostował się powoli, jak starzec. Zauważyła, że ma na zbroi plamy krwi, a do tego śmierdzi zastarzałym potem, koniem i ogniem.

–Na Boga – warknęła – nie mogłeś się przynajmniej wykąpać?

–Nie mogłem – odparł bez ogródek. – Nie miałem dokąd pójść. Wróciliśmy dopiero przed chwilą. – Zachwiał się. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest zmęczony. Zacisnęła usta i klasnęła w dłonie. Chares wszedł do komnaty przez główne drzwi i pokłonił się.

–Wasza Wysokość?

–Każ natychmiast przygotować tu kąpiel i przynieść czysty mundur dla pułkownika. Przyślij też paru lokajów, którzy znają się na swojej robocie.

–Natychmiast, Wasza Wysokość.

Chares opuścił pośpiesznie komnatę.

–Nie mam na to czasu – sprzeciwił się Corfe. – Moi ludzie...

–Czego potrzebujesz? – zapytała.

Zamrugnął z głupią miną, jakby zaskoczyło go to pytanie.

–Kwater i prowiantu dla trzystu ludzi. Stajni dla prawie ośmiuset koni i dwustu mułów. I paszy dla nich.

Tym razem to ona poczuła się zaskoczona.

–Koni?

–Łupy wojenne – wyjaśnił z cieniem uśmiechu.

–Zajmę się tym. Widzę, że nie marnowałeś czasu, pułkowniku.

–Mam wrażenie, że zrobiłem to, czego ode mnie oczekiwano.

I znowu ten blady uśmieszek. Tym razem go odwzajemniła.

Zardzewiałej zbroi nie dało się łatwo zdjąć. Dwaj wytrzeszczający oczy pałacowi lokaje musieli przecinać sprzączki, podczas gdy inni słudzy przynieśli wannę z brązu i napełnili ją gorącą wodą, kociołek po kociołku, aż wreszcie w całej komnacie unosiła się para. Jeszcze inni przynieśli czysty strój i buty. Królowa wdowa schowała się za parawan, tłumiąc śmiech, gdy słyszała, jak Corfe przeklina starających się mu pomóc pachołków. Usiadła za biurkiem i swym szybkim, urywanym pismem nakreśliła niezbędne rozkazy, które potem opatrzyła odciskiem sygnetu. Był taki sam, jak ten, który nosił jej syn, król. Przynajmniej tyle władzy udało się jej zachować. Pstryknęła palcami, by wezwać sługę.

–Zanieś to do głównego kwatermistrza – rozkazała. – Tylko migiem. Pułkowniku, gdzie są twoi ludzie? – zapytała, podnosząc głos.

Rozległo się stęknienie, a potem łoskot uderzającego o podłogę buciora.

–Poza obozami, pod południową bramą. Dowodzi nimi teraz haptman Andruw Cear-Adurhal. Można do nich trafić po zapachu pieczonego muła.

Służący wreszcie wyszli i usłyszała, jak Corfe pluszcze się w wannie za parawanem. Za parę minut po całym pałacu rozejdzie się wieść, że w prywatnych komnatach królowej wdowy kąpie się brudny pułkownik kawalerii. Zrobiła to celowo. Ludzie będą teraz z większą ostrożnością traktować jej protegowanego. To była nagroda za pomyślne przejście pierwszej próby.

A poza tym cieszyła się z jego obecności.

Pluskanie umilkło.

–Corfe?

Zajrzała za parawan. Zasnął w wannie. Usta miał otwarte, a ręce zwisały mu po bokach.

Wstała i podeszła do niego. W dworskich pantoflach poruszała się bezgłośnie jak pajak. Podłogę wokół wanny pokrywały woda i błoto. Przykucnęła obok Corfe'a i zmoczyła sobie spódnice.

Sen usunął z jego twarzy część bruzd. Wyglądała teraz młodziej. Przedramiona pokrywała sieć starych blizn, a w miejscu, gdzie otworzyła się nowsza, na udzie, woda nabrała koloru krwi. Dotknęła rany, przebiegając pod wodą palcami po jego ciele. Zacisnęła powieki i szrama zamknęła się pod jej palcami. Krwawienie ustało.

Obudził się nagle, rozpryskując wodę na wszystkie strony, i złapał ją za nadgarstek.

–Co ty robisz?

–Nic – odparła. – Absolutnie nic.

Pochyliła się i pocałowała go w nagi bark. Poczowała, jak drży pod jej ustami.

–Nieszczególnie boisz się skandalu, co? – zauważył.

–Nie bardziej niż ty.

Pogłaskał ją delikatnie po policzku dłonią stwardniałą od wodzy i rękojeści szabli. Przez moment przypominał niemal chłopca. Ale ta chwila szybko minęła. Na jego twarzy znowu pojawiły się bruzdy. Wyszedł z wanny i sięgnął po ręcznik, by okryć swą nagość. Sprawiał wrażenie oszołomionego.

–Muszę wracać do moich ludzi.

–Jeszcze nie – sprzeciwiła się twardszym głosem, prostując się razem z nim. – Kazałam zadbać o ich potrzeby. Jesteś mi teraz potrzebny tutaj.

–O co chodzi, o zapłatę?

–Nie bądź głupi – warknęła. – Ubieraj się. Mamy do omówienia wiele spraw.

Patrzył jej przez chwilę w oczy. Była pewna, że zdradzi ją pożądanie, jakie czuła, że straci panowanie nad sobą i zacznie go błagać. Odwróciła się. Służący zostawili w komnacie karafki z gaderiańskim winem, sarni udziec, jabłka, ser i świeży chleb. Nalała sobie odrobinę krwawoczerwonego trunku, czekając, aż Corfe wytrze się do sucha i wdzieje czarny mundur torunnańskiego piechociarza, który dla niego zostawiono. Jako kawalerzysta powinien nosić burgundowy i pomyślała, że byłoby mu w nim do twarzy, wiedziała jednak, że on woli czerń.

–Zjedz coś, na Boga – rozkazała.

Stał nieruchomo jak na paradzie. Widać było, że nie znosi dworskiego munduru z jego koronkowymi mankietami, ciasnym kołnierzem i półbutami zapinanymi na sprzączki.

Przez pewien czas toczyła się w nim swoista wewnętrzna walka, odbijająca się na jego twarzy.

–Twych ludzi już nakarmiono – zapewniła. – Przestań grać rolę szlachetnego dowódcy i sam napełnij żołądek. Wyglądasz, jakbyś umierał z głodu.

Wreszcie się odprężył. Widziała, że z trudem powstrzymuje się przed pożeraniem posiłku jak zwierzę. Zmuszał się do powolnego przeżuwania kęsów i popijania ich łyчками wina. Malujące się na twarzy zmęczenie ponownie nadało mu wygląd znacznie starszego, niż był rzeczywiście. Ile miał lat? Trzydzieści? Niewiele więcej, a może nawet mniej. Usiadł przy jednym z palących się piecyków, w jednej ręce trzymając pełen kielich, a w drugiej pajdę chleba. Na przemian jadł i popijał. Po chwili przerwał, zauważywszy jej spojrzenie.

–Dziękuję – powiedział cicho.

Siedziała naprzeciwko niego, żałując, że nie miała czasu przygotować paru odmładzających zaklęć. Dotkliwie zdawała sobie sprawę ze starczych plam na grzbietach dłoni. Nienawidziła siebie za takie nedorzeczne myśli.

–Widzę, że sam jesteś własnym kurierem – zaczęła. – Jak rozumiem, sprawy na południu załatwiłeś pomyślnie?

Skinął głową.

–Aras nadal tam siedzi. Pozwoliłem, żeby to on skończył robotę.

–Twoje dzikusy dobrze się spisały.

–Zdumiewająco dobrze.

Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała nuta prawdziwego ciepła, a twarz nabrała rumieńców. Streścił jej przebieg krótkiej kampanii. Nie przechwalał się ani nie umniejszał swych zasług. Kiedy skończył, spojrzała na niego z lekkim zdumieniem.

–A więc z Felimbrich można zrobić żołnierzy. Gdybyśmy o tym wiedzieli dwadzieścia lat temu, kraj mógłby uniknąć wielu nieszczęść. Mówisz, że zostało ci trzystu?

–Tak, pomijając dwudziestu paru rannych, których musiałem zostawić pod opieką Arasa.

Uśmiechnęła się, zadowolona, że może mu przekazać dobre wieści.

–Szczęśliwie się składa, że twoje dzikusy tak dobrze się spisały, bo pod Bramą Północną czeka na ciebie tysiąc nowych. Wygląda na to, że w górach wieści rozchodzą się szybko.

Nie chciała mu teraz mówić, że mało brakowało, by król zesłał tych ludzi na galery. I tak wkrótce się o tym dowie. Oczy mu zalśniły, a zaciśnięte na kielichu palce zbieleły.

–Na świętych...

Pochylił głowę i przez pełną zdumienia chwilę myślała, że może się rozplakać, ale zamiast płaczu usłyszała stłumiony śmiech. Gdy uniósł głowę, na jego twarzy rysowała się ulga, wyraźna jak słowa wyryte na nagrobku. Uświadomiła sobie, w jak wielkim napięciu musiał żyć.

Kielich pękł w kaskadzie szkarłatnych kropeł.

–Wybacz.

Strząsnął płyn z palców, wykrzywając twarz. Ze skaleczonej dłoni płynęła krew.

–Corfe... – powiedziała. Ujęła go za zakrwawioną dłoń i pociągnęła w swoją stronę. Przez chwilę czuła się tak, jakby szarpała za gałąź mocno wrośniętego w ziemię drzewa. Potem dał za wygraną. Ukląkł na podłodze i wtulił z westchnieniem głowę w jej kolana. Przywołała dweomer i zamknęła ranę w jego dłoni, odtwarzając skórę, jakby kształtowała ciepły wosk. Wypełniająca ją energia zaczęła przygasać pod wpływem zaklęcia. Poczwała w kończynach ciężar lat, usłyszała głos domagającej się jej życia starości.

Chciał wstać, ale go przytrzymała. Nagle poczuła, że potrzebuje jego młodości.

–Możesz chwilę odpocząć. Merducy wycofali z wału połowę armii. Wojna skończyła się na czas zimy. Dopilnuję, żeby twoi ludzie dostali wszystko, czego potrzebują.

–Zostań ze mną.

–Nie. – Uniósł głowę. Oczy miał suche. – Wojna dopiero się zaczyna. Jestem przekonany, że udało im się w jakiś sposób ominąć wał. Martellus ma kłopoty. Wiem o tym.

Znowu stał się żołnierzem. Odsunął się od niej. Puściła go, a on zaczął spacerować po pokoju. Wtem zatrzymał się, by spojrzeć na zranioną dłoń, a potem na Odelię.

–A więc rzeczywiście jesteś czarownicą.

–Jestem – przyznała ze znużeniem w głosie. – Co to za bzdury z tym wałem?

–To przeczucie, nic więcej. Czy mieliście ostatnio jakieś wieści od Martellusa?

–Od dziesięciu dni nie było nic. Ale drogi są złe.

–To znaczy, że już go odcięto.

–Och, na Boga! Czy jesteś jasnowidzem, że wiesz takie rzeczy dzięki samej intuicji?

Wzruszył ramionami.

–Wiem i już. Po co Merducy mieliby mobilizować wielką armię w środku zimy? To jasne, że planują kolejny szturm. Ale tym razem nie będą tłukli głową o mur. Zrobią coś innego, a my nie mamy pojęcia, co. I czas nie jest po naszej stronie. Muszę ruszać na północ.

Uświadomiła sobie, że go nie przekona.

–Potrzebujecie odpoczynku. Ty i twoi ludzie. Wyślę na wał kurierów. Przekonamy się, jak wygląda sytuacja.

Zawahał się.

–Zgoda.

Spojrzeli sobie w oczy. Odelia wiedziała, że ten człowiek ma w sobie wielkość. Widziała ją już przedtem w Johnie Mogenie. Zauważyła w nim jednak również coś innego. Ranę, która nie chciała się zagoić, dręczący go zastarzały ból. Przemknęło jej przez myśl, że to być może właśnie ten ból stał się bodźcem, który zmienił go ze

skromnego chorążego z Aekiru w kogoś, kogo miała teraz przed sobą, człowieka, którego gwiazda wciąż się wznosiła. Niemniej jednak ból nie zniknął.

Wstała i podeszła do Corfe'a, objęła go i pocałowała w usta, wpijając się w nie łapczywie.

–Chodźmy do łóżka.

Nadal był napięty, opierał się jej.

–Jeszcze się nie zameldowałem u króla. Muszę też obejrzeć tych nowych rekrutów... – Zawahał się. – Dlaczego? – zapytał. W jego głosie zabrzmiało szczere zdziwienie.

Uśmiechnęła się drapieżnie.

–Dlatego że tego chcę i ty również tego chcesz.

W końcu odwzajemnił jej uśmiech.

*

Sto pięćdziesiąt mil w linii prostej, w kierunku północ, północny wschód od komnaty, w której Corfe i królowa wdowa dzielili ze sobą łożę. Po drugiej stronie odludnych wzgórz ciągnących się wzdłuż Traktu Zachodniego, brązowej, błotnistej blizny, która przecinała ziemię, usiana wzdłuż całej długości niepogrzebanymi trupami. Na tej drodze, podczas ucieczki z Aekiru i wędrówki spod Wału Ormanna, umarły tysiące, nie mogąc już dłużej czepiać się życia, które zmieniło się w koszmar. Ich zwłoki leżały teraz pośród błota i deszczu.

Ale Wał Ormanna płonął.

Chmurę dymu, czarny złowrogi wyziew zniszczenia, było widać z odległości wielu mil. W tych oparach walczyli ludzie. Tysiąc Torunnan, którym odwagi dodawała desperacja, nadaremnie starało się powstrzymać napór merduckiej armii. Wróg przekroczył już Searil i wdzierał się na trzymilowe Długie Mury, które po raz pierwszy w ich długiej historii miały zostać zdobyte szturmem.

Reszta garnizonu wału była w pełnym odwrocie, działa zagwożdżono i porzucono, pozwalając im splonąć, a magazyny zniszczono. Żołnierze zabrali tylko broje, które mieli na sobie, i trzymaną w rękach broń. Towarzysze, których zostawili na wale, poświęcili życie, by zdobyć dla nich czas, bezcenne godziny marszu, mogące jeszcze ocalić niedobitki armii Martellusa.

Armia maszerowała w próżni. W okolicy było pełno nękających zbiegów oddziałów nieprzyjacielskiej lekkiej kawalerii, które odcięły łączność z Torunnem i z południem kraju. Nikt w stolicy nawet nie podejrzewał, że Wał Ormanna padł. Merducka lekka konnica zabiła już sześciu kurierów wysłanych przez zdesperowanego Martellusa na południe.

*

W odległości dziewięćdziesięciu mil posuwała się naprzód inna kolumna żołnierzy. Tym razem byli to obleczeni w czerń Fimbrianie, opierający na ramionach piki. Maszerowali szybko, pochłaniając mile w wyścigu ze śmiercią. Nadchodzili z północnego zachodu, ostatniego kierunku, w jakim patrzyłoby merduckie dowództwo naczelne. Dosiadający mułów zwiadowcy wysuwali się daleko przed główny oddział, wypatrując trzeciej przebywającej w tym regionie armii, by zetrzeć się z nią, zanim uderzy ona z całą mocą na flankę Martellusa i dokończy dzieła zniszczenia garnizonu wału.

*

A ta trzecia armia, największa, zsiadła już z okrętów, które przewiozły ją przez Morze Kardiańskie, i maszerowała miarowym tempem na północny zachód, by odciąć Martellusowi drogę odwrotu. W jej straży przedniej podążała doborowa merducka konnica, *ferinai*, a za nią oddziały szturmowe, *hraibadarzy*, uzbrojeni teraz w arkebuzy zamiast włóczni i tulwarów, z którymi szturmowali Aekir. Pośrodku kolumny sunęły zaś dziesiątki przypominających wieże słoni bojowych. Inne ciągnęły za nią po błocie wielkokalibrowe działa oblężnicze. Obok nich szli *minhraibowie*, feudalne pospolite ruszenie z Ostrabaru, a także konni łucznicy przysłani przez nowego sojusznika tego kraju, Sułtanat Nalbeni. Sto tysięcy ludzi maszerowało w czterech kolumnach, każda z nich długa na kilka mil. A w samym środku tego wędrującego tłumu włókł się rydwan ostrabarskiego sułtana, Aurungzeba Złotego. Za nim podążało osiemdziesiąt ciężko wyładowanych wozów, wiozących domowników sułtana, jego ekwipunek i konkubiny. Aurungzeb lubił wyruszać na wojnę z pompą.

–Odeszli – oznajmił Joshelin cichym, ochrypłym głosem. – Możecie już podnieść się z brzuchów, kapłani.

Albrec i Avila wygramolili się z wysokiej trawy, w której się schowali. Ukrywający się za nimi Siward również wstał, zgasił wolnopalny lont i wetknął go do zamka, żeby nie zwisał luźno.

–Co to byli za ludzie? – zapytał drugi Fimbrianin. – Furażerzy czy zwiadowcy?

–Zwiadowcy. Pół plutonu merduckiej lekkiej konnicy. Mam wrażenie, że oddalili się na sporą odległość od głównych sił. Gdzie się podziali Torunnanie? Można by pomyśleć, że oddali nieprzyjacielowi cały swój cholerny kraj.

Albrec i Avila bez słowa przysłuchiwali się tej rozmowie. Drżeli z zimna. Byli przemoczeni, wymazani błotem i głodni. Nogi ugiwały się pod nimi ze zmęczenia. Natomiast obaj starzy żołnierze sprawiali wrażenie wykonanych z jakiejś substancji innej niż słabe, ludzkie ciało. Byli dwadzieścia lat starsi od pary mnichów, ale zachowali siłę i sprawność młodzieńców.

–Czy musimy dzisiaj iść dalej? – zapytał Avila.

–Tak, kapłanie – odparł krótko Joshelin. – Według mojej rachuby pokonaliśmy dziś zaledwie dwadzieścia pięć mil. Nim zapadnie zmrok, przejdziemy jeszcze dwie albo trzy. Potem zatrzymamy się na noc. Ale żadnych ognisk. Na tych wzgórzach aż się roi od Merduków.

Avila oklapł bezwładnie. Potarł dłonią twarz, ale nic nie powiedział.

–Myślisz, że stolica jest jeszcze bezpieczna? – zapytał Albrec.

–Och, tak. To tylko zwiadowcy. Nieprzyjaciel wysyła przodem podjazdy lekkiej konnicy, żebyśmy nie mogli się niczego dowiedzieć o jego ruchach, podczas gdy on wie wszystko o naszych. To podstawowe zasady taktyki.

–Jesteśmy okropnymi ignorantami, skoro nie wiemy takich rzeczy – zauważył zgryźliwym tonem Avila. – Czy możemy już dosiąść mułów?

–Tak. Zwierzaki odpoczęły przez te ostatnie dziesięć mil.

Avila wymamrotał jakąś jadovitą uwagę, której żaden z nich nie zrozumiał.

Dwaj mnisi i dwaj Fimbrianie mieli już za sobą cztery dni wędrówki. Albrec nigdy nawet sobie nie wyobrażał, że ludzkie ciało jest w stanie znieść podobne trudy.

Nocami nie palili ognisk. Dygotali z zimna, tułąc się do mułów, żeby się ogrzać. Jedli soloną wołowinę oraz wojskowe suchary, w których roilo się od wołków zbożowych. Według obliczeń Joshelina za trzy dni mieli dotrzeć do Torunnu, o ile nadal zdołają unikać merduckich patroli. Trzy najbliższe dni wydawały im się długim okresem kary. Albrecowi łatwiej było myśleć o stawianiu kroku za krokiem albo dotarciu do najbliższego wzgórza widocznego na horyzoncie. Nie miał nawet siły się modlić. Tylko starożytny dokument, który niósł – nieporęczny i cały już pomarszczony – pozwalał mu utrzymać się na nogach. Gdy wreszcie odda go Macrobiusowi w Torunnie, jego umysł i ciało zaznają w końcu spokoju.

Pod koniec dnia Albrec i Avila byli odrętwiali ze zmęczenia i chwiali się na grzbietach mułów. Żadne doświadczenie w ich dotychczasowym życiu nie mogło ich przygotować na tę niewiarygodnie szybką podróż przez pustkowia. Stopy pokryły im pęcherze, z kikutów palców u nóg Avili sączyły się krew i surowica, a tyłki mieli obaj otarte niemal do żywego od topornych siodeł mułów. Gdy grupka wreszcie zatrzymała się na noc, mnisi byli już tak wykończeni, że było im wszystko jedno. Nie mieli nawet siły zsiąść z mułów. Ich towarzysze przez długą chwilę spoglądali na siebie bez słowa. Potem Siward zсадził obu mnichów, a Joshelin wyjął saperkę i zaczął kopać dół.

Zatrzymali się w cieniu małego lasu. Rosły w nim głównie świerki i sosny, a na obrzeżu również buki i brzozy o białej korze. W głębi lasu iglaste drzewa wyrastały bliżej siebie, a ziemię pokrywała gruba warstwa szpilek, po której wędrowcy poruszali się bezgłośnie jak koty. Noc zapadała szybko i w lesie zrobiło się już ciemno. Na otwartej przestrzeni wicher dał coraz silniej. Jego zawodzenie unosiło się nad torunnańskimi wzgórzami niczym głos samej zimy. Albrec nigdy jeszcze nie czuł się tak zagubiony, nigdy też nie przebywał na podobnym pustkowi. Za dnia mijali opuszczone gospodarstwa rolne i wzięli sobie trochę zapasów z ich spiżarni. Widzieli nawet przydrożną gospodę, bezludną jak górski szczyt. Wyglądało na to, że cała ludność północnej Torunny uciekła przed Merdukami. Czy Torunnie w ogóle mieli zamiar walczyć?

Gdy Joshelin wykopał już w ziemi dziurę do głębokości kolan, odrzucił saperkę i zaczął zbierać gałęzie spod liściastych drzew rosnących na skraju lasu. Siward rzucił dygoczącym mnichom dwa brudne, wilgotne koce, a potem rozsiodłał i wytarł muły, by następnie przytroczyć im do pysków pełne obroku worki. Zwierzęta były tak zmęczone, że nawet ich nie pętał, tylko przywiązał sznurem do pobliskiego drzewa.

W leśnym mroku zahuczała sowa, w oddali pisnęło i szczeknęło jakieś zwierzę, być może lis. Te głosy zwiększyły poczucie pustki, zamiast je złagodzić.

Posypały się iskry. W ich blasku ujrzeli twarz Joshelina, który pochylił się nad hubką i dmuchał na nią. Ogienek był maleńki, mniejszy niż płomień świecy. Fimbrianin rozniecał go delikatnie, jakby opiekował się chorym niemowlęciem, a gdy

płomień wyrósł na szerokość dłoni, przeniósł maleńką kupkę gałązek i igieł do wykopanego przedtem dołu i zaczął do niej dodawać większe gałęzie. Wyglądało to tak, jakby zaglądał w szczelinę prowadzącą do piekła. Albrec odgonił jednak tę myśl jako przynoszącą pecha.

Ogień palił się coraz jaśniej i obaj mnisi podczołgali się do ogniska.

–Dodawajcie opału – polecił im Joshelin. – Ja mam co innego do roboty.

–Myślałem, że mamy nie palić ognisk – sprzeciwił się Avila, wyciągając chciwie rękę ku płomieniom. Gdy jego koc się trochę ogrzał, zaczął śmierdzieć.

–Uznaliśmy, że przyda się wam odrobina ciepła – odparł Fimbrianin i oddalił się w ciemność, trzymając w dłoni wyciągnięty miecz.

–Ciemni żołdacy – mruknął Avila. Oczy miał zapadnięte. Blask ognia tańczył w nich niczym dwa żółte, świetliste robaki.

–Mam wrażenie, że głośno szczekają, ale nie gryzą zbyt mocno – sprzeciwił się Albrec, błogosławiąc ciepło ogniska i prostoduszną opiekuńczość ich towarzyszy.

Dobiegły ich odgłosy rąbania drewna, a potem obaj żołnierze wrócili w światło ogniska. Nieśli przypominającą parawan konstrukcję, którą skleccili ze splecionych ze sobą konarów, zatykając dziury bryłami gleby. Ustawili tę zasłonę przed ogniskiem od strony skraju lasu, a potem sami wreszcie usiedli, opatulając się czarnymi, wojskowymi płaszczami.

–Dziękujemy! – zawołał Albrec.

Rzucili mu bukłak z winem, wydobyty z juków.

–Dziś przynajmniej zjecie coś lepszego – oznajmił Joshelin. – Znaleźliśmy w tym gospodarstwie same pyszności.

Mieli kurczaka, już oskubanego i wypatroszonego, chleb, który miał kilka dobrych dni, ale w porównaniu z fimbriańskimi sucharami wydawał się ambrozją, a także trochę jabłek i cebuli. Kurczaka nadziali na gałąź i zawiesili nad ogniskiem, a resztę prowiantu pożarli, popijając ją podłym wińskim, na które w Charibonie na pewno by się krzywili. Dzisiaj pochłaniali je ze smakiem, jakby było najlepszym gaderiańskim trunkiem.

Siward wyjął z kieszeni na piersi bluzy krótką, czarną fajkę i nabił ją. Potem obaj z Joshelinem palili ją na zmianę. Dym był gęsty i gryzący, przesycony jakimś odorem, którego Albrec nie potrafił zidentyfikować.

–Mogę spróbować? – zapytał żołnierzy.

Siward wzruszył ramionami. Jego twarz była labiryntem światła i cienia w przeszywanym blaskiem ognia mroku.

–Pod warunkiem, że masz mocną głowę. To *kobhang*, ze wschodu.

–Ziele, które palą Merducy? Myślałem, że to trucizna.

–Tylko jeżeli się go nadużywa. *Kobhang* pomaga zwalczyć senność i wyostrza zmysły, ale nie można z nim przesadzać.

–Skąd go macie?

W Albrecu obudziła się ciekawość, pozwalając mu zapomnieć o zmęczeniu.

–To racje wojskowe. Fasujemy go razem z chlebem i soloną koniną. Kiedy nie ma nic do jedzenia, człowiek może przeżyć tygodnie na samym *kobhangu*.

–A może go potem przestać palić, jeśli chce? – wycedził Avila.

Joshelin przeszył go ostrym spojrzeniem.

–Jeżeli ma wystarczająco silną wole.

Albrec ujął bardzo ostrożnie fajkę w rękę i wciągnął głęboko w płuca haust gryzącego dymu. Nic się nie wydarzyło. Oddał z ulgą fajkę właścicielowi.

Potem jednak dręczące go bóle złagodniały, przechodząc w miłe odrętwienie. Poczuł, że mięśnie wypełnia mu siła, a ciało staje się lekkie jak ciało dziecka. Zamrugał zdumiony. Ognisko wydało mu się nagle urzekająco piękną plamą roztańczonego światła. Wyciągnął ku niemu rękę, ale Joshelin złapał ją na czas i ścisnął mocno.

–Trzeba z tym uważać, kapłanie.

Albrec skinął głową. Było mu głupio, ale jednocześnie ogarnęło go uniesienie.

–Nie zauważyłem, żebyście przedtem to palili – stwierdził Avila.

Siward wzruszył ramionami.

–Czujemy się już zmęczeni. Jesteśmy tylko ludźmi, inicjancie.

–Boże, błogosław moją duszę – odparł Avila, owijając się w cuchnący koc.

Zdjęli kurczaka z gałęzi i podzielili go na cztery części. Albrec nie czuł się już głodny, ale i tak pochłoniął przypalone mięso, nawet nie czując smaku. Umysł miał klarowny jak bryła lodu. Wszystkie jego zmartwienia zniknęły. Zaczął chichotać, ale nagle się powstrzymał, widząc, że trzech towarzysze przyglądają mu się uważnie.

–Ten *kobhang* to coś wspaniałego. Wspaniałego – mruknął i osunął się na miękkie sosnowe szpilki. Gdy tylko przyjął pozycję horyzontalną, natychmiast zaczął chrapać.

Avila przykrył go kocem, w którym było pełno dziur – pozostałości po innych nocach spędzonych w pobliżu ognisk.

–Rano opatrzę ci stopy – obiecał Joshelin.

Młody inicjant skinął głową i pociągnął długi łyk wina.

–Co zrobicie, gdy już odprowadzicie nas bezpiecznie do Torunnu? – zapytał.

Obaj Fimbrianie popatrzyli na siebie, a potem wbili spojrzenia w ogień.

–Będziemy czekać na dalsze rozkazy marszałka – odparł wreszcie Siward.

–Ale przecież nie wierzycie, że one nadejdą. Albrec mówił mi, co zamierza marszałek. On prowadzi swoich ludzi na pewną śmierć.

–Pilnuj własnego nosa, kapłanie – wysyczał z nagłą pasją Joshelin.

–To nie mój interes – przyznał Avila. – Dziwię się tylko, że nie zastanawialiście się, co z wami będzie, kiedy już wykonacie to zadanie.

–Jak już powiedziałeś – wychrypiał Joshelin – to nie twój interes. A teraz idź spać. Przyda ci się długi odpoczynek, jeśli masz zamiar jutro narzekać tak samo głośno jak dzisiaj.

Avila wpatrywał się w niego przez długą chwilę. Wreszcie na jego twarzy pojawił się uśmiech.

–Masz rację. Nie mogę się opuszczać.

DZIEWIĘĆ

Pomyślał, że Odelia w świetle poranka wygląda znacznie młodziej niż wczoraj. Leżał wsparty na łokciu i obserwował jej spokojny sen, a w jego umyśle sprzeczne uczucia i wspomnienia walczyły ze sobą o czołowe miejsce. Odepchnął je brutalnie, zatrzasnął im drzwi przed nosem i dzięki temu mógł przez chwilę przyglądać się jej z czymś bliskim zadowolenia.

Otworzyła oczy. Nie było porannego zasnania ani procesu budzenia. Natychmiast odzyskała pełnię świadomości, wiedziała, co się dzieje wokół. Oczy miała zielone jak płyuczny Morza Kardiańskiego pośrodku lata. Ten kolor kusił, przyciągał spojrzenie. Jego żona miała szare oczy. Łatwo pojawiał się w nich błysk wesołości i w ich głębi nie widziało się takiej wiedzy. Ale z drugiej strony jego żona umarła młodo.

–Tylko bez żałoby – rzekła cicho Odelia. – Nie dzisiaj. Nie pozwalam na to.

Jej słowa były władcze, ale wypowiedziała je niemal błagalnym tonem. Uśmiechnął się, pocałował wolne od bruzd czoło Odellii i usiadł. Chwila spokoju minęła, ale tego należało się spodziewać. Nie pragnął niczego więcej.

–Muszę już iść, pani – powiedział, czując się jak kochanek w jakiejś romantycznej balladzie. Chcąc wrócić do rzeczywistości, postawił nogi na kamiennej posadzce. – Czeka na mnie tysiąc ludzi.

–Cóż znaczy jedna kobieta w porównaniu z tysiącem barbarzyńców? – zapytała figlarnym tonem. Ona również wstała z łoża, naga i piękna. Zarzuciła na siebie jedwabną szatę. Włosy opadały jej na plecy złotą kaskadą. Cieszył się, że nie są ciemne. Tego już nie potrafiłby znieść.

Włożył dworski mundur, którego nie znosił, i wsunął stopy w niedorzeczne buciki. Po długich tygodniach noszenia ciężkich kawaleryjskich buciorów wydawały mu się delikatne jak bawełna.

Ktoś zapukał dyskretnie do drzwi.

–Słucham – odezwała się Odelia, nie odrywając spojrzenia od Corfe'a.

To była pokojówka.

–Wasza Wysokość, król jest w przedpokoju. Pragnie się natychmiast z tobą zobaczyć.

–Powiedz mu, że się ubieram.

–Wasza Wysokość, on nie chce czekać. Żąda, żeby go wpuścić natychmiast.

Odelia spojrzała z uśmiechem w oczy Corfe'a.

–Znajdź sobie jakiś ką, pułkowniku. – Zwróciła się w stronę drzwi. – Powiedz mu, że może wejść.

Pokojówka oddaliła się pośpiesznie. Corfe zaklął siarczyście.

–Postradałaś zmysły, Wasza Królewska Mość?

–Za wezglowiem jest gobelin, który świetnie się nada. Tylko uważaj, żeby palce u nóg spod niego nie wystawały.

–Na krew Świętego!

Corfe przełknął kolejne przekleństwa, pobiegł na drugi koniec komnaty i skrył się za gobelinem. Był luźno utkany i Corfe widział przezeń wszystko, jak przez gęstą mgłę. Serce waliło mu gwałtownie, jakby wybierał się na bitwę, znalazł jednak czas, by zadać sobie pytanie, czy przed nim chowali się tu już inni mężczyźni.

Po krótkiej chwili do komnaty królowej wdowy wkroczył król Torunny.

Odelia siedziała za toaletką, zwrócona do syna plecami. Czesła złote włosy.

–Sprawa musi być naprawdę pilna, jeśli wpadasz tu, zanim jeszcze zdążyłam się ubrać – stwierdziła cierpko.

Lofantyr omiół spojrzeniem komnatę. Zalewał go pot. Wyglądał jak przerażony chłopiec, wezwany do dyrektora szkoły.

–Matko, Wał Ormanna padł.

Szczotka zatrzymała się w połowie długości lśniących splotów. Corfe miał wrażenie, że jego serce również stanęło. Mało brakowało, by wyszedł zza gobelinu.

–Jesteś tego pewien?

–Merducką lekką jazdę widziano w odległości zaledwie dziesięciu mil od miejskich murów. Generał Menin wysłał wycieczkę, która rozbiła nieprzyjacielski patrol, biorąc część wrogów do niewoli. Przy jednym z nich znaleziono to.

Lofantyr pokazał matce mały, skórzany cylinder, pełen rys i plam.

–Tuba na dokumenty – stwierdziła mechanicznie Odelia. Wyrwała ją z rąk syna i otworzyła, wyciągając ukryty w środku zwój. Rozwinęła go i przeczytała. Papier drżał

w jej dłoniach jak schwytyany skowronek.

–To pieczęć Martellusa. Z pewnością jest autentyczny. Opatrzony przedwczorajszą datą. Kurier musiał szybko posuwać się naprzód, zanim go dopadli. Na krew miłosiernego Świętego, Martellus zmierza ku stolicy. Dziesięć tysięcy ludzi, Lofantyrze. Musimy wysłać armię z odsieczą.

–Oszalałaś, matko? W okolicy roi się od nieprzyjacielskich oddziałów. Ludzie generała Menina ledwie zdołali wrócić żywi. Trzeba się przygotować do oblężenia miasta. Martellus będzie musiał poradzić sobie sam. Nie mogę ryzykować utraty ludzi.

Odelia uniosła głowę.

–Żartujesz sobie ze mnie?

–Tak radzi postąpić Sztab Generalny – tłumaczył się król. – A ja się z nim zgadzam. Wydałem już rozkazy zlikwidowania obozów uchodźców z Aekiru i przetransportowania ich mieszkańców na południe. Flota kotwaczy w ujściu. Merducy wykrwawią się pod naszymi murami.

–Z pewnością tak samo, jak wykrwawili się pod Aekirem i pod Wałem Ormanna – zauważyła królowa wdowa. – Na Boga, Lofantyrze, zastanów się, co robisz. Oddajesz wrogowi jedną czwartą kraju i jego mieszkańców. Skazujesz na zagładę Martellusa i jego armię. Najlepszych żołnierzy, jakich mamy. Synu, nie wolno ci tego zrobić.

–Właśnie wypisywane są niezbędne rozkazy – warknął król. – Byłbym wdzięczny, gdybyś pamiętała, kto jest władcą tego królestwa, matko. – Jego głos nabral przenikliwego tonu, a na skronie wystąpiły kropelki potu. Wyrwał jej z ręki pismo od Martellusa. – Od tej pory sprawy państwowe nie będą cię już interesować. – Omiótł spojrzeniem komnatę, zatrzymując je na dwóch kielichach i zmiętej pościeli. – Widzę zresztą, że masz inne zajęcia. Po południu przyślę kancelistę po pieczęć, która nadal jest w twoim posiadaniu. Życzę miłego dnia.

Pokłonił się z szaleństwem w oczach, odwrócił i wybiegł z komnaty, ocierając po drodze pot z czoła.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Corfe opuścił kryjówkę. Królowa wdowa siedziała za toaletką. Broda opadała jej na piersi. Odelia spojrzała na niego i wstrząśnięty Corfe zauważył w jej oczach łzy, choć twarz miała nieruchomą jak oblicze posągu.

–Jeden Bóg wie, jak to możliwe, że wydałam na świat coś takiego – oznajmiła. Jakaś nuta w jej tonie sprawiła, że włoski na karku Corfe'a zjeżyły się nagle.

Wstała.

–Ten dureń nie miał nawet odwagi samemu zabrać mi pieczęci. Musi uciec się do pomocy sługusa. No cóż, ostrzegł mnie, a to już coś. Musimy wydać ci rozkazy, pułkowniku, sformułowane wystarczająco niejasno, żeby nie można cię było oskarżyć o ich przekroczenie. Zajmę się tym natychmiast.

Corfe był już u drzwi. Ścisnął w rękach stary mundur i rdzewiejącą merducką zbroję, a pendent z szablą przewiesił sobie przez ramię.

–Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał ostrym tonem.

–Ocal Martellusa, jeśli zdołasz. Zrób użytek z dzikusów, którzy czekają u bram. Nie dostaniesz nic więcej. O ile dobrze zrozumiałam ten meldunek, Martellusa dzieli jeszcze od miasta tydzień marszu.

–Marszu piechoty – wyjaśnił Corfe. – Moi ludzie pokonają tę drogę dwukrotnie szybciej. – Zawahał się. – Naprawdę wierzysz w to, że moje dzikusy mogą coś zmienić?

–W przeciwnym razie bym cię nie wysyłała. Kiedy będziesz mógł wyruszyć?

Zastanowił się nad tym pytaniem. Jego ludzie byli doszczętnie wyczerpani, podobnie jak ich wierzchowce. Otrzymał tysiąc nowych rekrutów, których należało zintegrować z resztą oddziału.

–Potrzebuję przynajmniej dnia. A najlepiej dwóch – odpowiedział.

–Proszę bardzo.

Corfe odwrócił się w stronę wyjścia, ale Odelia go powstrzymała.

–Jeszcze jedna sprawa, pułkowniku. A właściwie dwie. Po pierwsze, gdzieś tam jest fimbriańskie duże *tercio*, które próbuje przeciąć drogę południowej armii Merduków. Niewykluczone, że Fimbrianie są bliżej ciebie niż Martellus. Nie chcę uczyć cię taktyki, ale może lepiej by było, gdybyś połączył z nimi siły, nim zaatakujesz nieprzyjaciela.

Corfe skinął głową. Jego umysł pracował jak szalony, przetwarzając tę informację, starając się ułożyć nowy plan.

–A po drugie – ciągnęła królowa wdowa – wypiszę dla ciebie nominację, która będzie czekała na twój powrót. Jeśli uda ci się ocalić Martellusa i Fimbrian, zostaniesz generałem, Corfe.

Spojrzał na nią bez cienia uśmiechu. Poczulem smak marchewki, pomyślał. Kiedy nadejdzie pora na kij?

-Do widzenia, pani – rzekł i opuścił komnatę.

Jego ludzi zakwaterowano w pustym magazynie nad brzegiem rzeki. Leżeli na kamiennej podłodze zasłanej niewystarczającą ilością słomy i nie mieli czym się przykryć. Między ciałami śpiących stały otwarte beczki z soloną wieprzowiną i sucharami oraz antałki słabego piwa, pitego codziennie przez torunnańskich żołnierzy. Zerwali z oblicówki trochę desek, żeby rozpalić ogniska. Na wypełniający magazyn zaduch składał się smród niemytych dzikusów oraz szczypiący w oczy dym. Corfe obudził Andruwa, Marscha i Ebra. Wszyscy trzej gapili się na niego, jakby był duchem. Oczy mieli czerwone i podkrążone, a mundury nadal brudne po marszu na północ.

–Hej, cóż to za fircyk – zawołał Andruw, przecierając oczy. Zdołał uśmiechnąć się ze znużeniem.

Corfe zdjął dworski mundur, zastępując go starym. Okropnie zawstydził się myśli, że jest czysty i porządnie ubrany, podczas gdy jego ludzie śpią jak włóczędzy na zasłanej słomą kamiennej posadzce.

–Myślałem, że zakwaterują was w regularnych koszarach – rzucił z gniewem.

–Widać nie mogli znaleźć nic innego – wyjaśnił Andruw. – Mnie tam jest wszystko jedno. Mógłbym spać nawet w rowie. Ludzie też. O konie zadbali jak należy. Dopilnowałem tego. One też mają podścielone słomą.

–Dajmy ludziom trochę pospać. Wy trzej chodźcie ze mną. Czeka nas robota.

Trzej oficerowie podążyli za nim jak starzy, sterani życiem ludzie. Wyraz twarzy Corfe'a skutecznie zniechęcił ich do zadawania pytań.

Zimą ulice Torunnu, jak zresztą wszystkich północnych miast, zamieniały się w trzęsawisko. Prostacy brodzili w błocku po kostki, a szlachetnie urodzeni jeździli konno albo przemieszczali się w lektykach bądź powozach. Trudno było się przedzierać przez ciżbę pośród siąpiącej mżawki, ale deszczyk przynajmniej ich rozbudził. Corfe cieszył się z tego. Czuł jeszcze na skórze zapach Odelii, przebijający się nawet przez smród szkarłatnej zbroi.

Od czasu do czasu przez tłum cywili przepychały się kompanie regularnych torunnańskich żołnierzy. Wszyscy zmiierzali na mury. W stolicy panował intensywny ruch, ale nie wyczuwało się dotąd oznak paniki ani nawet niepokoju. Wieści o upadku Wału Ormanna nie zdążyły się jeszcze rozejść, choć wiadano już, że uchodźcy mają być przeniesieni z otaczających miasto obozów. Gdy ich czwórka zmiierzała do północnej bramy, Corfe wprowadził podkomendnych w sytuację. Andruw zapadł w złowrogie milczenie. Służył na wale, podobnie jak Corfe, ale dłużej od niego.

Martellus był jego przyjacielem, a wał stał się dlań drugim domem. Z drugiej strony, nastrój Marscha wyraźnie się poprawił. Dzikus niemal się uradował na myśl o spotkaniu z tysiącem rodaków.

Kandydaci na rekrutów obozowali w odległości mili od bram, poza obozem uchodźców. Corfe z zadowoleniem zauważył, że wystawili strażę. Gdy on i jego towarzysze wdrapali się na wzgórze, z obozu wynurzyła się grupka jeźdźców i zatrzymała dziesięć stóp przed nimi, bryzgając błotem. Pierwszy z dzikusów, młody, kruczowłosy mężczyzna o szczupłej, dziewczęcej budowie, zawołał coś w języku plemion i Marsch mu odpowiedział. Corfe usłyszał własne imię i ciemnowłosy młodzieniec wbił weń wzrok.

–Mam nadzieję, że oni nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do wyglądu – mruknął Andruw. – Trzeba było przyjechać tu konno.

Ciemnowłosy jeździec zsunął się płynnym ruchem z siodła i podszedł do nich. Był jeszcze niższy niż Corfe i nosił staromodną, pięknie wykonaną kolczugę. U jego boku wisiała długa, krzywa szabla. Corfe zauważył też lekką lancę, przytroczoną do gałki siodła.

–To jest Morin – przedstawił go Marsch. – Pochodzi z Cymbrian. Towarzyszy mu sześciuset współplemieńców. Reszta to Feldari oraz garstka moich pobratymców, Felimbrich. Zastęp wybrał go na swego wodza.

Corfe skinął głową.

Ciemnowłosy barbarzyńca wygłosił długą, pełną pasji przemowę w ojczystym języku.

–Chce się dowiedzieć, czy to prawda, że jego ludzie mają walczyć tylko z Merdukami – przetłumaczył Marsch.

–Powiedz mu, że to prawda.

–Ale on mówi, że będzie walczył również z Torunnanami, jeśli tego zapragniesz. Kiedy tu przybyli, próbowali zamienić jego ludzi w niewolników i zabrali im broń. Trzech zabito. Ale potem zwrócili im wolność. Nie... – ton głosu Marscha stał się przepraszający -...nie ufa Torunnanom, ale słyszał, że byłeś oficerem Johna Mogena, z pewnością więc jesteś człowiekiem honoru.

Corfe i Andruw popatrzyli na siebie.

–Widzę, że Torunna nadal słynie z wojskowej etykiety – wyszeptał Andruw. – Dziwię się, że natychmiast nie spierdzielili z powrotem w góry.

–Chcą walczyć – wyjaśnił Marsch. Stojący obok niego chorąży Ebro, koronny przykład torunnańskiej wojskowej etykiety, z pełną złości miną wbił wzrok w ziemię.

–Powiedz Morinowi – zaczął Corfe, wpatrując się w ciemnowłosego barbarzyńcę – że dopóki jego podkomendni będą służyli pod moimi rozkazami, będą traktowani jak ludzie i będę przemawiał w ich imieniu w każdej sprawie. Jeżeli nie dochowam im wiary, niech morza powstaną i mnie pochłoną, niech zielone wzgórza otworzą się i mnie połkną, niech gwiazdy spadną na mnie z nieba i mnie zmiażdżą.

To była starożytna przysięga górskich plemion, którą złożyli mu ongiś Marsch i pozostali Katedralnicy. Gdy Marsch przetłumaczył ją ciemnowłosemu dzikusowi do końca, Morin bezzwłocznie opadł na jedno kolano i podsunął Corfe’owi rękojeść szabli. Następnie Corfe usłyszał te same słowa wypowiedziane w dźwięcznej mowie Cymbrian.

Jego mała armia powiększyła się o tysiąc żołnierzy.

DZIESIĘĆ

Żeby przygotować oddział do wymarszu na północ, potrzebował nie dwóch, ale trzech dni. Tysiąc trzystu ludzi i blisko dwa tysiące koni, a do tego około dwustu mułów z taboru. Całą kolumnę wyposażono w nikomu niepotrzebne merduckie zbroje, które butwiały w magazynie kwatermistrza. Ekwipunek nowych rekrutów pomalowano na czerwono, tak jak w przypadku pierwszych Katedralników. Z początku barbarzyńcy spoglądali z niechęcią na merducki rynsztunek. W przeciwieństwie do Marscha i pięciuset jego ludzi mieli własną broń i pięknie wykończone kolczugi. Corfe uparł się jednak, że muszą nosić takie same zbroje, w jakich jego ludzie walczyli na południu. Poza tym chciał z nich zrobić ciężką jazdę, której szarża rozbije szeregi wroga. Połowa nowo przybyłych miała potężne refleksyjne łuki kompozytowe wykonane z rogu i górskiego cisa, u łęków ich siodeł wisiały najeżone strzałami kolczany, a teraz otrzymali jeszcze lance ciężkiej merduckiej konnicy. Mieli być oddziałami szturmowymi.

Tysiąc trzystu ludzi, z czego tysiąc nigdy dotąd nie służyło w zorganizowanej armii. Corfe podzielił ich na dwadzieścia sześć plutonów, po pięćdziesięciu ludzi każdy. Trzystu ocalałych weteranów z pierwszej grupy rozproszył po wszystkich pododdziałach jako podoficerów. Dwa plutony składały się na szwadron, a cztery szwadrony na skrzydło. Miał więc w sumie trzy skrzydła, plus jeden szwadron odwodów, który pilnował taborów i zapasowych wierzchowców. Corfe mianował Andruwa, Ebra i Marscha dowódcami skrzydeł. Ebro niemalże zaniemówił z wdzięczności, gdy się dowiedział, że wreszcie otrzyma szansę dowodzenia prawdziwym oddziałem.

Na papierze wszystko to wyglądało bardzo pięknie, ale rzeczywistość była nieporównanie bardziej skomplikowana. Potrzeba było półtora dnia, żeby wyekwipować nowych ludzi i przeorganizować oddział. Okazało się, że Morin całkiem nieźle mówi po normańsku i Corfe mianował go swoim adiutantem oraz tłumaczem. Dzikus nie był zachwycony faktem, że nie został dowódcą skrzydła, ale nie miał pojęcia o taktyce, jaką zamierzał zastosować Corfe, musiał więc zadowolić się obietnicą, że stanowisko dowódcy otrzyma w przyszłości. Na razie jego dumę zaspokajało przekazywanie innym rozkazów Corfe'a, jakby to on sam je wydawał.

Oddział był bardzo niejednorodny i należało się obawiać wystąpienia podziałów plemiennych. Nowi ludzie uważali się za Cymbrian i Feldarich, nie za Katedralników, ale Corfe wiedział, że gdy stoczą razem kilka bitew, sytuacja się zmieni.

W ich obozie przez całą dobę panował ruch. Andruw zagonił dwa szwadrony do pracy przy przenoszeniu zapasów z magazynów torunnańskiego kwatermistrzostwa. Tamtejsi pracownicy byli niezadowoleni, a nawet lekko oburzeni, i gdyby nie dobra wola kwatermistrza Passifala, jego ludziom nie wydano by ani jednego suchara. Inni

zajęli się podkuwaniem koni i przeróbką zbroi, natomiast Corfe prowadził ćwiczenia musztry na pustym polu na północ od stolicy. Na murach gromadziło się mnóstwo zafascynowanych, a niekiedy niekryjących wzgardy gapiów.

Zmuszał swych ludzi do ciężkiej pracy, ale siebie także nie oszczędzał. Trzeciego dnia wszystkie trzy skrzydła potrafiły już – z pewną dozą przepychanek i przekleństw – przejść z kolumny marszowej do szarży na jeden sygnał trąbki Cerne’a, który był trębaczem oddziału. Torunnański instruktor musztry wytrzeszczyłby oczy z przerażenia na widok ich poczynań, ale Corfe uznał, że rezultat jest całkiem zadowalający. Nie było czasu na naukę niuansów. Najbardziej niepokoiła go wizja, że jego ludzie mogą złamać szyk i zmienić się z powrotem w hordę barbarzyńców, zwłaszcza jeśli uda im się zmusić nieprzyjaciela do odwrotu. Podczas narad przy ogniskach wbijał im w głowę za pośrednictwem Morina, że nie wolno podczas natarcia opuszczać szyku bez wyraźnego rozkazu dowódcy skrzydła. Niektórzy szemrali, a ktoś ukryty w mroku, z tyłu tłumu, krzyknął, że są wojownikami, nie niewolnikami, i nie trzeba ich uczyć jak mają walczyć.

–Walczcie tak, jak wam mówię! – odkrzyknął Corfe. – Chociaż raz walczcie tak, jak wam mówię, i jeśli nie dam wam zwycięstwa, będziecie mogli robić to tak, jak zechcecie. Ale zapytajcie Marscha i jego Felimbrich, a powiedzą wam, że mój sposób jest najlepszy.

Szemranie ustało. Ludzie słyszeli już o bitwach stoczonych przez Katedralników na południu, o tym, że zwyciężyli tam znacznie liczniejszego nieprzyjaciela. Corfe uświadomił sobie, że musi sprostać próbie. Jeśli powiedzie tych ludzi do klęski, nigdy już nie odzyska ich zaufania. Oni szanowali zdolności, nie rangę, czyny, nie kwieciste przemowy.

Nocą przed wymarszem ponownie wezwano go do królowej wdowy. Pojawił się w jej komnatach w starym, wystrzępionym mundurze, zdając sobie sprawę z szeptów, jakie wywołuje jego obecność w pałacu. Plotki szerzyły się w mieście z szybkością pożaru: Torunn czekało oblężenie, tak samo jak Aekir, król zamierzał oddać miasto wrogowi i wycofać garnizon na południe, planowano podpisać traktat, zawrzeć ugodę. Martellus zginął, odniósł zwycięstwo, był zakładnikiem Merduków. Nikt nie potrafił odróżnić prawdy od fikcji i tysiące ludzi uciekały z Torunnu. Szeregi wozów, bryczek, ręcznych wózków i wędrujących na piechotę uchodźców kierowały się na południe. W Aekirze – dopóki dowodził nimi John Mogen, a mury jeszcze stały – mieli nadzieję, a nawet pewność, że w końcu zwyciężą. Tutaj nadzieja opuszczała ich razem z tłumami uciekinierów. Corfe’a ogarniały mdłości na ten widok. Zaczynał zadawać sobie pytanie, czy cokolwiek ze świata, który znał, przetrwa następną zimę.

Gdy wprowadzono go do komnaty, Odelia była sama. Siedziała obok piecyka, a jej postać rzucała na ściany wysokie, mroczne cienie.

–Pani.

Coś uciekło od blasku płomieni, za szybko, by mógł się temu przyjrzeć, ale królowa wdowa się nie poruszyła.

–Miałeś szczęście, pułkowniku.

–A to dlaczego, pani?

–Prawie o tobie zapomniano. Do tej pory udało ci się pozostać niezauważonym.

Corfe zmarszczył brwi.

–Nie rozumiem.

–Chodzi mi o to, że mój syn, król, zapomniał o tobie, gdyż jest... podekscytowany bieżącymi wydarzeniami. Ale komuś innemu, pułkownikowi Meninowi... właściwie powinnam go teraz zwać generałem Meninem... właśnie uświadomiono fakt twego istnienia. Im prędzej opuścisz miasto, tym lepiej.

–Rozumiem – mruknął Corfe. – Czy będzie dążył do konfliktu z tego powodu?

Odelia uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

–Nie mam pojęcia. Nie wtajemniczają mnie już w poczynania rządu. Instynkt mi mówi, że mój syn jest bojaźliwy, a jego generał to dureń. Sługusi Menina obserwowali, jak musztrujesz swoich ludzi. Jutro rano otrzymasz nowe rozkazy. Masz przekazać swój oddział innemu, bardziej... posłusznemu oficerowi, który właśnie dzisiaj przybył z południa.

–Arasowi – wysyczał Corfe.

–W rzeczy samej. Według jego relacji zostawiłeś tam niedokończoną robotę i musiał stoczyć lwią część walk, podczas gdy ty czmychnąłeś na północ, do łoża królowej wdowy.

Uśmiech Odellii wyglądał w blasku płomieni jak blizna przecinająca jej twarz.

–Zostawiłem z tym łotrem moich rannych.

–Nie obawiaj się, kazałam Passifalowi zakwaterować ich gdzieś na uboczu. Ale musisz ruszyć w pole, Corfe, zanim cię zniszczą.

–Opuścimy miasto o świcie. A w tej sytuacji może nawet wcześniej.

–O świcie powinno wystarczyć. Ale żadnych fanfar. Lepiej, żebyście oddalili się dyskretnie.

–Czy kiedykolwiek nie byłem dyskretny, pani?

Roześmiała się nagle, jak młoda dziewczyna.

–Nie martw się, Corfe. Pamiętaj tylko, żebyś wrócił z wieńcem triumfatora na czole, a ja już załatwię resztę. Zachowałam jeszcze pewne wpływy, nawet w Naczelnym Dowództwie. Nie po to cię tu jednak wezwałam. Mam coś dla ciebie.

Odsunęła tkaninę, odsłaniając długie, lśniące pudło z drewna. Corfe podszedł bliżej. Był zaintrygowany, ale irytowała go strata czasu.

–No, otwórz je!

Zrobił, co mu kazała. W środku, na jedwabnej wyściółce, spoczywała długa, błyszcząca szabla.

–Jest twoja. Mam nadzieję, że przyniesie ci szczęście. Leży tu już od sześciu lat.

Corfe uniósł oręż. To była ciężka szabla kawaleryjska, lekko zakrzywiona i obusieczna. Miała prostą, koszową rękojeść. Opleciony drutem uchwyt z kości słoniowej pociemniał od potu. Dzierżył w dłoni starą broń, która oglądała już niejedną walkę. Na klindze widniały maleńkie rysy. Przyjrzał się uważniej i zobaczył kręty błysk licznych warstw metalu.

–Na pewno jest bardzo stara – mruknął zachwycony.

–Należała do Johna Mogeny.

–Mój Boże!

–Nazwał ją *Hanoran*. Po staronormańsku to znaczy „udzielająca odpowiedzi”. To była jego rodowa pamiątka. Zostawił ją tutaj, gdy odjeżdżał do Aekiru, by objąć stanowisko gubernatora. Równie dobrze mogę ją oddać tobie.

Jej głos brzmiał lekceważąco, ale oczy wpatrywały się w niego niczym dwa kawałki oliwinu.

–Dziękuję, pani. Ten dar znaczy dla mnie bardzo wiele.

–On chciałby, żebyś to ty ją dostał. Chciałby, żeby znowu posmakowała krwi w rękach dzielnego wojownika, a nie leżała zakurzona w komnatach starej baby.

Corfe spojrział na nią z uśmiechem. Lekka, wspaniale wyważona broń nappełniła go radością. Rękojeść pasowała do jego dłoni, jakby szablę zrobiono specjalnie dla niego. Pod wpływem nagłego impulsu uklęknął przed Odelią.

–Pani, może to niewiele, ale dowiedz się, że masz w tym królestwie przynajmniej jednego obrońcę. – Uniósł rozradowane spojrzenie. – I wcale nie jesteś taka stara.

Znowu się roześmiała.

–Kto by pomyślał, galanteria! Jeszcze zrobię z ciebie dworaka, Corfe.

Wstała i w tej chwili rzeczywiście wydawała się młodą, dwudziestoparoletnią kobietą, choć w rzeczywistości musiała być prawie dwukrotnie starsza. Corfe pomyślał, że jest piękna. Podziwiał jej urodę. Odelia pogłaskała go po policzku dłonią o długich palcach.

–To by było wszystko, pułkowniku. Nie będę cię już dłużej powstrzymywała przed powrotem do twoich barbarzyńców. Musisz, naprawdę musisz, opuścić miasto o wschodzie słońca. Stocz bitwę, wróć z Martellusem i jego ludźmi, a gwarantuję, że nikt nie będzie mógł cię tknąć.

Skinął głową. Udzielająca Odpowiedzi wsunęła się do jego pochwy z ledwie słyszalnym trzaskiem, choć była o cal za długa. Poobtłukiwaną szablę, która towarzyszyła mu od Aekiru, cisnął z brzękiem w kąt. Na koniec pokłonił się Odelii i wyszedł z komnaty, nie oglądając się za siebie.

Królowa wdowa podniosła jego odrzuconą szablę i umieściła ją w wyłożonej jedwabiem szkatule, w której przedtem leżała broń Mogena, a potem odłożyła ją delikatnie, jakby kryła w sobie wielki skarb.

Szara godzina przed świtem, chłód jak na cmentarzu. Pośród spustoszonych wzgórz, biegnących wzdłuż Traktu Zachodniego na północ od Torunnu grupka znużonych wędrowców zatrzymała się, by spojrzeć na rozciągającą się w oddali stolicę Torunnu. Płonące na murach pochodnie wyglądały jak wąż z klejnotów wijący się przez uśpioną krainę, a szeroki i głęboki Torrin zrobił się jasny jak żelazna wstęga, gdy niebo na wschodzie, nad Górami Jafrarskimi, zaczęło różowieć.

Dwaj mnisi, dwaj fimbriańscy żołnierze i dwa pólzywe muły, wszyscy ubłoceni po wyczerpującej podróży. Stali w milczeniu jak monolity opromienione blaskiem wschodzącego słońca, aż wreszcie młodszy z dwóch duchownych, który miał ohydnie okaleczoną twarz, padł na kolana i złożył ręce w modlitwie:

–Dzięki Bogu, och, dzięki Bogu.

Żołnierze rozglądali się czujnie wokół jak ścigane przez myśliwych lisy, ale nie było tu widać nikogo oprócz kołujących nad wzgórzami kań.

–Możecie rozpaść to ognisko – oznajmił mnichom jeden z nich. – Wątpię, żeby Merducy zapuścili się tak blisko miejskich murów.

–Czemu nie pojedziemy prosto do miasta? – sprzeciwił się Avila. – To najwyżej trzy mile. Jestem pewien, że damy radę.

–Zaczekamy, aż zrobi się zupełnie jasno – wyjaśnił Siward. – Gdybyśmy teraz zbliżyli się do bram, mogliby nas zastrzelić. Torunnowi grozi oblężenie i strażnicy u bram na pewno są podenerwowani. Nie po to pokonałem tak długą drogę, żeby teraz zginąć od torunnańskiej kuli.

Nie było już więcej dyskusji. Zresztą obaj mnisi ledwie trzymali się na nogach. Szli przez całą noc. Joshelin i Siward zdjęli kilka wiązek dREW z grzbietu jednego z mułów, rzucili swym podopiecznym na wPÓł opróżniony bukłak wina i zajęli się hubką oraz krzesiwem. Albrec i Avila wycisnęli sobie wino prosto do gardeł, gdyż nie mieli na śniadanie nic innego, a potem usiedli i wpatrzyli się w ostatnią ramusiańską stolicę na wschód od Gór Cymbryckich.

–Święty z pewnością nad nami czuwał – stwierdził Albrec drżącym głosem. – Cóż to była za pokuta, Avilo. Nigdy w życiu nie byłem taki zmęczony. Ale to oczyszcza duszę. Błogosławiony Święty...

–Zbliżają się jeźdźcy! – krzyknął Avila.

Joshelin i Siward zdeptali nogami rozpalające się ognisko, przeklinając głośno, a

potem padli na ziemię, pociągając za sobą zmęczone muły.

–Z której strony?

–Mój Boże, to cała armia! – zawołał Avila. – Tam... widzę kolumnę jeźdźców. Na pewno wyjechali z miasta.

Nawet poorane bruzdami oblicza obu Fimbrian przybrały wyraz rozpacz.

–To Merducy – jęknął Siward. – Torunn już padł.

Z determinacją na twarzy zaczął ładować arkebus, podczas gdy Joshelin zawzięcie próbował zapalić wolnopalny lont.

–Mają szkarłatne zbroje – mówił pozbawionym wyrazu głosem Albrec. – Słodcy święci, pomyśleć, że pokonaliśmy tak długą drogę tylko po to, żeby skończyć w ten sposób.

To rzeczywiście była armia, długa, zdyscyplinowana kolumna zakutej w ciężkie zbroje konnicy, z górą tysiąc żołnierzy. Jechali pod dziwną chorągwią, czarno-szkarłatną, a niektórzy z nich śpiewali w nieznanym języku, który w uszach dwóch przerażonych mnichów brzmiał twardo i po barbarzyńsku. Mieli przejechać na odległość zaledwie kilku kroków od ich czwórki, a za zagłębieniem, w którym się ukryli, na przestrzeni wielu mil była tylko otwarta przestrzeń. Nie mieli dokąd uciekać.

Albrec modlił się żarliwie, zaciskając mocno powieki, Avila siedział nieruchomo ze zrezygnowaną miną, a obaj Fimbrianie sprawiali wrażenie, że zamierzają drogo sprzedać życie. Czoło kolumny znajdowało się już tylko w odległości kabla i obaj żołnierze zaczęli unosić powoli broń, gdy nagle usłyszeli, jak ktoś krzyknął, z całą pewnością po normańsku:

–Powiedz Ebrewi, żeby jego cholerne skrzydło nie zjeżdżało z drogi! Nie pozwolę, żeby się rozłazili! Słyszałeś mnie, Andruw? Na krew Świętego, to nie cholerny piknik!

Albrec otworzył oczy.

Zmierzający przodem jeźdźcy ściągnęli wodze. Jeden z nich uniósł rękę, zatrzymując kolumnę. Zauważono mnichów. Grupka żołnierzy pognęła galopem w ich stronę. Zbroje lśniły cynobrowo w słabym blasku wschodzącego słońca. Chorągiew wyduła się na zimnym wietrze i Albrec zauważył na niej godło przypominające wieże katedry. Wstał, choć trzej towarzysze próbowali ściągnąć go z powrotem na ziemię.

–Dzień dobry! – zawołał. Serce waliło mu w piersi jak armatnie salwy.

Pierwszy z jeźdźców podjechał do nich stępa, wytrzeszczając oczy, a potem zdjął barbarzyński hełm.

–Dzień dobry – odpowiedział. Miał ciemne włosy i zapadnięte, szare oczy. Przypominał Albrecowi Fimbrian, którzy leżeli tuż za nim. Twardy, groźny i pełen wrodzonego autorytetu. Był młody, ale miał spojrzenie człowieka w średnim wieku. Towarzyszył mu drugi, wystrugany z tego samego drewna, ale niepozbawiony pewnej wesołości, której nie potrafiła stłumić nawet dziwaczna zbroja. W świetle poranka obaj wyglądali jak wojownicy ze starożytnych legend, którzy nagle powrócili do życia.

–Kim jesteście? – zapytał Albrec drżącym głosem.

–Jestem Corfe Cear-Inaf, pułkownik armii torunnańskiej, a to mój oddział. – Mężczyzna otworzył szerzej oczy, gdy wreszcie pokazali mu się towarzysze Albreca. – Czy przypadkiem jesteście Fimbrianami?

–My dwaj tak – odparł z dumą Joshelin. Trzymał w rękach arkebuz, jakby jeszcze nie zdecydował, czy z niego wystrzelić. – Oddelegowani z dwudziestego szóstego *tercio* armii marszałka Barbiusa.

Pułkownik kawalerii zamrugał, a potem spojrzał na towarzysza.

–Ruszajcie w drogę, Andruw. Dogonię was.

Zsunął się z siodła i wyciągnął rękę do Joshelina. Długa kolumna jeźdźców znowu ruszyła przed siebie. Setki żołnierzy dosiadających wspaniałych wierzchowców. Nosili dziwne zbroje, a niektórzy z nich mieli pokryte tatuażami twarze. Jeśli to byli torunnańscy żołnierze, z pewnością nie przypominali żadnych, jakich Albrec do tej pory widział czy o jakich słyszał.

–Gdzie jest Barbius? – zapytał pułkownik Cear-Inaf, ściskając dłoń Joshelina.

–A po co ci ta wiadomość? – odpowiedział pytaniem Fimbrianin.

–Pragnę mu przyjść z pomocą.

JEDENAŚCIE

–I mówisz, że ci dwaj są z Charibonu? – zapytał Joshelina pułkownik Corfe Cearlnaf. – To znaczy, że to duchowni. Kim jesteście? Emisariuszami pontyfika?

–Niezupełnie – odparł z przekąsem Avila. – Opowieści wysławiające charibońską gościnność są znacznie przesadzone. Postanowiliśmy poszukać doczesnego zbawienia w innym miejscu.

–To heretycy, tak samo jak wy, Torunianie – oznajmił niecierpliwym tonem Joshelin. – Mają jakieś papiery dla tego świętego męża, którego tu trzymacie. Jak ci już mówiłem, Torunnaninie, marszałek z armią był tydzień drogi od wału, kiedy się z nim rozstaliśmy. Maszerował na południowy wschód, w stronę wybrzeża. Ale posłuchaj, nie chodziło mu tylko o to, żeby się połączyć z waszym Martellusem. Zamierzał uderzyć z flanki na merducką armię nadciągającą znad Zatoki Kardiańskiej.

–Muszą mieć wysokie mniemanie o swej wartości, jeśli sądzą, że mogą zaatakować tak wielką armię i ująć z życiem – stwierdził krótko Corfe. Przeszył spojrzeniem stojącego przed nim Fimbrianina. – A także silne poczucie obowiązku. Za to muszę im oddać honor.

Joshelin wzruszył leciutko ramionami, jakby samobójcza odwaga była oczywistą cechą każdego fimbriańskiego żołnierza.

–Nie zdołacie ich dogonić, zanim nawiążą kontakt z nieprzyjacielem – zauważył. – Jak rozumiem, waszym zadaniem jest ocalenie garnizonu wału.

–Tak.

–Z tysiąc trzystoma żołnierzami?

–Widać ja też mam silne poczucie obowiązku.

Obaj żołnierze popatrzyli na siebie. Na ich twarzach pojawił się cień uśmiechu. Joshelin uspokoił się nieco.

–Jesteście konnicą, więc może zdołacie tam dotrzeć wystarczająco szybko, żeby na coś się przydać – przyznał z niechęcią. – Kim są twoi ludzie? To nie Torunianie.

–Dzikusy z Gór Cymbryckich.

–I ufasz im?

–Bardziej niż komukolwiek innemu. Przelewaliśmy razem krew.

–Jestem pewien, że znasz się na swojej robocie. A co z torunnańskim królem? Czy wyśle tylko ten twój oddział?

–Tak. Król jest obecnie bardzo... zajęty. Woli zamknąć się za murami Torunnu i przeczekać merduckie oblężenie.

–To znaczy, że jest głupcem.

Albrec i Avila wstrzymali nagle oddechy, spodziewając się jakiejś gwałtownej odpowiedzi na te słowa, lecz Corfe rzekł po prostu:

–Wiem o tym. Ale i tak przelejemy za niego swą krew.

–I tak właśnie powinno być. Jesteśmy tylko żołnierzami.

Długa kolumna jeźdźców już ich minęła. Jej tylna straż była ciemną, najeżoną lancami plamą widoczną w oddali. Corfe spojrział w tamtą stronę, a potem wyprostował się i dosiadł niespokojnego rumaka.

–Muszę już ruszać w drogę. Życzę wam szczęścia w waszej misji, kapłani. Jeśli spotkacie Macrobiusa, powiedzcie mu, że Corfe przesyła pozdrowienia i nie zapomniał o ucieczce z Aekiru.

–Znasz Macrobiusa? – zdziwił się Albrec.

–Można powiedzieć, że razem wędrowaliśmy. Dawno temu.

–Jaki to człowiek?

–Dobry. Skromny... a przynajmniej był taki wtedy. Merducy wylupili mu oczy. Ale ludzie się zmieniają, tak samo jak wszystko. Nie wiem, jaki jest teraz.

Odwrócił się, by odjechać.

–Pułkowniku! – zawołał za nim Joshelin.

–Słucham?

–Niewykluczone, że Barbiusa trudno będzie znaleźć, i Martellusa również. Pozwól, bym wam towarzyszył, a przynajmniej wskażę właściwą drogę.

Corfe omiół go dociekliwym spojrzeniem.

–Potrafisz jeździć konno?

–Utrzymam się na końskim grzbiecie, jeśli to będzie potrzebne.

–Dobra. No to siadaj za mną. Potem znajdziemy ci wierzchowca. Życzę dobrego dnia, ojcowie.

Rumak ruszył przed siebie galopem. Corfe siedział wyprostowany w siodle, a Joshelin trzymał się go kurczowo, podskakując z całą elegancją worka rzepy. Siward śledził wzrokiem odjeżdżającego towarzysza, zaciskając mocno usta. Potem zwrócił się ku swym podopiecznym i rzekł z prawdziwym niesmakiem w głosie:

–No dobra, jedziemy do miasta. Równie dobrze mogę doprowadzić tę sprawę do końca.

Przedpokoje nowego pałacu pontyfikalnego były wielkimi, pustymi salami z zimnego marmuru o pokrytych stiukiem sufitach. Ustawiono tam szeregi małych, połączonych krzesełek, które sprawiały wrażenie zbyt delikatnych, by na nich siedzieć. Nowi macrobiańscy Rycerze-Bojownicy stali na straży niczym rzeźbione posągi, lśniące żelazem i brązem. Ktoś wygrzebał w jakimś zapomnianym arsenale kilkadziesiąt antycznych półpancerzy i rycerze wyglądali teraz jak paladyni z dawnych wieków.

Panował tu wielki ruch, roilo się od duchownych, drobnej szlachty oraz posłańców. Macrobius, zwany przez Himeriusa z Charibonu herezjarchą, był duchowym przywódcą trzech wielkich ramusiańskich królestw zachodu, a sprawy Kościoła – a przynajmniej tej jego nowej wersji – musiały się toczyć swoim trybem nawet podczas wojny. Trzeba było rekonsekrować biskupów w nowej hierarchii oraz znaleźć następców dla tych, którzy pozostali wierni Kościołowi Himeriańskiemu. W pałacu było pełno ambitnych duchownych oraz suplikantów, których należało wynagrodzić za wkład wniesiony do kościelnych skarbców. Organizowano nowy zakon inicjantów, a w gruncie rzeczy pośpiesznie kopiowano całą ceremonialną otoczkę starego Kościoła, by macrobianie mogli uchodzić za godnych rywali nieoświeconych kapłanów z Charibonu. Albrec, Avila i Siward zatrzymali się pośród tego zamieszania, wytrzeszczając oczy. Merducy stali u bram, a tutaj ludzie nadal się targowali o nowicjaty dla drugich synów, zwolnienia z dziesięciny czy dzierżawę gruntów kościelnych.

–Widzę, że życie toczy się dalej – zauważył Avila nie bez goryczy. Był ongiś najbardziej światowym ze wszystkich kapłanów, a do tego arystokratą, lecz mimo to patrzył na doczesne poczynania Nowego Kościoła z tym samym znużonym zaskoczeniem, co Albrec.

–Musimy się zobaczyć z pontyfikiem – oznajmili zapracowanemu antylianinowi, który próbował jakoś zapanować nad tłumem.

–Tak, tak, oczywiście – rzucił duchowny ociekającym wzgardą głosem, a potem się oddalił.

Dwaj mnisi stali nieruchomo jak para zagubionych wagabundów. W gruncie rzeczy tym właśnie byli – brudni, okaleczeni i obdarci. Albrec pokuśtykał za antylianinem.

–Nie, nie zrozumiałeś mnie, bracie. Musimy zobaczyć się z pontyfikiem dzisiaj, natychmiast. To bardzo ważne!

Chwycił mnicha za pięknie uszyty habit jak dziecko zawracające głowę matce.

Antylianin wyrwał się niskiemu włóczędze.

–Straże! Wyrzućcie stąd tego intruza!

Podeszli do niego dwaj Rycerze-Bojownicy, znacznie wyżsi od skulonego błagalnie Albreca. Jeden z nich złapał go brutalnie za ramię.

–Wynocha stąd. Żebracy czekają pod drzwiami.

Nagle jednak coś poruszyło się błyskawicznie, przesywając ze świstem powietrze, i rycerz zwałił się na posadzkę, uderzony kolbą arkebuza Siwarda. Fimbrianin odrzucił broń i wyciągnął krótki miecz, dotykając jego sztychem nozdrzy drugiego rycerza.

–Ci kapłani zobaczą się z pontyfikiem – oznajmił spokojnie. – Dzisiaj. Natychmiast.

Gwar w przedpokoju ucichł w jednej chwili. Zapadła cisza. Wszyscy gapili się na nieprzyjemną scenę rozgrywającą się na ich oczach. Pojawili się następni rycerze, trzymający w rękach nagie miecze. Przez chwilę wyglądało na to, że powalą Siwarda, gdy nagle Avila przemówił wyraźnym, dźwięcznym, arystokratycznym głosem:

–Jesteśmy mnichami z Charibonu. Mamy ze sobą ważne dokumenty przeznaczone dla Macrobiusa! Nasz obrońca jest szanowanym fimbriańskim oficerem i atak na niego będzie uznany przez elektoraty za akt wojny!

Rycerze zamarli w bezruchu, gdy tylko z ust Avili padło słowo „fimbriański”. Antylianinowi opadła szczęka.

–Odłóżcie miecze! – wyjąkał. – W tym pałacu nie wolno przelewać krwi. Czy to prawda?

–Tak samo prawdziwa jak nos na jego twarzy – wycedził Avila, wskazując głową na spoconego rycerza, którego nozdrzy dotykały dwie stopy nagiej stali.

–Muszę się skontaktować ze zwierzchnikiem – mruknął antylianin. – Mówię wam, schowajcie miecze!

Wszyscy wykonali jego polecenie i w sali wznowiono rozmowy, spekulacje, przypuszczenia. Avila poklepał po ramieniu mrużącego powieki Siwarda.

–Przyjacielu, byłeś świetny jak aktor w teatrze. Szkoda tylko, że nie miałeś okazji wypruć mu flaków na posadzkę.

Siward nic nie odpowiedział. Podniósł tylko arkebuz, odsuwając nogą na bok pierwszego, nadal nieprzytomnego rycerza. Nikt nie ośmielił się mu przeszkadzać.

Pojawił się inicjant o pozbawionej zarostu twarzy i obwisłych policzkach.

–Jestem monsinior Alembord, zarządca świty Jego Świątobliwości. Może

zechcielibyście się wytłumaczyć?

–Nie po to przedzieraliśmy się przez śnieżyce, stada wilków i hordy nieprzyjaciół, żeby przerzucać się słówkami ze zwykłym sługusem! – krzyknął Avila. Widać było, że świetnie się bawi. – Zaprowadź nas natychmiast przed oblicze Jego Świątobliwości. Przynosimy wieści, których musi wysłuchać sam pontyfik. Jeśli ośmielisz się nam przeszkodzić, gorzko tego pożałujesz!

–Na Boga, Avilo – wyszeptał Albrec, pomagając wstać powalonemu przez Siwarda rycerzowi.

Monsinior Alembord sprawiał wrażenie rozdartego między niepokojem a furją.

–Zaczekajcie tutaj – warknął wreszcie i oddalił się truchtem. Pechowy antylianin podążał za nim.

–Powinieneś występować w misteriach pasyjnych, Avilo – oznajmił przyjacielowi znużonym głosem Albrec.

–Mam już po dziurki w nosie ponížania, zwłaszcza przez takie tłuste robaki, jak ten inicjant. Dość już skradania się po kątach. Pora tym wszystkim trochę potrząsnąć. Na brodę Ramusia, czy wydaje im się, że zburzyli Kościół tylko po to, żeby zbudować jego sobowtóra? Tylko zaczekaj, aż pontyfik zapozna się z opowieścią, którą mu przynosisz, Albrecu. Jeśli rzeczywiście jest porządnym człowiekiem, jak mówił ten Corfe, to, na krew Boga, dopilnujemy, żeby poruszył za jej pomocą cały świat.

CZEŚĆ DRUGA

W SERCE BURZY

Nigdy nie wolno doprowadzać wroga do desperacji, albowiem wówczas jego siły się wzmagają, a odwaga rośnie, choćby przedtem utracił ją już i zapomniał o niej całkowicie. Nic też nie pomaga ludziom znużonym, wyczerpanym i pozbawionym ducha bardziej niż świadomość, że nie mogą liczyć na żadne względy.

Rabelais

DWANAŚCIE

To odległy łoskot dział ich przywabił, słyszalny za horyzontem pomruk przywodzący na myśl gniew jakiegoś podziemnego boga. Artyleryjskie baterie i dźwięczny trzask arkebuzów. Morin zsunął się z siodła i przyłożył ucho do ziemi, przysłuchując się dalekiej bitwie. Kiedy się wyprostował, na jego twarzy malowało się coś przypominającego zachwyty.

– Mnóstwo ludzi i dużo wielkich dział – stwierdził. – I konie, tysiące koni. Ziemia przenosi echa wojny.

– Ale kto to jest? – zapytał Andruw. – Martellus czy Barbuis? Czy może obaj?

Pozostali jeźdźcy, w tym również Corfe, popatrzyli na Joshelina. Posiwiwały Fimbrianin siedział na niespokojnym torunnańskim rumaku i miał zmęczoną, poirytowaną minę. Nie był urodzonym jeźdźcem, delikatnie mówiąc.

– To na pewno marszałek – stwierdził. – Nie zapuściliśmy się na północ wystarczająco daleko, żeby przechwycić Martellusa. Do wału zostało jeszcze ze sto dwadzieścia mil. Idę o zakład, że armia Martellusa będzie ze dwa, trzy dni drogi od nas.

Mała grupka jeźdźców wyprzedziła zasadniczą część oddziału o pół mili. Ebro i Marsch również się od niej oddzielili, przechodząc ze swymi szwadronami na flanki, by wyeliminować wszystkich merduckich zwiadowców, na których się natkną. Corfe chciał, by zbliżanie się jego armii pozostało tajemnicą. Tak samo jak w Staed, przewaga liczebna leżała po stronie przeciwnika, musiał więc polegać na zaskoczeniu.

– Jak daleko stąd, Morin? – zapytał swego tłumacza Corfe.

– Nie więcej niż trzy mile.

Być może ze trzydzieści minut, jeśli nie zmuszą koni do szarży. Będzie musiał zostawić przynajmniej jeden szwadron z mułami... Umysł Corfe'a pracował w szaleńczym tempie, rozważając wszystkie zagrożenia i możliwości. Rzecz jasna, będzie potrzebny rekonesans, ale to pochłonęłoby cenny czas. W takim razie może rozpoznanie dużym oddziałem? To zmniejszyłoby jego ruchliwość i odebrało mu szansę na zaskoczenie. Przy tak małej liczebności musiał uderzyć na Merduków z flanki albo jeszcze lepiej od tyłu. Szarża od przodu na wielką armię byłaby po prostu marnowaniem życia jego ludzi.

–Ruszam naprzód – oznajmił nagle. – Morin, Cerne, pojedziecie ze mną. Andruw, obejmij dowództwo. Jeśli nie wrócimy za dwie godziny, to będzie znaczyło, że zginęliśmy.

W miarę, jak się zbliżali, ryk bitwy rozbrzmiewał coraz głośniejsze. Falował nieustannie, to niemal całkowicie milknąc, to znowu przechodząc we wściekłą kanonadę, tak głośnie, że wydawało się, iż drży od niej trawa. Trzej jeźdźcy widzieli już maruderów wbiegających w pojedynkę bądź małymi grupkami na zbocza wzgórz przed nimi. Sądząc po zbrojach, byli to Merducy. Wszystkie armie gubiły podczas marszu ludzi, tak jak pies gubi sierść. Żołnierzy bolały nogi, czuli się zmęczeni albo ogarniała ich żądza krwi i nawet najpilniejsza żandarmeria nie mogła utrzymać wszystkich w szeregach.

Wreszcie wjechali na ostatnie wzniesienie i – niczym widzowie w teatrze – ujrzeli na dole straszliwy spektakl wielkiej bitwy.

Linie walczących ciągnęły się chyba na dwie mile, choć przesłaniały je kłębiące się chmury prochowego dymu. Fimbriańska armia była przyparta do muru i walczyła o życie. Corfe widział straszliwy las pik falangi, złożonej z ośmiu szeregów, a na jej flankach luźne formacje arkebuźników. Byli tam jednak również inni zachodni żołnierze. Chyba ze trzystu torunnańskich kirasjerów oraz parę tysięcy uzbrojonych w miecze i tarcze piechurów pomieszanych z arkebuźnikami. Walczyli oni z przynajmniej przewagą liczebną, próbując rozwinąć flanki. A więc Martellus również tu był. Garnizon z wału musiał maszerować szybciej, niż spodziewał się tego Joshelin. Torunnanie połączyli siły z Fimbrianami i po raz pierwszy w historii walczyli ramię w ramię ze swymi starożytnymi wrogami. Było ich bardzo niewielu. Martellus stracił ponad połowę swych ludzi.

Merducka armia, z którą się starli, była ogromna. Na szeregi zachodnich żołnierzy napierało co najmniej trzydzieści albo nawet czterdzieści tysięcy wrogów, a Corfe widział następnych, napływających z południowego wschodu, świeże oddziały gotowe otoczyć zachodnią armię. Bitwa, którą mieli przed oczyma, była jedynie akcją powstrzymującą. Gdy Merducy oskrzydłą już nieprzyjaciela, zaatakują ze wszystkich stron jednocześnie, i nic – ani męstwo Fimbrian, ani upór Torunnań – nie zdoła im się oprzeć.

Szukaj luki, słabego punktu. Miejsca, gdzie uderzenie złamie szyk nieprzyjaciela i wprowadzi maksymalne zamieszanie. Corfe miał wrażenie, że zauważył taki punkt. Za lewym skrzydłem zachodniej armii biegła długa skarpa, część szeregu wzgórz, który zaczynał się od południowo-zachodniego krańca Thurianu. Ludzie zwali ją Północnym Wzniesieniem. Na jej stokach stały już merduckie pułki, ale szczyt pozostawał wolny. Merducy podeszli bliżej, żeby mieć nieprzyjaciela w zasięgu ognia arkebuzów, i zostawili za sobą pustkę. Czemu mieliby się oglądać za siebie? Nie obawiali się przybycia torunnańskich posiłków. Tak bardzo skupili się na zniszczeniu Martellusa i Barbiusa, że narazili się na atak. Silne uderzenie mogło utworzyć

zastawioną przez nich pułapkę, a nawet odrzucić do tyłu prawe skrzydło nieprzyjaciela. To było odpowiednie miejsce. To właśnie musiał zrobić.

–Wracamy do oddziału – rozkazał dwóm towarzyszom i popędzili cwałem w stronę kolumny.

Odbyto pośpieszną naradę, podczas której Corfe zapoznał ze swym planem Andruwa, Ebra, Marscha, Joshelina oraz Morina. Ten ostatni ucichł nagle, ale oczy mu błyszczały. Widać było, że popiera plan ataku. Marsch jak zwykle pozostawał niewzruszony – Corfe równie dobrze mógłby kazać mu pójść kupić bochen chleba – a Joshelin z pewnością zaaprobowałby wszystko, co mogłoby pomóc jego rodakom. Jednakże Andruw i Ebro mieli niespokojne miny. To Andruw przedstawił swe obiekcje.

–Jesteś tego pewien, Corfe? Walczyliśmy już z liczniejszym wrogiem, ale to...

–Jestem pewien, haptmanie – przerwał mu pułkownik. Czas płynął i ginęli ludzie. Pragnął wyruszyć jak najszybciej. – Panowie, do oddziałów. Ja poprowadzę kolumnę. Żadnych trąbek ani cholernych krzyków, dopóki nie zajmiecie pozycji i nie usłyszycie, że Cerne daje sygnał do szarży. Macie pięć minut. Potem ruszamy na mój rozkaz.

Katedralnicy wyruszyli w drogę po niespełna dziesięciu minutach. Ustawili się w trzy równoległe kolumny, każdą złożoną z czterystu ludzi. Corfe, Cerne i Morin utworzyli na ich czele mały klin jeźdźców. Monumentalny, poruszający podstawami ziemi ryk bitwy przed nimi nie przestawał narastać. Corfe miał nadzieję, że gdy wjadą na wzgórze, nie przekonają się, że zachodnie siły zostały doszczętnie rozbite. W takim przypadku nie pozostałoby im nic poza pośpiesznym odwrotem do Torunnu, gdzie czekałoby ich nieuniknione oblężenie. Klęska, totalna i ostateczna. Gdy jego koń wjeżdżał na północno-zachodni stok wzgórza zasłaniającego pole bitwy, Corfe złapał się na tym, że powtarza dziecinne modlitwy, których nie odmawiał od dziesięcioleci. Nigdy dotąd nie czuł się tak bardzo żywy, tak bardzo świadomy.

Bronili się jeszcze, ale ich prawa flanką była beznadziejnie okrążona. Wokół dwunastu *tercios* fimbriańskich pikinierów zamknęło się morze nieprzyjaciela, uderzające kolejnymi falami o złowrogie wybrzeże pik i cofające się od niego. Fimbriańska formacja poruszała się tak perfekcyjnie, jakby to były ćwiczenia musztry na placu apelowym. Na środkowym odcinku wróg niemalże już zalał Fimbrian i Torunnan. Ich linia wygięła się niczym napinany łuk i była teraz wklęsła. Wkrótce pęknie i zachodnia armia podzieli się na dwie grupy. Tylko po lewej, w odległości zaledwie pół mili od ustawiających się na wzgórzu ludzi Corfe'a, była jeszcze jakaś nadzieja.

Merducy nadal nie obsadzili szczytu wzniesienia i Katedralnicy rozpostarli się na nim w grubą na czterech ludzi linię. Corfe zauważył, że niektórzy z nieprzyjaciół na dole wskazują palcami nowo przybyłych, ale z pewnością zauważyli też ich merduckie zbroje. Mieli jeszcze kilka minut.

Katedralnicy zajęli już pozycje. Złożona z czterech szeregów linia jeźdźców rozciągnęła się na długości sześciuset jardów. Spoglądali w całkowitym milczeniu na straszliwą rzeź trwającą na dole. Ich szkarłatne zbroje lśniły w słabym blasku słońca, a chorągiew łopotała na porywistym wietrze. Część nieprzyjaciół zaczął już niepokoić widok nieruchomej kawalerii stojącej na wzgórzu. Kilkuset ludzi ustawiło się w linię mającą zapobiec wszelkim próbom obejścia Merduków z prawej flanki.

Corfe podjechał galopem do Andruwa i wyciągnął doń rękę.

–Życzę szczęścia, haptmanie. Gdybyśmy się już nie spotkali, to wiedz, że służba z tobą była dla mnie zaszczytem.

Andruw uśmiechnął się na te słowa. Obaj oficerowie uścisnęli sobie zakute w stal dłonie.

–Widzieliśmy razem to i owo, nieprawdaż, Corfe?

Pułkownik zajął pozycję, którą sam sobie wyznaczył, pośrodku pierwszego szeregu.

–Cerne, zagraj sygnał do szarży – rozkazał trębaczowi.

Cerne, mocno wytatuowany dzikus, który z radością zginąłby za swego pułkownika, uniósł róg i zagrał złożony z pięciu tonów myśliwski sygnał ze swych ojczystych wzgórz. Corfe wyjął szablę Johna Mogeny, która zaśniła mu nad głową niczym letnia błyskawica. Potem trącił koński bok nogą, skłaniając zwierzę do biegu. Cały oddział ruszył naprzód, ziemia zadrżała pod uderzeniami z górą pięciu tysięcy kopyt, a z tysiąca gardeł popłynął wojenny hymn plemion.

Merducy w dolinie unieśli spojrzenia, a Torunnanie i Fimbrianie toczący desperacką walkę o przetrwanie ujrzeli długą linię konnicy, zjeżdżającą ze wzgórza niczym szkarłatna lawina. Tysiąc dwieście ciężkich rumaków niosących na grzbietach ludzi zakutych w czerwone żelazo, widoczne na tle nieba lance, które tworzyły pozbawiony konarów las, i ta straszliwa, barbarzyńska pieśń płynąca z ich gardeł.

Przeszli w cwał, rozdzielając szeregi, i pochylili złowrogie lance. Merduccy harcownicy spojrzeli tylko na zbliżającą się nawałnicę i rzucili się do ucieczki.

Pierwszy szereg Katedralników dopadł zbiegów, przeszył im plecy lancami i popędził dalej. Kilku jeźdźców zważyło się na ziemię, gdy ich rumaki potknęły się na zrytym gruncie, ale pozostali zwarli szybko szyki, nie przerywając szarży. Główne formacje Merduków na dole gorączkowo próbowały zmienić ustawienie, by stawić czoło nowemu, niespodziewanemu wrogowi. Zbroje nieprzyjaciół wyglądały tak samo, jak noszone przez nich, ale lśniły czerwono niczym świeża krew, a z ich ust płynęła pieśń śpiewana w jakimś barbarzyńskim języku. Pułk hraibadarskich arkebuźników zdążył się ustawić do salwy, ale widok nadciągającej nawałnicy okazał się dla części z nich zbyt przerażający i oni również rzucili się do ucieczki. Ich formację ogarnął chaos, a chwilę potem uderzył w nich pierwszy szereg Katedralników.

Wielkie rumaki tratowały Merduków, jakby byli królikami. Dziesiątki piechurów przeszyły straszliwe lance. Konie padały z kwikiem na ziemię, miażdżąc swoich i wrogów, ale impet szarży był zbyt wielki, żeby cokolwiek mogło ją powstrzymać. Jechali przed siebie, a za nimi podążał drugi szereg, a potem trzeci i czwarty. Kolejne konie padały na ziemię, potykając się o trupy. Jeźdźcy wylatywali z siodła, a później tratowały ich następne szeregi. Corfe stracił w ciągu pierwszych trzydziestu sekund sześćdziesięciu ludzi, ale Merducy ginęli setkami, wrzeszcząc z przerażenia.

Całe prawe skrzydło nieprzyjaciela cofnęło się trwożnie. Katedralnicy przedzierali się przez nie niczym kataklizm, szerząc wokół śmierć. Merducy byli stłoczeni tak ciasno, że ci, którzy znaleźli się w środku, nie mogli nawet unieść rąk. Dziesiątki ich zdeptano na śmierć w torunnańskim błocie. Nieprzyjacielska armia została odepchnięta. Oficerowie próbowali wycofać swych ludzi i przegrupować ich, żeby zapobiec klęsce. Ale Katedralnicy nadal parli naprzód. Większość dzikusów złamała już bądź zgubiła lance, wyjęli więc miecze i cięli nimi nieprzyjaciela niczym kosiarze podczas żniw. Nic nie mogło się oprzeć impetowi setek ton kości, mięśni i stali, lecz mimo to posuwali się coraz wolniej. Wielka liczebność nieprzyjaciela powstrzymała szarżę. Choć jeźdźcy rąbali, dźgali i tratowali Merduków, przebijając się w samo serce ich prawego skrzydła, nieprzyjaciel zaczął ich otaczać, w miarę jak nadciągały odwody.

Corfe czuł, że krew krzepnie mu na twarzy. Szyja jego wierzchowca była czarna od przelanej posoki, a Udzielająca Odpowiedzi lśniła cynobrowo aż po rękojeść. Po raz pierwszy od Wału Ormanna stał się na polu bitwy z Merdukami i na kilka minut zapomniał, że jest oficerem i dowodzi armią. Wdarł się w szeregi wroga z furią anioła zemsty, z gardła wydobywały mu się nieartykułowane krzyki, a jego zawołaniem bojowym stało się imię zabitej żony, które raz po raz rozbrzmiewało bezgłośnie w umyśle niczym dręczące oskarżenie. Ludzi ogarniała trwoga na widok żądzy mordy widocznej na jego twarzy. Podczas szarży cały czas był na czele, pragnął jedynie zabijać, zapomniał o strategii, taktyce i odpowiedzialności dowódcy. Teraz jednak szła bitewny już mijał i Corfe znowu myślał jasno.

Wycofał wierzchowca z pierwszej linii i rozejrzał się, by ocenić sytuację. Dyszał ciężko. Nagle zauważył świeże siły nieprzyjaciela, manewrujące po lewej, i zrozumiał, że jego ludzie wystrzelili już swój pocisk.

Cerne nadal mu towarzyszył. Wyglądał jak krwawy upiór wojny. W oczach pod obręczą hełmu był widoczny szaleńczy błysk.

–Trzymaj się mnie – rozkazał mu Corfe i zaczął się przepychać w prawo przez tłum ogarniętych żądzą mordy ludzi i koni.

Walczyła tam obleczona w czerń piechota, w której piki rysowały się na tle nieba. Jego ludziom udało się przebić do Fimbrian. Ktoś szarpnął go za ramię. Corfe natychmiast uniósł szablę, ale zauważył, że to tylko Joshelin. Oczy fimbriańskiego weterana miały wyraz podobny do oczu Cerne'a. Otaczała go aura dzikiej radości.

–Powiem im, żeby zarządzili odwrót! – zawołał Fimbrianin. – Pogadam z nimi. Mnie posłuchają. Ale musisz wycofać ludzi na wzgórze, bo Merducy was zaleją!

Corfe skinął głową. Joshelin pożegnał go krótkim fimbriańskim salutem i pogalopował ku swym rodakom.

To był najtrudniejszy, najbardziej nieprzyjemny manewr, jaki można było wykonać na polu bitwy – zbrojny odwrót. Czy Fimbrianie zachowali jeszcze wystarczająco wiele sił, by ich osłaniać? I gdzie jest Martellus?

–Pułkowniku! – krzyknął ktoś. Corfe zawrócił konia i zobaczył Joshelina prowadzącego wierzchowca za uzdę. Towarzyszył mu wąsaty Fimbrianin w mundurze przepasanym czerwoną szarfą.

–Jestem marszałek Barbuis – przedstawił się mężczyzna. – Ilu macie ludzi?

–Tysiąc trzystu.

–Tylko tylu? Nieźle ich nadgryźliście.

Corfe pochylił się w siodle. Podczas walki otrzymał potężny cios tulwarem. Broń nie przebiła pancerza, lecz mimo to zeszywniał mu cały tułów. Syknął z bólu, ściskając dłoń marszałka.

–Musisz wydostać stąd swoich ludzi – oznajmił Barbiusowi. – Gdzie jest Martellus? Uratuję tyłu z was, ilu tylko zdołam.

–Martellus nie żyje – odparł Barbius wypranym z emocji głosem. – Moje prawe skrzydło jest okrażone, a środek zbyt zaangażowany w walkę, by mógł się z niej wyplątać. Ale rozkazałem lewemu skrzydłu podążyć za wami. Będziemy osłaniać wasz odwrót.

–W jaki sposób?

–Ależ atakując, oczywiście.

Marszałek mówił poważnie. Corfe nie był pewien, czy ma go podziwiać, czy nim gardzić.

–Musisz uciec ze mną – oznajmił Barbiusowi, ale marszałek potrząsnął głową.

–Moje miejsce jest tutaj. Jak się nazywasz?

–Corfe Cear-Inaf.

–Zajmij się moimi ludźmi, Corfe. Joshelin, pojedziesz z nim.

–Marszałku...

–Wykonaj rozkaz, żołnierzu. Musisz już ruszać, pułkowniku. Nie zdołam ich powstrzymywać zbyt długo.

Corfe skinął głową.

–Niech Bóg będzie z tobą – rzekł, wiedząc, że Barbius nie ma szans przeżyć. Marszałek odwrócił się bez słowa i wrócił do swych toczących zawzięty bój żołnierzy. Joshelin zamknął oczy i przesunął dłonią przed twarzą.

–Zagraj sygnał do odwrotu – rozkazał trębaczowi Corfe.

Cerne gapił się na niego przez chwilę, po czym uniósł róg do ust i zadął weń. Czyste, wysokie tony cymbryckiego hejnału łowieckiego, tym razem oznajmiające zabicie zwierzyny, przebiły się przez bitewny zgiełk. Corfe zastanawiał się, ilu spośród jego ludzi je usłyszy.

W bitwie nastąpiło przesunięcie akcentów. Prawe skrzydło Merduków, paskudnie zmasakrowane przez szarżę Corfe'a, przegrupowało się. Z okrążenia na chwilę uwolniła się mieszana formacja złożona z sześciu, siedmiu tysięcy ludzi, Torunnan i Fimbrian, którzy zaczęli się wycofywać ku szczytowi wzgórza, podczas gdy pozostali przy życiu Katedralnicy ustawili się w linię, żeby osłaniać ich odwrót. Corfe zmusił kopniakiem wyczerpanego wierzchowca do galopu i wjechał na szczyt wzgórza, by obserwować z góry bitwę.

Tysiąc otoczonych Fimbrian na prawym skrzydle wiązało walką dziesięć razy więcej żołnierzy wroga. Wokół ich czworoboku pik z każdą chwilą narastał wał trupów. Tu, na lewym skrzydle, zachodnie siły były w pełnym odwrocie. Torunnanie uciekali bezładną kupą, natomiast Fimbrianie wycofywali się w regularnym szyku, *tercio po tercio*. Ich arkebuźnicy nadal razili mierzonymi salwami wrogów, którzy podeszli za blisko. Corfe skupił jednak uwagę na centrum, na wyjąłym, krwawym chaosie, który pochłonął Barbiusa. Walczący tam Fimbrianie – zaledwie dwa tysiące żołnierzy – zwarli szyki i ruszyli do ataku.

Andruw podjechał do Corfe'a. Cuchnął krwią, a jego koń postradał ucho, gdy dosiadający go jeździec ciął mieczem zbyt nisko. Haptman nie odzywał się ani słowem, przyglądał się razem z Corfe'em mijającym ich niedobitkom garnizonu Wału Ormanna oraz lewego skrzydła Barbiusa.

–Na Boga. – Wstrząśnięty Andruw westchnął, widząc, jak środkowa grupa Fimbrian świadomie atakuje główną część merduckich sił, trzydzieści, czterdzieści tysięcy ludzi.

Ich piki wydawały się nieludzkie, niepowstrzymane. Naprawdę udało im się odepchnąć nieprzyjaciela do tyłu. Zaczęli wyrąbywać śmiertelny pokos w samym środku jego szeregów. Merduckie formacje cofały się przed walczącymi jak maszyny Fimbrianami. To jednak nie mogło trwać długo. Merducy zachodzili już pikinierów od flank i od tyłu.

–Uciekajmy stąd – rzekł Corfe ochryłym z emocji głosem. – Nie możemy zmarnować czasu, który dla nas kupili.

Znowu popędził kopniakiem konia. Zwierzę ledwie mogło się zdobyć na kłus. Oddział wokół Corfe'a przegrupowywał się. Pułkownik zauważył Marscha i Morina, którzy wrzeszczeli na podeksycytowanych dzikusów, a w niektórych przypadkach odciągali ich siłą, by zmusić do odwrotu. Barbarzyńcy chcieli tu zostać i walczyć. Corfe potrafił zrozumieć dlaczego. Przez chwilę on również żałował, że nie jest w dolinie z Barbiusem i nie zginie chwalebną śmiercią. Łatwiej jest walczyć niż myśleć. Lepiej się

bić niż pamiętać. Miał jednak do wykonania robotę i polegali na nim jego ludzie. Ilu ich zostało? – zadał sobie pytanie. Czuł pełen znużenia niesmak, ale jak zwykle maskował swe uczucia. Zatrzymał się przed nim odziany na czarno Fimbrianin. Mundur pod jego zbroją zwisał w strzępach. Żołnierz zasalutował.

–Słucham?

–Jestem Formio, pułkownik. Adiutant Barbiusa. Marszałek rozkazał mi oddać ludzi do twojej dyspozycji. Czy mogę zapytać, co zamierzasz?

Fimbrianin był młody, młodszy nawet od Corfe'a. Mówił oficjalnym tonem, jakby spodziewał się obraźliwej odpowiedzi. Corfe uśmiechnął się do niego.

–Co zamierzam? Ależ, Formio, zmiatać stąd w te pędy.

TRZYNAŚCIE

Zapomnieli, że go oślepieno. Zaniemówili na widok jego okaleczonej twarzy. Miał na sobie prosty, brązowy habit antylianina, tylko jeden pierścień na palcu, a na szyi piękny symbol Świętego wykonany ze srebra i z czarnego drewna. Pod ścianami komnaty stało dwunastu Rycerzy-Bojowników, czujnych mężczyzn o twardych obliczach. Krążyły pogłoski o skrytobójczych zamachach.

–Święty ojciec – rzekł Alembord, kłaniając się nisko, by ucałować pierścień – przybyli ludzie, o których ci mówiłem.

Wielki pontyfik Macrobius skinął głową.

–Przedstawcie się, nieznajomi – odezwał się drżącym głosem zmęczonego starca. – Tylko, błagam, bez ceremonii. Słyszałem, że przychodzicie z nadzwyczaj pilną sprawą.

W ich imieniu przemówił Albrec. Siward spoglądał groźnie na rycerzy, a Avila sprawiał wrażenie nieprzyjemnie zaskoczonego, niemal zde gustowanego.

–Wasza Świętobliwość, jesteśmy mnichami. Uciekliśmy z Charibonu, a naszym opiekunem jest fimbriański żołnierz. Nasze imiona nie mają znaczenia. To, co ci przynieśliśmy, może przypieczętować los całych narodów.

Nastąpiła długa cisza. Macrobius czekał cierpliwie, ale Alembord po chwili warknął:

–Słuchamy.

–Wybacz, monsiniorze, ale to, co mam do powiedzenia, jest przeznaczone tylko dla uszu pontyfika.

–Miłosierne niebios, za kogo wy się właściwie uważacie? Wasza Świętobliwość, pozwól mi zająć się tymi zarozumialcami. To z pewnością ekscentryczni poszukiwacze przygód, być może nawet płatni agenci himerian. Wydobędę z nich prawdę.

Macrobius potrząsnął głową. To był pierwszy gwałtowniejszy gest, jaki widzieli w jego wykonaniu.

–Podejdź bliżej, młodzieńcze. Ten, który mówił.

Albrec wykonał polecenie. Gdy zbliżył się do pontyfika, usłyszał metaliczny zgrzyt mieczy poluzowanych w pochwach przez gotowych do działania rycerzy. Poruszał się powoli i ostrożnie, i zatrzymał się w odległości dwóch stóp od Macrobiusa.

Pontyfik wyciągnął ręce i dotknął twarzy Albrec'a. Starcze palce muskały z lekkością piórek oczy młodzieńca, a potem jego policzki, wargi... i ziejący otwór po nosie.

–Twój głos... czułem, że coś nie jest w porządku. Co się stało, synu?

–To było odmrożenie, Wasza Świątobliwość. W Górach Cymbryckich. Zginęlibyśmy tam, gdyby nie znaleźli nas Fimbrianie. Ale i tak nie wyszliśmy z tego bez szwanku.

–Okaleczenie bywa ciężką próbą – zgodził się Macrobius, rozciągając usta w uśmiechu. – Ale okrutne cierpienia ciała nieraz oczyszczają ducha. Widzę teraz znacznie więcej niż wówczas, gdy miałem dwoje oczu i mieszkałem w aekirskim pałacu. Powiedz mi, z czym przychodzisz.

Albrec zaczerpnął tchu i opowiedział cicho o starożytnym dokumencie, który odnalazł w trzewiach Charibonu, biografii błogosławionego Świętego Ramusia, napisanej przez jednego z jego współczesnych, Honoriusa z Neyru. Honorius utrzymywał, że Ramusio nie został pod koniec życia wniebowzięty, jak nauczał przez cztery stulecia Kościół, lecz wyruszył samotnie na Wschód, by nawracać pogańskich Merduków, i stał się wśród nich znany jako prorok Ahrimuz. Dwie wielkie religie świata, od stuleci toczące ze sobą bój, którego ofiary szły w miliony, były dziełem tego samego człowieka. Święty i prorok byli tą samą osobą.

Trudno jest cokolwiek wyczytać z twarzy ślepcy. Gdy Macrobius odchylił się do tyłu, Albrec nie był pewien, czy pontyfik jest wstrząśnięty, rozgniewany, czy po prostu zdumiony.

–Skąd mam wiedzieć, czy nie jesteś agentem Himeriusa, przysłanym tu tylko po to, by zasiać ziarna herezji i niezgody w samych fundamentach nowego Kościoła? – zapytał łagodnym tonem Macrobius.

Albrec oklapł.

–Wasza Świątobliwość, wiem, że to brzmi jak bredzenie szaleńca, ale mam tu dokument, i on jest autentyczny. Wiem o tym. Byłem w Charibonie bibliotekarzem. To jest tekst spisany ręką samego Honoriusa, w pierwszym wieku, i ukryty przez ojców założycieli Kościoła, z egoistycznych pobudek. Tak wygląda prawda, Wasza Świątobliwość.

–Te wieści, jeśli rzeczywiście są prawdą, mogą wprowadzić na świecie rozłam. Mogę być pontyfikiem, ale jestem też ślepym starcem. Dlaczego miałbym ci uwierzyć na słowo? Na świecie i tak już panuje ogromne zamieszanie.

–Święty ojciec – odparł z wahaniem w głosie Albrec – spotkaliśmy na Trakcie Zachodnim człowieka, żołnierza, który jechał walczyć z Merdukami, mimo że wróg ma przygniatającą przewagę liczebną. Nie miał pojęcia, czy wróci, ale i tak ruszył do

walki, bo wiedział, że to jego obowiązek. I on cię znał. Powiedział nam, że jesteś dobrym człowiekiem, i prosił, byśmy ci powiedzieli, że nie zapomniał o ucieczce z Aekiru.

–Jak się nazywał? – zapytał nagle ożywiony Macrobius.

–Corfe. Był pułkownikiem kawalerii.

Macrobius milczał przez długą chwilę. Głowa opadła mu na pierś. W komnacie zapadła cisza. Albrec zastanawiał się, czy pontyfik zasnął. Jak można było to poznać, skoro nie miał powiek, które mógłby zamknąć? Wreszcie jednak starzec się poruszył. Potarł skronie koniuszkami palców i uniósł głowę.

–Monsiniorze Alembord! – zawołał zdumiewająco czystym i mocnym głosem.

Alembord wzdrygnął się.

–Słucham, Wasza Świątobliwość?

–Znajdź odpowiednie kwatery dla tych wędrowców. Pokonali długą drogę, dźwigając ciężkie brzemie. Zbierz też najlepszych skrybów, uczonych i kopistów w stolicy. Chcę, żeby stawili się tu jutro w południe. Dla nich również przygotuj kwatery w pałacu.

Alembord przez parę chwil otwierał i zamykał usta jak wyrzucona na brzeg ryba.

–Uczynię to bezzwłocznie – obiecał wreszcie, obrzucając Albreca spojrzeniem przepojonym czystą nienawiścią. Mały, beznosy mnich poczuł, że zalewa go fala ulgi. Po jej przejściu poczuł się doszczętnie wyczerpany.

–Corfe uratował mi życie wtedy, gdy nie warto go było ratować – rzekł cicho Macrobius. – Bóg zrządził, by tak się stało, i to Jego wola sprowadziła was tutaj, żeby zlecić mi to ostatnie zadanie. Jak się nazywasz?

–Albrec, Wasza Świątobliwość.

–Zostaniesz biskupem Nowego Kościoła, Albrecu. Przyznaję ci też prawo odwiedzania mnie, kiedy tylko zapragniesz. Przedstaw mi swoich towarzyszy.

Albrec wykonał polecenie.

–Znałem twojego ojca – oznajmił Macrobius Avili. – Był rozpustnikiem i rozrzutnikiem, ale miał serce wielkie jak góra. Zawsze głośno się skarżył, płacąc dziesięcinę, ale żadnemu z chłopów na jego ziemiach nigdy niczego nie brakowało. Wspominam go z szacunkiem.

Avila zaniemówił z wrażenia. Ucałował pierścień pontyfika.

–Wreszcie spotkałem Fimbrianina – kontynuował Macrobius. – Dziękuję ci, Siwardzie z Gaderii, za uratowanie moich braci w wierze. Wyświadczyłeś światu przysługę nie ustępującą żadnej, jaką kiedykolwiek wyświadczone na polach bitew. A więc to prawda, że fimbriańska armia pomaszerowała na pomoc biednej, zaatakowanej Torunnie.

–To prawda – potwierdził Siward – ale jeśli choć część moich rodaków ujdzie z życiem, to tylko dzięki wysiłkom twego przyjaciela Corfe’a. Niewiele wdzięczności spotyka nas za krew przelaną w waszych bitwach.

–Masz moją wdzięczność, cokolwiek to warte.

Siward pokłonił się.

–Dla mnie wystarczy – zdołał wymamrotać uprzejmą odpowiedź.

Macrobius skinął głową.

–Audiencja skończona. Monsinior Alembord odprowadzi was na kwatery. Wieczorem zjemy razem kolację. Albreccu, usiądziesz przy mnie i opowiesz mi o wydarzeniach w Charibonie. Czas już, bym znowu zainteresowałem się tym, co się dzieje na świecie. Na razie jednak was zostawię. Nigdy jeszcze nie czułem tak silnej potrzeby modlitwy.

Młody inicjant podszedł do pontyfika i pomógł mu wstać, a potem wyprowadził go z komnaty przez tylne drzwi. Trzej wędrowcy zostali w towarzystwie monsiniora Alemborda oraz pełniących straż rycerzy.

–Jego twoje frazesy mogły przekonać – oznajmił Albreccowi Alembord jadowitym szeptem – ale ja nie jestem aż tak naiwny. Lepiej uważaj, bracie Albreccu.

W stolicy już od dwóch dni krążyły plotki, mknące znacznie szybciej od kurierów. Ponoć na północy stoczono wielką bitwę i oddziały Martellusa zostały wycięte w pień. Merducka lekka jazda, która w poprzednich dniach zapuszczała się pod same mury, wycofała się i na północy zapanował spokój. Zwiadowcy meldowali, że nie ma tam żadnych ludzi ani nawet zwierząt. Nikt nie potrafił powiedzieć, czego zapowiedzią jest ta niepokojąca cisza, ale na rozkaz samego króla podwojono liczebność straży na murach.

Bramy Torunnu były zamknięte i Andruw oraz jego ludzie musieli błagać i grozić przez cały kwadrans w strugach ulewnego deszczu, nim strażnicy raczyli ich wpuścić do miasta. Końskie kopyta stukają głośno o bruk w cieniu barbakanu, a dziesięciu jeźdźców, nadal zbrukanych posoką po bitwie na Północnym Wzniesieniu, wyglądało jak wojownicy z jakiegoś prymitywnego krwawego mitu.

Haptman z wieży bramnej zatrzymał ich na ulicy pod murami, żądając, by podali mu swe imiona i powiedzieli, co ich sprowadza. Andruw przeszył go znużonym spojrzeniem.

–Wiozę meldunki dla Naczelnego Dowództwa. Gdzie ono się teraz spotyka?

–W zachodnim skrzydle pałacu – wyjaśnił haptman. – Z jakiego oddziału jesteście? Nigdy nie widziałem takich żołnierzy. To są merduckie zbroje.

–Cóż za spostrzegawczość. Służę w oddziale pułkownika Corfe’a Cear-Inafa. On podąża dzień marszu za mną. Prowadzi siedem tysięcy ludzi, w tym dwa tysiące Fimbrian.

Twarz haptmana rozpromieniła się.

–Czy Martellus jest z nim? Czy zdołał się przebić?

–Martellus poległ i fimbriański marszałek również. Większa część obu ich armii leży zabita na Północnym Wzniesieniu. Czy to ci wystarczy?

Nadgorliwy haptman skinął głową z przerażoną miną. Potem odsunął się na bok, przepuszczając posępną kawalkadę.

Choć sprawa była pilna, Andruwowi kazano czekać pół godziny w przedpokoju. Pogodny nastrój zepsuły mu żaloba i zmęczenie. Zdawał sobie sprawę, że można powiedzieć, iż na Północnym Wzniesieniu odnieśli zwycięstwo – Corfe uratował część armii przed zagładą i prowadził ją do stolicy. Ale reszta poległa, w tym ludzie, z którymi Andruw służył nad Searilem, jego przyjaciele i towarzysze. Nie potrafił też

uwolnić się od wizji fimbriańskiej falangi maszerującej ku zgubie. To była najstraszliwsza i najbardziej zasługująca na podziw scena, jaką w życiu widział.

W końcu drzwi się otworzyły i wpuszczono go do sali narad. W świecznikach paliło się chyba ze dwadzieścia wysokich, woskowych świec, a pod ścianą ustawiono trzy koksowe piecyki. W komnacie dominował długi stół pełen map i papierów, gęsiich piór i kałamarzy. U jego szczytu siedział odziany w futro król Lofantyr, wspierający podbródek na lśniącej od pierścieni dłoni. Było tu obecnych kilkunastu innych mężczyzn. Jedni siedzieli, inni stali, a wszyscy mieli na sobie piękne, dworskie ubrania. Unieśli wzrok, gdy Andruw wszedł do środka, i na niejednej twarzy odmalował się niesmak wywołany widokiem obdartusa. Pokłonił się, ściskając w dłoni meldunek, który Corfe napisał, używając siodła jako biurka.

–Wasza Królewska Mość, panowie, haptman Andruw Cear-Adurhal przynosi meldunki od pułkownika Corfe’a Cear-Inafa.

–Od kogo? – zapytał ktoś, gdy Andruw położył meldunek przed monarchą i odsunął się, kłaniając się po raz, drugi. Rozległa się seria chichotów.

–Czy to prawda, że Martellus nie żyje? – zapytał nagle Lofantyr. Nawet nie sięgnął po zmięty zwój.

–Tak, panie. Przybyliśmy zbyt późno. Jego oddział i Fimbrianie wdali się już w walkę.

–Fimbrianie! – warknął ktoś z zebranych. Andruw rozpoznał szeroką w barach postać pułkownika Menina, który ostatnio został generałem oraz komendantem garnizonu w Torunnie.

–Na czyj rozkaz pułkownik Cear-Inaf poprowadził swój oddział na północ? – zapytał Lofantyr zrzędliwym tonem.

Andruw zamrugał, przestępując z nogi na nogę.

–Ależ na twój, panie. Na własne oczy widziałem królewską pieczęć.

Lofantyr wykrzywił twarz. Wyszeptał jakieś słowa, które mogły brzmieć: „cholerna baba”.

–Czy zdajesz sobie sprawę, haptmanie, że twojemu dowódcy wydano rozkaz przekazania oddziału pułkownikowi Arasowi rankiem tego samego dnia, gdy wyruszyliście na północ?

–Nie, panie. Nie otrzymaliśmy takich rozkazów. Ale wyruszyliśmy przed świtem. Twój kurier z pewnością przybył później.

Boże wszechmogący, pomyślał Andruw.

–Mówisz, że przybyliście za późno, żeby uratować Martellusa i jego ludzi – oskarżył Andruwa Menin.

–Uratowaliśmy dobre pięć tysięcy, generale. Przybędą tu za dzień, może dwa.

–Dlaczego się spóźniliście, haptmanie? Czy to nie była pilna misja?

Andruw zaczerwienił się, wspominając forsowny marsz na złamanie karku, paraliżujące zmęczenie ludzi i koni, dzikusów zasypiających w siodłach i spadających na ziemię.

–Nikt nie mógłby jechać szybciej, generale. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. A poza tym – dodał, podnosząc głos i spoglądając Meninowi prosto w oczy – było nas tylko tysiąc trzystu. Gdyby Corfe dostał więcej ludzi, moglibyśmy uratować całą cholerną armię. Martellus mógłby ocalić życie i nadal służyć krajowi!

–Na krew Boga, ty bezczelny szczeniaku! – wściekł się generał Menin. – Wiesz, z kim rozmawiasz? Wiesz?

–Dość tego – odezwał się ostrym tonem król. – Swary w niczym nam nie pomogą. Jestem pewien, że z czasem poznamy wszystkie fakty dotyczące tej katastrofy. Haptmanie, co ty masz na sobie, na Boga? Jak śmiesz stawać przed tą radą w tak brudnym stroju? Czy nie masz ani krzty szacunku dla zwierzchników?

Krew w Andruwie zawrzała, ale ugryzł się w język i nic nie powiedział. Widział już, ku czemu zmierza bieg wydarzeń. Potrzebowali kozła ofiarnego, kogoś, kogo mogliby obciążyć odpowiedzialnością za swą nieudolność i tchórzostwo. Corfe nie uratował części armii, ale stracił jej resztę. Wypaczą fakty tak, jak im wygodnie. Panie Boże, pomyślał. Nie przestaną się żreć nawet u bram piekieł.

–Wybacz, panie. Uważałem, że te wieści należy dostarczyć jak najszybciej. Przybyłem tu prosto z pola.

–Aj, ciekawe z czyjego – rozległ się drwiący głos. Andruw odwrócił się i zobaczył fircykowatą postać pułkownika Arasa. Pokłonił mu się, bardzo płytko.

–Pułkowniku, cieszę się, że widzę cię zdrowym po twych... przygodach na południu królestwa.

–Nie wątpię w to, haptmanie. Kiedy już uporałem się z buntownikami, przyprowadziłem ze sobą na północ trzydziestu waszych rannych dzikusów. Twój dowódca naprawdę powinien bardziej dbać o swoich ludzi. Jestem pewien, że ja zrobię to lepiej.

Andruw przeszył go wzrokiem. Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że pułkownik Aras kaszlnął i schował nos w pucharze z winem.

Potem wszyscy już go ignorowali. Stał pod drzwiami w zakrwawionej zbroi, podczas gdy rada debatowała nad wieściami, które przyniósł. Nikt nie kazał mu odejść. Najwyraźniej o nim zapomniano. Kolczuga uciskała mu ramiona. Na dworze panował chłód i teraz, w gorącej komnacie, haptmanowi było duszno. Wkrótce zakręciło mu się w głowie. Ktoś trącił go łokciem i Andruw poderwał się nagle akurat w chwili, gdy zaczęły się pod nim uginać kolana.

–Proszę, napij się łyczek, haptmanie – usłyszał czyjś głos. W rękę wciśnięto mu kielich wypełniony ciemnym płynem. Wypił go jednym haustem i poczuł, jak dobre wino ogrzewa mu wnętrzności. Jego dobroczyńca był młodym oficerem w niebieskim mundurze artylerzysty. Wydawał się Andruwowi skądś znajomy. Być może chodzili razem do szkoły artyleryjskiej. Głowę wypełniała mu mgła i nie był w stanie sobie tego przypomnieć.

–Chodź ze mną do kąta. Nawet nie zauważą, że cię nie ma.

Poszedł z oficerem do odległego narożnika obszernej komnaty. Gdy dotarł na miejsce, zdjął hełm i rozpiął pendent, a potem jego towarzysz pomógł mu zdjąć napierśnik i oba napleczniki. Poczuł się wyraźnie lepiej i z radością przyjął drugi kielich. Zdażyło już się wokół nich zgromadzić czterech czy pięciu oficerów. Zza ich pleców nadal dobiegało gładzenie osób zgromadzonych przy stole narad.

–Jak tam było? – zapytał artylerzysta. – Mówię o bitwie. W mieście już od paru dni krążą najróżniejsze pogłoski. Ponoć zabiliście dwadzieścia tysięcy Merduków.

–Co to za człowiek, ten Corfe? – zainteresował się inny oficer.

–Mówią, że to John Mogen narodzony na nowo – dodał cicho trzeci.

Andruw potarł powieki. Właściwie nigdy dotąd nie zastanawiał się nad Corfe'em, nad tym, kim on jest i czego dokonał. W oczach tych młodych oficerów zauważył coś, co go zdumiało. To było coś w rodzaju bojaźni, blasku odbijającej się w nich chwały. W czasach, gdy wydawało się, że wszystkie nadzieje na przyszłość wdeptano w zimowe błoto, a wielka ongiś torunnańska armia została zdziesiątkowana i skryła się za miejskimi murami, zjawił się człowiek, który stworzył z niczego własne wojsko i zdołał powstrzymać natarcie niezwyciężonej merduckiej hordy.

–To człowiek jak każdy inny – odparł wreszcie. – Mój najlepszy przyjaciel.

–Na Boga, oddałbym prawą rękę, żeby pod nim służyć – oznajmił z zapalem jeden z młodzieńców. – To jedyny oficer w naszej armii, który coś robi.

–Mówią, że jest kochankiem królowej wdowy – przypomniał inny.

–Nie wiedzą, co plotą – warknął Andruw. – To najlepszy oficer w całej armii, ale ci nadęci durnie tego nie widzą. Potrafią tylko głądzić i chrzanić o precedensach i dobrych obyczajach. Będą się tu dalej kłócić, skuleni nad koksowym piecykiem, kiedy Merducy podpalą pałac.

Paru młodych oficerów obejrzało się nerwowo za siebie. Nadęci durnie byli zaledwie dziesięć jardów od nich, po drugiej stronie komnaty.

–Wkrótce czeka nas oblężenie – stwierdził artylerzysta. – Wtedy chwały wystarczy dla wszystkich.

–Ale nikt nie napisze o was pieśni, gdy nieprzyjaciel sforsuje już mury i porwie wasze żony i siostry do merduckich haremów – sprzeciwił się z pasją Andruw. – Wroga trzeba pokonać w polu i Corfe jest jedynym człowiekiem w królestwie, który być może jest w stanie tego dokonać.

–Tak sobie myślę, że połowa armii zaczyna się skłaniać ku tej samej opinii – stwierdził szeptem artylerzysta. – Wszyscy wiedzą, że to on pokonał buntowników na południu, a Aras tylko ganiał niedobitki, lepiej jednak nie mówić tego głośno...

Przerwał, bo król wezwał Andruwa z powrotem do stołu.

–Bądź tak uprzejmy i poinformuj nas o sile merduckiej armii, którą napotkał twój oddział – rozkazał Lofantyr, skinąwszy dłonią.

–Było ich co najmniej czterdzieści tysięcy, panie, ale odnieśliśmy wrażenie, że to zaledwie straż przednia. Gdy się wycofywaliśmy, nadciągały już następne formacje. Nie byłbym zaskoczony, gdyby ostateczna liczba okazała się dwukrotnie większa.

Rozległy się głosy, pełne niedowierzania, czy raczej niechęci, by uwierzyć.

–A jak wielkie straty poniósł nieprzyjaciel podczas bitwy?

–Nie widzieliśmy końca wojsk Fimbrian, panie. Gdy straciliśmy ich z oczu, nadal walczyli, choć byli otoczeni. Idę o zakład, że merducki generał stracił około jednej czwartej swoich sił. Fimbriańscy pikinierzy nie umierają łatwo.

–Mogłoby się zdawać, że podziwiasz tych najemników.

–Nigdy nie widziałem żołnierzy, którzy ginęliby dzielniej, panie, nawet na wale.

–Ach! A więc byłeś na wale. Zapomnieliśmy o tym.

Niektórzy z obecnych w komnacie oficerów spojrzeli na Andruwa nieco

przychylniejszym wzrokiem. Kilku z nich pokiwało z aprobatą głowami.

–Corfe również był na wale, panie. Dowodził obroną wschodniego barbakanu.

–Który upadł pierwszy – wyszeptał Aras.

Andruw podszedł do pułkownika, unieruchamiając go między sobą a długim stołem.

–Bardzo bym nie chciał usłyszeć, że ktoś zniesławia dobre imię mojego dowódcy, pułkownika. Obawiam się, że w takim przypadku musiałbym zażądać satysfakcji – oznajmił ze złowrogim błyskiem w oczach.

Aras odwrócił wzrok.

–Oczywiście, haptmanie, oczywiście...

Wydawało się, że król nie słyszał tej wymiany zdań.

–Panowie – oznajmił – po wzmocnieniu naszych sił przez ludzi ocalonych z garnizonu Martellusa liczba obrońców stolicy wzrosła do blisko czterdziestu tysięcy, choć jednocześnie oznacza to ogołocenie z wojsk południowych księstw lennych. Ale dzięki wysiłkom pułkownika Arasa zbuntowane prowincje południa powróciły pod skrzydła odwiecznego seniora, sądzę więc, że nie musimy się obawiać ataku z tamtej strony.

Aras podziękował uprzejmym skinieniem głowy za pomruk uznania, płynący z ust zgromadzonych oficerów.

–Wszystkie mosty na Torrinie, aż po same góry, zniszczono. Geografia naszego ukochanego kraju sprzyja obrońcom. Rzeki są naszymi murami obronnymi – ciągnął Lofantyr.

Tak jak były nimi Ostian i Searil, pomyślał Andruw. Żadna z tych rzek nie powstrzymała merduckiej nawały. A teraz północną Torunnę ewakuowano i gdyby Merducy zechcieli, mogliby wysłać armię przez Przesmyk Torrinu i zdobyć Charibon albo przejść przez Równiny Toriańskie i zaatakować Almark albo nawet Perigraine. Wszędzie tam uznawano jednak zwierzchnictwo Kościoła Himeriańskiego i Andruw nie sądził, by obecni tu ludzie przelali zbyt wiele łez, gdyby splądrowano Charibon albo gdyby Almark – gdzie ponoć władał teraz Kościół – padł ofiarą inwazji. Niedawna religijna schizma rozdarła na dwoje ramusiańskie królestwa i nie było szans na zjednoczenie sił przeciwko najeźdźcom. Corfe miał rację: jeśli nieprzyjaciela nie zmiążdży się na drodze do Torunnu, jego kolumny będą mogły dotrzeć do połowy Normanii. A jeśli torunnańska armia pozwoli się zamknąć w stolicy, dopuści do tego, by wróg obiegnął ją tak, jak obiegnął Aekir, przestanie się liczyć w układzie sił. Almark i Perigraine nie były wielkimi wojskowymi potęgami. Nie zdołają się oprzeć

Merdukom i żołnierze proroka zaleją kontynent aż po szczyty Malvennoru.

Do komnaty wszedł pałacowy kurier, przerywając Lofantrowi optymistyczne wywody o zbliżającej się klęsce najeźdźców. Mężczyzna pochylił się i wyszeptał coś do królewskiego ucha. Suweren zerwał się z miejsca z wyrazem oburzenia na twarzy.

–Powiedz jej... – zaczął, ale drzwi komnaty otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczyła królowa wdowa w towarzystwie dwóch dam dworu. Wszyscy mężczyźni pokłonili się nisko, poza rozwścieczonym synem Odelii.

–Pani, nie uchodzi, byś była tu obecna w takiej chwili – wychrypiał.

–Nonsens, Lofantyrze – odparła z ujmującym uśmiechem jego matka, poruszając złożonym wachlarzem. – Całe życie uczestniczyłam w naradach Naczelnego Dowództwa. Czyż nie tak, generale Menin?

Menin pokłonił się raz jeszcze i wyszeptał coś niezrozumiałego.

–Tak czy inaczej, Lofantyrze, zostawiłeś coś podczas swej ostatniej wizyty w moich komnatach. Chciałam się upewnić, że ten dokument trafi do twoich rąk.

Podawała mu zwój, opatrzony szkarłatnym lakiem królewskiej pieczęci.

Lofantyr ujął go z wielką ostrożnością, jakby się obawiał, że dokument go ugryzie. Przymrużył podejrzliwie powieki. Kiedy przeczytał treść, jego twarz poczerwieniała.

–Skąd to się wzięło?

–Daj spokój, suwerenie, dokument jest opatrzony twoją pieczęcią, której ja już nie posiadam. Przeczytaj go, proszę, obecnym tu szlachetnym mężom. Jestem pewna, że są brzemieni przagnieniem usłyszenia dobrych wieści, które zawiera.

–Może innym razem.

–Przeczytaj go!

Jej głos zabrzmiał donośnie jak strzał z arkebuza. Wszyscy mężczyźni wzdrygnęli się, słysząc tak władczy ton. Wydawało się, że Lofantyr skurczył się w sobie.

–To... to nominacja generalska dla Corfe’a Cear-Inafa, zatwierdzająca go jako zastępcę Martellusa albo, jeśli ten nie żyje, jako samodzielnego dowódcę jego armii.

Andruw walnął z radości zakutą w stal pięścią w otwartą dłoń.

–Brawo! – krzyknęło za jego plecami kilku młodszych oficerów, jakby oglądali przedstawienie. Królowa wdowa podeszła dumnym krokiem do pułkownika Arasa,

który wyglądał tak, jakby przed chwilą połknął pigułę o obrzydliwym smaku.

–Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowany, pułkowniku. Wiem, że bardzo się cieszyłeś na myśl o dowodzeniu tymi barbarzyńcami w czerwonych zbrojach.

–Ależ... ależ skąd. Jestem zachwycony, szczęśliwy...

Umilkł zmieszany. Trudno było wytrzymać badawcze spojrzenie Odelii.

–To jakaś pomyłka – zdołał wykrztusić król Lofantyr, odzyskując panowanie nad sobą. – Nie zatwierdziłem podobnych rozkazów.

–Niemniej jednak one istnieją. Gdybyś je teraz odwołał, równałoby się to złamaniu danego słowa, synu. Masz mnóstwo zajęć. Z pewnością po prostu zapomniałeś, że je wydałeś. Nie wątpię, że z czasem sobie o tym przypomnisz. Panowie, zostawię was teraz z waszymi strategicznymi planami. Biedna, nieświadoma kobieta nie powinna się mieszać do takich spraw. Haptmanie Cear-Adurhal, zajrzyj proszę do moich komnat, zanim wrócisz do oddziału.

Andruw pokłonił się bez słowa. Twarz mu jaśniała. Pozostali mężczyźni podążyli za jego przykładem, gdy biedna, nieświadoma kobieta opuszczała królewskim krokiem komnatę.

CZTERNAŚCIE

Przywitali go salwą artyleryjską, mury Torunnu eksplodowały chmurą dymu i płomienia, gdy tylko jego armia pojawiła się na horyzoncie. Wyczerpani ludzie, słysząc ten dźwięk, unieśli głowy i zobaczyli gwardię honorową liczącą sobie tysiąc ustawionych w szeregi żołnierzy, która miała przywitać ich w mieście. Zdumiony Corfe ściągnął wodze, spoglądając na ten spektakl. Jego powiększona teraz armia mijała go powoli: torunnańscy piechociarze i arkebuźnicy oraz fimbriańscy pikinierzy. Katedralnicy jechali na skrzydłach oraz tworzyli tylną straż.

Podjechali do niego Marsch i Ebro.

–Dlaczego strzelają do nas z dział? – zainteresował się dzikus. – Czy to ostrzeżenie?

–To salut – wyjaśnił mu Ebro. – Oddają nam honory.

–Już najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił – rozległ się kolejny głos. Dołączył do nich czwarty jeździec. To był pułkownik Ranafast, jedyny starszy stopniem oficer z garnizonu wału, który pozostał przy życiu. Był wychudzonym mężczyzną o orlich rysach twarzy, który dowodził na wale kawalerią. Z jego oddziału ocalało zaledwie dwudziestu jeźdźców. Znał Corfe'a jako prostego chorążego, adiutanta Martellusa, ale nie okazywał urazy z powodu awansu dawnego podkomendnego.

Na ulice stolicy wyległy tłumy. Corfe słyszał krzyki nawet tutaj, w odległości mili. Zmobilizowali ludność, żeby ich przywitała. Cieszył się z tego, z uwagi na swoich ludzi – potrzebowali czegoś, co podniosłoby ich morale – ale osobiście wolałby zwinąć się pod płaszczem i przespać chwilę w błocie. Wiedział, że gdy tylko wróci do stolicy, znowu zaczną się podchody, i robiło mu się ciężko na duszy na tę myśl.

–Zbliżają się jeźdźcy – odezwał się Marsch. – To chyba będzie Andruw. Tak, to on. Znam ten jego uśmiech.

Andruw zatrzymał się przed nimi, dysząc ciężko, i zasalutował Corfe'owi.

–Witaj, generale. Rozkazano mi odprowadzić ciebie i twoich oficerów do specjalnie przygotowanych kwater w pałacu. Dziś wieczorem ma się odbyć bankiet na twoją cześć.

–Co ty, u licha, gadasz, Andruw? – obruszył się Corfe. – I co to za bzdura z tym generałem?

–To nie żart, Corfe. Królowa wdowa załatwiła ci awans. Jesteś teraz dowódcą całej tej zgrai. – Andruw wskazał na długą kolumnę ubłoconych żołnierzy, która ich mijała.

– Ta kobieta to prawdziwy cud. Przypominaj mi od czasu do czasu, żebym nigdy nie wchodził jej w drogę. Złapała Lofantyra za brodę w jego własnej komnacie narad. Cóż za śmiałość! Jakim wspaniałym królem by była, gdyby tylko urodziła się mężczyzną!

Generał. Nie wierzył, że Odelia naprawdę potrafi tego dokonać. Generał na wpuł rozbitej armii. Nie sprawiło mu to zbyt wiele radości. Być może odrobinę ponurej satysfakcji i na tym koniec.

Teraz mijali ich Fimbrianie. Jeden z nich oddzielił się od grupy, by zaszalutować jeźdźcom.

–Pułkownik Corfe? – odezwał się Formio, jego fimbriański adiutant.

–Generale, na Świętego! – poprawił go z chichotem Andruw.

–Zamknij się, haptmanie. Słucham?

–Czy mamy wejść do miasta razem z twoimi ludźmi? Zrozumiem to, jeśli polityczne względy nakazują, byśmy postąpili inaczej.

–Słucham? Nie, na Boga, wejdziecie razem z całą resztą. Znajdę kwatery dla was wszystkich, w pałacu, jeśli okaże się to konieczne. A jeśli nam odmówią, rozkażę go splądrować i tyle.

Ludzie otaczający Corfe’a umilkli, uciszeni jego gniewem. Zachowywał się tak już od czasu bitwy.

–Dziękuję, generale. I gratuluję awansu.

–Co zamierzasz zrobić, Formio? Ty i twoi ludzie?

–Decyzja w tej sprawie należy do ciebie.

–Nie rozumiem.

–Zgodnie z ostatnim rozkazem marszałka miałem oddać ludzi do twojej dyspozycji. Dopóki nie otrzymam z elektoratów innych poleceń, wykonujemy tylko twoje rozkazy, nie rozkazy torunnańskiej korony. Dobrego dnia, generale.

Fimbrianin ponownie zajął miejsce w długiej, zdyscyplinowanej kolumnie pikinierów.

–To dzielny człowiek – stwierdził z aprobatą Marsch. – Ci Fimbrianie znają się na swoim fachu. Dobrze będzie znowu walczyć u ich boku. Ale dziwnie mało wiedzą o koniach.

–Corfe – odezwał się Andruw – oni tam czekają na ciebie. To królowa wdowa to

wszystko przygotowała: salut, triumfalny wjazd i tak dalej. Jeśli ludność cię poprze, nawet sam król nie będzie mógł cię tknąć. To wszystko elementy gry.

Corfe wreszcie się uśmiechnął.

–Wielka gra. Czy o to w tym chodzi? Zgoda. Prowadź, Andruw. Będę się uśmiechał, machał ręką i zachowywał jak generał, ale pod koniec chcę się wykąpać, dostać dzban wina i uwalić się do łóżka.

–Najlepiej nie pustego – zgodził się z pasją Ranafast.

Wszyscy parsknęli śmiechem na te słowa, a potem podążyli za żołnierzami na spotkanie z wiwatującymi tłumami.

Odświętna natura całego powitania stawała Corfe'owi ością w gardle. Na wieczorny bankiet przyszło sześciuset gości: oficerowie torunnańskiej armii, ich panie, szlachta, bogacze pozbawieni rangi, ale za to z sakiewkami bez dna. Obraz przyjęcia tańczył wokół niego w mgiełce blasku świec i śmiechu. Wino lało się obficie, a tłumy służących w liberiach przynosiły kolejne dania na srebrnych tacach. Corfe miał skurczony żołądek, a do tego był rozpaczliwie zmęczony, pochłaniał więc tylko kolejne kielichy znakomitego gaderiańskiego wina, siedząc na krześle w swym dworskim mundurze z nowymi, srebrnymi generalskimi epoletami na ramionach.

Uczta była nieciekawa. Król nie przybył, twierdząc, że jest niedysponowany – trudno to było uznać za zaskakujące – ale Corfe siedział u prawego boku królowej wdowy, która prowadziła towarzyskie rozmówki z sąsiadami i robiła, co mogła, by poczuł się ich uczestnikiem, mimo że nie odzywał się ani słowem. Wyglądało na to, że wszyscy pragną jedynie upić się do nieprzytomności. Tłum gości produkował nieprawdopodobny zgiełk, choć Corfe'owi nadal dzwoniło w uszach po łoskocie bitwy na Północnym Wzniesieniu. Bolały go też żebra od ciosów mieczem, które wylądowały na jego zbroi podczas walki.

Andruw był w wyśmienitym nastroju. Żłopał świetne wino i flirtował bezczelnie z dwiema ładnymi córkami księcia, siedzącymi naprzeciwko niego.

Marsch również był obecny. Czuł się zupełnie nie na miejscu i odpowiadał wszystkim monosylabami. Sprawiał wrażenie całkowicie trzeźwego, choć pot spływał mu strumieniami po twarzy, a koronkowy kołnierzyk się przekrzywił.

Dwa krzesa dalej siedział chorąży Ebro, który zdążył się już upić i uśmiechał się lubieżnie, racząc sąsiadów krwawymi opowieściami o szlachtowaniu Merduków.

Fimbrianin, Formio, wyglądał jak żałobnik czuwający przy zwłokach. Pił wyłącznie wodę i był nienagannie uprzejmy. Goście siedzący obok niego – torunnański oficer sztabowy oraz drobny szlachetka i ich żony – najwyraźniej zasypywali go gradem pytań, ale on nie był zbyt skory do udzielania odpowiedzi. Spojrzał Corfe'owi w oczy i skinął głową bez uśmiechu.

Martellus i większość żołnierzy z garnizonu Wału Ormanna, najlepszej armii, jaka została w kraju, leżeli zabici i nie pogrzebani na północy. Wilki nasycą się ich ciałami, darem środka zimy. Obok nich, blisko jak bracia, spoczywały trzy tysiące rodaków Formia oraz ich dowódca. A w mieście świętowano, jakby odnieśli triumf i zażegnali kryzys. Corfe nigdy w życiu nie czuł się takim oszustem. Nie był jednak idealistycznym głupcem. Kiedyś mógłby zerwać generalskie epolety i nawymyślać gościom. Kiedyś, przed Aekirem. Teraz jednak miał więcej doświadczenia. Osiągnął

wysoką rangę i zrobi z niej użytek. Miał też oddział, z którym mógł jeszcze czegoś dokonać.

Wydawało mu się, że rozumie przyczyny oszalałej radości zebranych. To była ostatnia zabawa, wyzwanie rzucone nadchodzącej ciemności. Widywał już takie uczty. W Aekirze, gdy Merdicy zaczęli otaczać miasto, wielu szlachetnie urodzonych urządziło podobne bankiety, wypełniając noc strumieniami wina oraz korowodami tańczących dziewcząt. A rankiem zajęli miejsce na murach. A co robił Corfe w pierwszy dzień oblężenia? Ach, tak. To była ostatnia noc, gdy spał z żoną. Wtedy kochał się z nią po raz ostatni. Potem nie mieli już na to czasu. Przynosiła mu posiłki, gdy pełnił służbę na murach, spędzając z nim cenne minuty. Aż do nadejścia końca.

–Jesteś pijany, Corfe! – zawołał radośnie Andruw. – Pani... – mówił do królowej wdowy -...lepiej miej generała na oku. Wiem, że lubi wino.

Faktycznie był pijany. Upił się na smutno, nie odzywając się ani słowem. Wino nie sprawiało mu już radości. Przywoływało tylko przed oczy ból przeszłości, odświeżało go i wzmacniało. Poczuł, że królowa wdowa pod stołem dotyka go kolanem.

–Dobrze się czujesz, generale? – wyszeptwała.

–Nigdy nie czułem się lepiej, pani – odparł. – To naprawdę wspaniałe przyjęcie. Muszę ci podziękować za... za wszystko.

Odwrócił się i spojrzał w jej oczy, w ich niebezpieczną, zieloną głębię. Błyszczały jak morskie płycizny w świetle słońca. Była taka piękna i zrobiła dla niego tak wiele. Dlaczego? Jakiej zapłaty zażąda od niego na koniec?

–Musisz mi wybaczyć, pani. Niedobrze mi – wybełkotał.

Nie wyglądała na zaskoczoną. Zaklaskała w dłonie, wzywając służbę.

–Generał źle się poczuł. Odprowadźcie go na pokoje.

Gdy tylko opuścili komnatę, pozbył się służących i powlókł chwiejnym krokiem przez słabo oświetlone korytarze. Za sobą słyszał radosne odgłosy uczty. Idąc, ocierał się barkiem o ścianę. W porównaniu z zatłoczoną komnatą było tu zimno i przejaśniło mu się nieco w głowie. Czemu, do licha, wypił tak dużo tego cholerstwa? Jutro czekało go mnóstwo roboty i nie będzie miał czasu leczyć cholernego kaca.

Miał za duży mętlik w głowie, by mógł usłyszeć ciche kroki za plecami.

Plac apelowy przed pałacem. Corfe wyszedł w rozgwieżdżoną noc i przystanął, gapiąc się na świetlisty wir niebios. Po obu stronach placu wznosiły się szeregi masywnych, przysadzistych budynków, ale w większości okien nie paliły się światła. Zakwaterowano tam jego ludzi: dzikusów, Torunnan i Fimbrian. Oni nie świętowali. Byli za bardzo zmęczeni. Zbyt wiele widzieli. Da im kilka dni na odpoczynek i uzupełnienie wyposażenia, a potem zaczniesz łączyć te różnorodne elementy w jedną, precyzyjnie zorganizowaną całość.

Za jego plecami znowu rozległy się kroki, tym razem głośniejsze. Odwrócił się.

–Andruw?

Skoczył nań jakiś ciemny kształt. Nóż błysnął niczym żywe srebro. Corfe zdążył się uchylić i ostrze, zamiast wbić się w gardło, zraniło go w prawy bark. Ból wypełnił mu umysł, przeganiając opary wina. Corfe rzucił się do tyłu w tej samej chwili, gdy nóż pomknął ze świstem ku jego twarzy. Potknął się i runął ciężko na plecy. Napastnik ponowił atak, lecz Corfe zdołał kopnąć go w brzuch i odepchnąć od siebie. Przetoczył się, czując przeraźliwy ból w pękniętych żebrach. Jego prawa ręka słabła – słabła, gdy z rany wypływała krew, czarna w blasku gwiazd. Nim jednak zdążył się podnieść, pojawiła się nowa postać. Przybysz rzucił się bez słowa na napastnika. Przeciwnicy miotali się w ciemności zbyt szybko, by mógł śledzić ich ruchy. Potem rozległ się makabryczny trzask łamanych kości. Ciało upadło na bruk placu apelowego i nowo przybyły pochylił się nad Corfe'em.

–Jesteś ranny, generale?

Przybysz pomógł mu wstać. Prawa ręka Corfe'a zwiślała bezwładnie.

–Formio! Na Świętego, zjawileś się w porę. Daj, niech się przyjrzę temu skurwysynowi.

Wciągnęli zwłoki do środka i poddali je oględzinom. Mężczyzna miał na twarzy czarną, wełnianą maskę z otworami na oczy i nos. Zerwali ją i ujrzeli śniade oblicze z wytrzeszczonymi z zaskoczenia oczyma. To był człowiek ze Wschodu, być może

Merduk. Miał złamany kark.

–Zawołam strażników – stwierdził Fimbrianin. – Możliwe, że jest ich więcej. To był zawodowiec.

–Skąd się tu wzięłeś? – zapytał Corfe. Kręciło mu się w głowie na skutek utraty krwi i napływu adrenaliny uwolnionej podczas walki.

–Poszedłem za tobą. Ja również nie przepadam za uroczystymi bankietami i chciałem porozmawiać...

Umilkł z niemal zawstydzoną miną.

–Szczęście się do mnie uśmiechnęło – stwierdził Corfe. – Gdyby nie ty, poderznąłby mi gardło. Na Boga, asasyn. Sułtan ma długie ręce.

–Jeśli to rzeczywiście sułtan. Nie wszyscy twoi wrogowie przebywają po tamtej stronie murów. Chodź, trzeba ci opatrzyć ranę.

Doszło do nieuniknionego zamieszania, gdy strażnicy zaczęli przetrząsać pałac, komnata po komnacie, w poszukiwaniu następnych asasynów. Zawiadomiono królową wdowę i zaraz potem zaprowadzono Corfe'a do jej prywatnych komnat. Goście na bankiecie bawili się jednak do późnej nocy, nie zdając sobie sprawy z owych wydarzeń.

–Powinnam ci towarzyszyć przez cały czas – oznajmiła Corfe'owi Odelia, gdy rana na jego barku zamknęła się pod jej dłońmi, a komnatę wypełniła słaba woń ozonu towarzysząca dweomerowi. – W ten sposób uniknąłbyś choć części kłopotów. Co zrobiliście z ciałem?

–Formio wrzucił je do rzeki.

–Szkoda. Z chęcią bym je zbadala. Mówisz, że to był Merduk?

–Człowiek ze Wschodu, pani. Szkoda, że nie mamy w armii choć kilkunastu ludzi z twoimi umiejętnościami. Nasi ranni błogosławiliby ich imiona.

Corfe poruszył na próbę prawą ręką i przekonał się, że jest trochę sztywna, ale poza tym zupełnie w porządku. Została mu tylko maleńka blizna, choć nóż napastnika dotarł aż do kości.

–Trudno byłoby ci ich znaleźć – odpowiedziała. – Lud dweomeru z każdym rokiem staje się coraz mniej liczny. Minęło już dziesięć lat, odkąd ostatnio mieliśmy na torunnańskim dworze prawdziwego maga. Znam tylko jednego, który nadal żyje otwarcie. To Golophon z Hebrionu. Wszyscy pozostali się ukrywają.

–Ale nie ty.

–Ja jestem królową. Pozwala mi się na odrobinę... ekscentryczności.

Pocałowała go w usta, a potem się odsunęła i Corfe ujrzał ze zdziwieniem, że jej oczy są pełne łez, które jednak nie chciały popłynąć.

–Myślisz, że to robota sułtana? – mruknął, odwracając wzrok.

–Któż może to wiedzieć? Asasyni pochodzą ze Wschodu, ale pracują za pieniądze. Ich klientami mogą być zarówno Merducy, jak i ramusianie. Muszą tylko być bogaci.

–Być może tak bogaci jak król?

–Niewykluczone. Świat jest pełen niebezpieczeństw czyhających na tych, których gwiazda się wznosi. W tym kraju są ludzie, którzy woleliby obrócić się w popiół, niż

żeby ocalił ich ktoś nisko urodzony.

–John Mogen nie był szlachcicem.

–Tak, to prawda. Nie był. I nigdy nie pozwalał nikomu o tym zapomnieć.

Uśmiechnęła się.

–Dobrze go znałaś?

–Znałam go. Można powiedzieć, że go sponsorowałam, tak samo jak sponsoruję ciebie.

–A więc na tym polega twoja rola na świecie. Na tworzeniu generałów.

–Na ratowaniu królestwa – poprawiła go zwięźle – wszelkimi dostępnymi środkami.

–Cieszę się, że mi to wyjaśniłaś – odparł równie lakonicznie.

Wstała.

–Jestem nie tylko królową, lecz również kobietą, Corfe. Szukałam wybitnych dowódców i znajdowałam ich. Nie pragnę kochać ani być kochaną, jeśli to właśnie cię niepokoi.

–Słyszę to z ulgą – burknął i przeklął sam siebie, gdy Odelia wyszła z komnaty z twarzą wyraźnie naznaczoną bólem.

PIĘTNAŚCIE

–Na brodę proroka, kim byli ci ludzie? Mieli na sobie nasze zbroje, przybyli znikąd, a potem znowu zniknęli. Czy ktoś potrafi mi odpowiedzieć, czy może wszyscy zapomnieliście języka w gębie?

Aurungzeb Złoty, zdobywca Aekiru, sułtan Ostrabaru, obrzucał wyzwiskami grupkę skulonych trwożnie doradców i oficerów, którzy klęczeli przed nim na pięknie tkanym dywanie. Ściany wielkiego namiotu drżały na wietrze, a zasłony dzielące od siebie jego przedziały, poruszały się niczym stojące pionowo węże.

–Słucham?

–Wysłaliśmy już dziesiątki szpiegów, mój sułtanie – odezwał się mężczyzna w pięknie lakierowanym żelaznym półpancerzu. – W tej chwili dysponujemy jedynie plotkami zasłyszczanymi od pojmanych niewiernych. Ponoć ta konnica jest czymś zupełnie nowym. To nawet nie są Torunnanie, tylko banda najemników, dzikusów z Gór Cymbryckich na zachodzie, dowodzona przez torunnańskiego oficera, który popadł w niełaskę. Jest ich jednak niewiele, bardzo niewiele. Zadaliśmy im poważne straty, a potem się wycofali. Nie powinniśmy się nimi zbyt przejmować. To... niepowtarzalne zjawisko, odchylenie od normy. I najlepszy dowód na desperację wroga, jeśli musi się uciekać do pomocy barbarzyńców oraz przeklętych Fimbrian.

–No cóż – mruknął nieco udobruchany Aurungzeb – może i masz rację, shahrze Johorze. Ale nie chcę już więcej żadnych tego typu niespodzianek. Gdyby nie te diabły w szkarłatnych strojach, wyeliminowalibyśmy cały garnizon z wału, a przy okazji również Fimbrian.

–Podwoiliśmy liczbę patroli, straszliwy suwerenie. Wszystkie torunnańskie wojska ukryły się za murami nieprzyjacielskiej stolicy. Raczej nie budzi wątpliwości to, że chcą przetrzymać oblężenie. To pozwoli nam wysłać oddziały do Charibonu, tego gniazda niewiary. W ten sposób zniszczymy oba ośrodki ohydnej ramusiańskiej religii. Ramusiański Aekir należy już do przeszłości. Wkrótce taki sam los czeka Charibon i jego odzianych na czarno kapłanów.

Aurungzeb skinął głową. W jego oczach, osadzonych w porośniętej gęstą brodą twarzy, pojawił się błysk zamyślenia.

–Dobrze to powiedziałaś, shahrze Johorze. Ale w Torunnie również mają pontyfika, tego samego, który umknął nam w Aekirze. On nie jest przyjacielem Charibonu. Oto jak nisko upadła ramusiańska wiara. Walczą między sobą, mimo że synowie proroka pukają do ich bram.

–Tak zrzędził Bóg – stwierdził shahr Johor, pochylając głowę.

–I prorok, oby żył wiecznie.

Szczególnie gwałtowny powiew sprawił, że cały masywny namiot zatrząsł się i zakołysał. Twarz Aurungzeba znowu pociemniała.

–Ta burza... Bataku!

Z cieni wysunął się młody mężczyzna w szacie barwy koralu.

–Mój sułtanie?

–Czy nie możesz nic poradzić na tę przeklętą burzę? Tracimy czas i konie.

Batak rozpostarł dłonie w wymownym geście.

–To obecnie wykracza poza moje możliwości, panie. Władanie pogodą jest trudną dyscypliną. Nawet mój mistrz...

–Tak, tak. Orkh stopiłby cały ten śnieg w mgnieniu oka, a z nawałnicy zrobiłby wiaterek delikatny jak pierdy staruszka. Ale Orkh wyruszył w pogoń za tęczą. Zobacz, co ty dasz radę zrobić.

Batak pokłonił się nisko i odszedł.

–To by było wszystko – oznajmił Aurungzeb. – Pora, bym porozmawiał ze swym Bogiem. Pozwalam wam odejść. Akranie! – dodał, zwracając się do wysokiego, chudego jak szkielet wezyra, który stał w jednym z kątów niczym zagłodzony golem. – Dopilnuj, żeby przez godzinę nikt mi nie przeszkadzał.

–Tak jest, panie. Uczynię to bezzwłocznie.

Wezyr stuknął laską w podłogę namiotu. W pałacu rozległby się donośny stuk drewna uderzającego o marmur, tu jednak usłyszeli jedynie głuchy łoskot. Na takie to niedogodności narażali się ci, którzy wyruszali na wojnę wraz ze swym sułtanem. Oficerowie i ministrowie podnieśli się na ten sygnał, pokłonili i wyszli tyłem z namiotu w szalejącą zamieć. Wezyr podążył za nimi ze zrezygnowaną miną.

Aurungzeb ruszył się z miejsca i rozejrzał wokół. Wyglądał jak włochaty psotny chłopak.

–Aharo – zawołał cicho. – Światło mojego serca, już poszli. Możesz wyjść z ukrycia, słodziutki kasku. Woła cię twój pan.

Za zasłony z tyłu namiotu wyłoniła się szczupła, spowita w półprzezroczysty jedwab postać, która uklękła przed Aurungzebem, pochylając głowę. Sułtan chwycił kobietę za podbródek i uniósł go, odsuwając przesłaniającą twarz welon. Blade

oblicze, szare oczy, ciemne wargi naznaczone śladem rózu. Otarł je.

–Nie potrzebujesz się malować, słodka. Nie ty. Doskonałości nie sposób poprawić.

Zaklaskał w wielkie, owłosione dłonie.

–Muzyka! Powolny taniec z Kurasanu!

W sąsiedniej, osłoniętej kotarą części namiotu zabrzmiały nagle dzwonki i struny szarpane przez muzyków. Z początku melodia była trochę nierówna, ale po chwili nabrała rytmu i harmonii.

–Zatańcz dla mnie. Zatańcz dla swego znużonego pana i spraw, żeby zapomniał o troskach obracającego się świata.

Aurungzeb rzucił się na stos jedwabnych poduszek, ssąc ustnik fajki wodnej, podczas gdy jego nałożnica znieruchomiała na mgnienie oka, a potem zaczęła się poruszać, powoli jak wierzba na letnim wietrzyku.

Gdy Heria tańczyła, jej umysł przestawał funkcjonować. Lubiła to robić. Dzięki temu jej ciało wciąż było gibkie i sprawne. Nadal jednak nie lubiła tego, co działo się potem. Zwłaszcza w tej chwili. Wysłuchiwała raportu shahra Johora, tak jak słuchała wszystkiego, co mówiono w namiocie sułtana. Perfekcyjnie opanowała merducki język, choć udawała, że zna tylko jego podstawy. Ukryła żal, jaki poczuła na wieść o upadku wału, a teraz ogarnęło ją uniesienie, gdy wysłuchiwała opowieści o niedawnej bitwie oraz nieoczekiwanej interwencji tajemniczych i straszliwych czerwonych jeźdźców, którzy zjawili się w ostatniej chwili. Choć była zhańbiona i zbrukana, nadal pozostawała Torunnanką. Mężczyzna, z którym dzieliła życie do chwili upadku Aekiru, był torunnańskim żołnierzem i nie potrafiłaby o tym zapomnieć. Równie dobrze któregoś dnia mogłoby zapomnieć zająć słońce.

Tempo tańca wzrosło. Aurungzeb skupił spojrzenie na ruchach jej białych kończyn. Pykał pośpiesznie z fajki, wypełniając namiot białymi obłoczkami. Wreszcie muzyka ucichła i Heria zamarła w bezruchu, unosząc ramiona nad głowę. Dyszała szybko. Sułtan odrzucił na bok ustnik fajki wodnej i wstał.

–Chodź. Do mnie.

Zatrzymała się obok niego. Jego broda łaskotała ją w nos. Heria była wysoka i nie musiał się zbytnio pochylać, by wtulić twarz w miejsce nad jej obojczykiem. Drżącymi dłońmi ściągał z niej półprzezroczystą szatę.

–Jesteś królową między kobietami – szeptał. – Przepiękna.

Rozebrał ją do naga, a ona cały czas stała nieruchomo. Musnął palcami sutki Herii,

sterczące i boleśnie wrażliwe.

–Mój sułtanie – odezwała się pośpiesznie, gdy jego dłonie powędrowały niżej. Wydepilowano ją, zgodnie z obyczajem panującym w haremie, i jej skóra była gładka jak alabaster. Palce stawały się coraz bardziej natarczywe. Wzięła się w garść, by się nie wzdrygnąć, gdy posuwały się coraz dalej. – Będę miała dziecko.

Znieruchomiał nagle i wyprostował się. Oczy mu błyszcząły.

–Jesteś pewna?

–Tak. Kobiety wiedzą takie rzeczy. Szambelan haremu również to potwierdza.

–W imię proroka, dziecko. Syn. A ty tańczyłaś przede mną! – Był wściekły. Uniósł rękę, by ją uderzyć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Opuścił dłoń i dotknął napiętej skóry jej brzucha. – Moje dziecko. Mój syn. Nigdy jeszcze nie miałem syna, który by wyżył. Nędzne dziewczynki, tak, ale to... to będzie chłopiec.

–Ale może nie będzie, panie.

–To musi być chłopiec! Poczęto go podczas wojny, w chwili zwycięstwa. Wszystkie omeny są sprzyjające. Każę Batakowi cię zbadać. On będzie wiedział. Wreszcie będę miał dziedzica! Zabraniam ci więcej tańczyć. Masz leżeć w łóżku. Ach, mój kwiecie zachodu! Wiedziałem, że przyniesiesz mi szczęście. Jeśli to będzie chłopiec, uczynię cię pierwszą żoną. To na pewno będzie chłopiec. – Ryknął głośnym śmiechem i uścisnął Herię z siłą niedźwiedzia, ale zaraz potem ją wypuścił. – Nie... z tym już koniec. Będziemy cię traktować jak porcelanę, jak najcenniejsze szkło. Wkładaj szaty! Muszę rozkazać eunuchom, żeby znaleźli coś bardziej odpowiedniego dla matki mojego syna. Te jedwabie są dobre dla niewolnicy. I służące... dostaniesz służące i własny namiot... – Przerwał. Obmacał ją, jakby była jakąś cenną, kruchą wazą, która w każdej chwili może się stłuc. – Ile to już czasu? Jak bardzo urósł?

–Niedużo, panie. Może ze dwa miesiące.

–Dwa miesiące! Serce mojego syna bije już od dwóch miesięcy! Każę spalić cały wóz kadzidła. W każdej świątyni Wschodu odmówi się modlitwy. Ha, ha, ha! Syn!

Syn, pomyślała Heria. Tak, to będzie chłopiec. Skądś o tym wiedziała. Co pomyślałaby o tym jej Corfe? Nosila syna wschodniego tyrana, dziecko poczęte z gwałtu. Corfe zawsze chciał mieć dzieci.

Łzy paliły jej oczy.

–Płaczesz, moja gołąbeczko, moja najdroższa ślicznotko? – spytał zatroskany Aurungzeb.

–Płacę z radości, że spotkał mnie zaszczyt wydania na świat dziecka sułtana, panie.

Dlaczego jeszcze żyła? Czemu nie znalazła jakiegoś sposobu, by ze sobą skończyć? Znała jednak odpowiedź na to pytanie. Ludzka natura potrafi znieść wiele, znieśie niewyobrażalne rzeczy. Ciało je, śpi, wydała i żyje, choć umysł modli się o kres. A z czasem umysł również się przystosowuje i nieznośny koszmar staje się codziennością. Heria chciała żyć, chciała, żeby jej dziecko się urodziło. To był jego syn, ale będzie również jej synem. Będzie miała coś własnego. Będzie go kochała, jakby był dzieckiem Corfe'a, i być może jej życie odzyska jeszcze jakąś wartość. Miała nadzieję, że duch jej męża to zrozumie.

SZESNAŚCIE

Urbino, książę Imerdonu, był wysokim, chudym jak szczapa mężczyzną wyglądającym na ascetę. Ubierał się na czarno, odkąd przed dwudziestu trzema laty zmarła jego żona. Był po królu najpotężniejszym szlachcicem w Hebrionie, mimo że nie łączyły go żadne więzy krwi z dynastią Hibrusydów. Imerdon był ongiś księstwem lennym płacącym daninę fimbriańskiemu elektoratowi Amarlaine, ale Fimbrianie przed kilkudziesięciu laty wycofali pretensje do niego, po ostatniej bitwie nad Habrirem (którą wygrali). Niewielu ludzi wiedziało, dlaczego właściwie Fimbrianie zrezygnowali z księstwa, miast Pontifidad i Himerio oraz wszystkich ziem aż po Merimer, ale krążyły pogłoski, że do przeniesienia garnizonu w inne miejsce zostali zmuszeni przez jedną z ich niekończących się wojen domowych. Dowódca wycofujących się żołnierzy nie potrafił oprzeć się pokusie rozkwaszenia Hebrionczykowi nosa na pożegnanie i dlatego stoczono bezsensowną bitwę nad Habrirem.

Szlachta z księstwa złożyła hołd lenny monarsze Hebrionu. Pozyskanie Imerdonu niemalże podwoiło obszar tego królestwa, a w późniejszych latach władcy prowincji nieraz łączyli się więzami małżeńskimi z królewską dynastią. Choć księcia i jego krewnych otaczano powszechnym szacunkiem, a ich ród był bardzo potężny, często byli uważani za obcych, cudzoziemców. Imerdończycy należeli do tej samej rasy, co mieszkańcy Hebrionu, ale długa, trwająca blisko pięć stuleci fimbriańska dominacja sprawiła, że różnili się nieco od zachodnich kuzynów. Wielu z nich lubiło się ubierać na czarno, jak ludzie z elektoratów, byli też na ogół bardziej zdyscyplinowani i religijni, co powodowało, że spoglądali na ekscesy starego, rozwiązłego Abrusio z fascynacją połączoną z niesmakiem. Ich książę nie mieszał się do straszliwej wojny, która zniszczyła stolicę królestwa, choć przepuścił przez swe terytorium himeriańskich Rycerzy-Bojowników, uciekających z kraju po klęsce. Powiadano, że choć – podobnie jak król – przyjął herezję, uważając to za swój obowiązek, uczynił to z niechęcią i nadal sympatyzował z Kościołem Himeriańskim.

Książę czekał w krytym powozie, który zatrzymał się w górnym Abrusio, nieopodal królewskiego pałacu. Gdyby Urbino odsunął skórzaną zasłonę, mógłby policzyć nadal tkwiące w murach kule armatnie.

–Panie – dobiegł zza kotary głos jednego ze sług. – Pani przyszła.

–To pomóżcie jej wsiąść – rozkazał książę.

Pani Jemilla wdrapała się na siedzenie obok niego. Urbino stuknął w dach kościstą, upierścienioną dłonią i powóz potoczył się naprzód.

–Mam nadzieję, że dobrze się czujesz, pani – przywitał ją uprzejmie.

–Dziękuję, kwitnąco – odparła.

Milczeli przez parę chwil, jakby oboje czekali, aż to drugie odezwie się pierwsze.

–Jak rozumiem, twoja misja zakończyła się powodzeniem – księżę w końcu przerwał ciszę.

–Jak najbardziej. Wczoraj doręczyłam petycję. Jestem pewna, że ta astarańska kobieta i mag rozważają już jej implikacje.

Urbino skinął głową. Jemilla włożyła skromny, szary strój, odpowiedni dla szanowanej, szlachetnie urodzonej matrony. Na twarzy nie miała ani śladu szminki i różu. Zdawała sobie sprawę, że w rozmowie z surowym księciem Imerdonu konieczna będzie inna taktyka. Wystarczy najmniejszy przejaw niestosownego zachowania czy rozwiązłości, a odrzuci ją ze wstrętem jak zdechłego szczura.

Księżę był wyraźnie skrępowany, czuł się nieswojo. Nie ulegało wątpliwości, że nie przepada za potajemnymi spotkaniami i spiskami knutymi pod osłoną nocy. Niemniej jednak to właśnie on miał kluczowe znaczenie we wszystkich planach Jemilli. Fakt, że to jego podpis znajdował się na pierwszym miejscu wśród umieszczonych pod petycją, stanowił jeden z jej największych sukcesów. Jeśli ten człowiek, ów zimny, otoczony powszechnym szacunkiem arystokrata, popierał jej pretensje, wszyscy z pewnością podążą za jego przykładem. Księżę Urbino zasłynął jako wybredny, brzydzący się intrygami człowiek. Tylko poczucie obowiązku i honor, a także rosnące zaniepokojenie stanem zdrowia monarchy Hebrionu, skłoniły go do spotkania z Jemillą. I udało się jej go przekonać. Abeleyn nie był w stanie sprawować rządów. Ledwie trzymał się życia. A rządy nad królestwem zagarnęło trzech nisko urodzonych prostaków, z których jeden był w dodatku czarodziejem. A ona nosiła królewskiego dziedzica. Jeśli królestwo nie miało się przerodzić w jakąś nedorzeczną oligarchię rządzoną przez ludzi niskiego stanu, to właśnie on, najpotężniejszy szlachcic w Hebrionie, musiał przedsięwziąć jakieś kroki. Inni arystokraci zgadzali się z tą opinią i ich listy przybywały na jego biurko już od sendnia. Jemilla była bardzo zajęta od chwili ucieczki z przypominającego więzienie pałacu. Spotkała się z głowami niemal wszystkich szlacheckich rodów w Hebrionie.

Byli oni rzecz jasna zastraszeni, bali się, że podzielą los Sastra di Carrery oraz Astolva di Sequero. Abeleyn odzyskał tron pośród ognia i krwi, a Carrerowie i Sequerowie byli bezsilni, gdyż ich ludzi wycięto, a przywódców stracono. Jeśli mieli cokolwiek zdziałać, musieli postępować zgodnie z prawem. Tam, gdzie miecz przegrał, pióro mogło jeszcze zatriumfować.

–Muszę powiedzieć, że niepokoi mnie myśl o tej Radzie Szlachty, którą zamierzamy powołać – mówił Urbino. – Właściwie brak tu precedensu... tradycyjną platformą dla wystąpień szlachty jest Konklawe Rodów, które urządza się corocznie w tym

mieście. Przewodniczącym i arbitrem jest wówczas król. Nie podoba mi się rozwiązanie, które tak mocno pachnie... innowacją.

–Król nie jest w tej chwili w stanie niczemu przewodniczyć, panie – przypomniała mu Jemilla – a Konklawe Rodów nie ma prawa debatować nad żadnym wnioskiem, którego monarcha nie przedłożył osobiście.

Jemilla uważała, że ta staromodna instytucja była tylko klubem dyskusyjnym dla ludzi z błękitną krwią. Chciała czegoś innego, czegoś, co miałyby zęby.

–Rozumiem. A ponieważ król nie może bądź nie chce się pojawić, usprawiedliwiony jest zamiar powołania zupełnie nowej instytucji, która poradzi sobie z tą bezprecedensową sytuacją... Niemniej...

–Inne szlacheckie rody poparły już ten plan, panie – przerwała mu pośpiesznie Jemilla. – Ale wszyscy czekają na twoje słowo, bo to ty jesteś wśród nich najwyższy rangą. Bez ciebie nic nie zrobią.

Zagraj na jego dumie, pomyślała. To jego jedyna przywara – próżność. Stary, zimnokrwisty jaszczur.

Urbino faktycznie sprawiał wrażenie mile polechtanego tymi słowami.

–Nie mógłbym udawać, że się mylisz – stwierdził ze śladem zadowolenia w głosie. – Czy jednak uważasz, że rozsądnie będzie urządzić to... to spotkanie w samym Abrusio?

–Czemu by nie? W ten sposób udowodnimy, że nie boimy się królewskich oddziałów, i zwrócimy powszechną uwagę na poruszane przez nas kwestie. Jeśli król, z bożej łaski, wyzdrowieje, z pewnością uraduje się, że może być świadkiem takiego wydarzenia.

Urbino miał zamyśloną minę.

–Jeśli to, co mi powiedziałaś o jego obrażeniach, jest prawdą, obawiam się, że on już nie wyzdrowieje, nawet z pomocą tej wrony dweomeru, Golophina. – Westchnął. – Był zdolnym młodzieńcem. Czasami trochę zbyt impulsywny i w gorącej wodzie kąpany, a do tego rozpaczliwie brakowało mu pobożności, ale mimo tych wad był dobrym władcą.

–W rzeczy samej – zgodziła się Jemilla z odpowiednią mieszaniną żalu i smutku. – Ale nie wolno nam zapomnieć o dobru królestwa, bez względu na żałobę i wierność wobec nominalnego monarchy. Dynastia Hibrusydów na dobrą sprawę już wymarła, panie. Abeleyn opierał się przed zawarciem małżeństwa. To było sprytne narzędzie polityczne, ale w końcu obróciło się przeciwko niemu.

–Astarańska księżniczka... – zaczął Urbino.

–Jest tylko przybywającą z wizytą osobistością, nikim więcej. Rzecz jasna, trzeba ją traktować z szacunkiem należnym jej randze, ale byłoby nonsensem utrzymywać, że zaręczyny z naszym umierającym suwerenem dają jej prawo do władania tym królestwem. Hebrion stałby się wówczas jedynie satelitą Astaracu. Poza tym to kobieta o prostackim dowcipie i słabym rozumie, no wiesz, miałam okazję ją poznać, i nie bardzo się nadaje do władania własnymi sługami, nie wspominając już o potężnym państwie.

–Oczywiście, oczywiście...

Urbino umilkł.

Cóż to za ofermowaty, niezdecydowany stary dureń, bez względu na błękitną krew, pomyślała Jemilla. Wielki Boże, gdybym tylko była mężczyzną!

–A dynastia Hibrusydów wcale nie wymarła – ciągnęła gładko. – Panie, w swym brzuchu noszę ostatniego potomka linii Abeleyna. Nasze nieszczęsne królestwo potrzebuje silnego opiekuna, który będzie nad nim czuwał aż do dnia, gdy mój syn osiągnie pełnoletność. Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej honorowego zadania ani bardziej prestiżowej pozycji. Mogę też w zaufaniu dodać, że głowy rodów, z którymi już się kontaktowałam, są w tej sprawie jednomyślnie. Jest tylko jeden oczywisty kandydat na tę pozycję.

Podbródek Urbina opadł na pierś, ale w jego oczach było widać błysk. Jemilla wiedziała, że rozważa, czy oszałamiająca perspektywa zostania regentem warta jest ryzyka, jakie mogło się z tym wiązać. To ryzyko można jednak było zminimalizować, jeśli będą działać zgodnie z jej planem. Wystarczy, że okażą należną lojalność wobec korony, a ich obrady będą jawne, dostępne dla wszystkich i przeprowadzone zgodnie z zasadami. Gdy tylko prawda o stanie Abeleyna wyjdzie na jaw, plebs zacznie się głośno domagać, by ktoś zajął jego miejsce. Królestwo bez króla – to było nie do pomyślenia!

–Być może rzeczywiście mam pewną pozycję – przyznał Urbino – ale niewykluczone, że nie jestem... najbliższym spokrewnionym z monarchą.

–To prawda – potwierdziła Jemilla. W rzeczywistości, gdy chodziło o krew, był bardzo daleko od Abeleyna. – Ale zgodnie z tym, co udało mi się ustalić, jest tylko dwóch możliwych kandydatów do tej pozycji, którzy są bliżej spokrewnieni z królem i nie zhańbili się udziałem w niedawnym buncie. Pierwszym z nich jest najstarszy syn straconego Astolva Sequero, a drugim lord Murad z Galiapeno, kuzyn króla.

–No i co z ich prawami? – zapytał Urbino lekko opryskliwym tonem, zapewne wyobrażając sobie utratę szansy na pozycję regenta.

Jemilla pozwoliła mu się chwilę obawiać, zanim udzieliła odpowiedzi.

–Obaj nie żyją albo zaginęli bez śladu. Brali udział w pechowej morskiej ekspedycji na zachód. Nie słyszano o nich od z górą sześciu miesięcy, możemy więc bezpiecznie przyjąć założenie, że wypadli z gry.

Przeszyło ją krótkie ukłucie bólu na myśl o Richardzie Hawkwoodzie, który również tam zaginął. To był mężczyzna, którego mogła ongiś pokochać, mimo że był nisko urodzony. To jego dziecko nosiła, nie Abeleyna, ale była jedyną żyjącą osobą, która o tym wiedziała.

–To nie jest gra, pani – warknął Urbino, jego mina wskazywała jednak, że usłyszał to z ulgą.

–Oczywiście, panie. Wybacz. Jestem tylko kobietą i od takich spraw miesza mi się w głowie. Płeć piękna z pewnością nie potrafi w pełni zrozumieć wymogów honoru i związanej z nimi chwały. Wszyscy o tym wiedzą.

I dzięki Bogu, pomyślała.

Księżę pochylił głowę w geście łaskawej pobłażliwości. Mogłaby go w tej chwili zabić za jego nadętą głupotę. Ale to właśnie z jej powodu go wybrała.

–Gdzie i kiedy zbierze się rada? – zapytał księżę życzliwszym tonem.

–W tym tygodniu, w dzień świętego Mila, patrona władców, w salach dawnego klasztoru inicjantów. Budynek stoi pusty od końca buntu i obawiam się, że upłynie wiele czasu, nim Hebrion będzie miał nowego prałata albo inny zakon, który pokierowałby państwem w sprawach duchowych. Wydaje się stosowne, by rada spotkała się właśnie w tym miejscu, a poza tym bliskość opactwa będzie na rękę tym, którzy zapragną poszukać porady w modlitwie. Ale szczerze mówiąc, panie, potrzebna mi pomoc w odnowieniu klasztoru. Budynek straszliwie ucierpiał w ostatniej fazie walk.

–Powiem mojemu zarządcy, żeby przysłał ci dwudziestu służących – zgodził się Urbino. Wtem jego chuda twarz pociemniała. – Czy wiesz, że ludzie mówią, że tam właśnie powaliła go kula? Tuż pod murami opactwa?

–Naprawdę? Ludzie opowiadają różne rzeczy. A teraz, panie, muszę poddać twą wyrozumiałość ponownej próbie. Obawiam się, że aby spotkanie rady mogło się odbyć z należytą pompą i ceremonią oraz aby jego uczestników przywitano ze stosownym do ich pozycji szacunkiem, potrzebne będą pewne sumy. Pozostali szlachetnie urodzeni uczestnicy zgodzili się przekazać swój wkład do wspólnego funduszu, którym zaczęłam zarządzać za pośrednictwem zaufanego przyjaciela nazwiskiem Antonio Feramond. Waham się o to prosić, ale...

–Nie kłopotz się. Mój bankier odwiedzi cię jutro i wypisze weksel na każdą sumę, jaką uznasz za niezbędną. Gdy chodzi o godność naszych urzędów, nie możemy być skąpi.

–W rzeczy samej. Zaciągnęłam u ciebie wielki dług, panie. Pewnego dnia cały Hebrion będzie twoim dłużnikiem. Podnosi mnie na duchu świadomość, że są jeszcze w tym królestwie zdecydowani, nie obawiający się działać mężczyźni. Szanuję cię za to.

Ślepy głupiec. Najwyżej jedna trzecia zebranych funduszy zostanie poświęcona na upiększenie pałacowego pałacu oraz zapelnienie spiżarni smakołykami, a piwnicy – winem przeznaczonym dla tych wysoko urodzonych durniów. Pozostała część rozejdzie się po mieście pod postacią łapówek. Znacząca suma zapewni obecność tłumów wiwatujących obywateli, którzy przywitają w Abrusio szlachetnie urodzonych gości, a reszta posłuży do tego, by niektórzy oficerowie w miejskim garnizonie odwrócili spojrzenia. Tak właśnie wyglądało życie na tym skorumpowanym świecie. Zarządcą Jemilli był Antonio Feramond, a ona wiedziała o nim tak wiele, że mogła być pewna jego niezachwianej wierności. Był także lichwiarzem i szantażystą cieszącym się niejaką sławą w tym, co pozostało z dolnego miasta, i miał na swoje zawołanie bandę zawszonych opryszków. Jeśli ktokolwiek wiedział, czyje ręce wymagają posmarowania, to z pewnością on.

–Obawiam się, panie, że muszę cię już opuścić – oznajmiła Jemilla z należytą uniżonością. – Mam jeszcze do załatwienia kilka prywatnych spraw. Nie uwierzyłbyś, ile teraz kosztuje jedwab na bazarach. To przez tę wojnę na wschodzie.

–Mam nadzieję, że nadal mieszkasz w pałacu?

–W skrzydle dla gości, panie.

–Przełącz, proszę, moje najlepsze życzenia pani Isolli i magowi Golophinowi. Musimy się zachowywać jak ludzie cywilizowani, nieprawdaż?

Cywilizowani, pomyślała Jemilla, odjeżdżając w swej kaleszy. Niedawny przelew krwi wykastrował ich wszystkich. Cóż z nich byli za mężczyźni!

Gardziła słabością u wszystkich, ale szczególnie u tych hipokrytów, którzy chcieli uchodzić za silnych. Potężnych mężczyzn o kręgosłupach giętkich jak wierzbowe witki. Wspomniała machinalnie mężczyzn, którzy byli inni. Których mogła szanować. Abeleyn, tak, gdyby tylko trochę dorósł. I Richard, jej zaginiony marynarz. Obaj już odeszli, ale był jeszcze trzeci, Golophin. Pomyślała, że może się on okazać najgroźniejszy ze wszystkich trzech. Był godnym przeciwnikiem.

Rzecz jasna, nie wzięła pod uwagę pani Isolli, która była tylko kobietą, tak jak ona.

Na drugim końcu starego świata, rozległych ramusiańskich królestw, w zagrożonym przez wrogów Torunnie roilo się od żołnierzy. Miasto przerodziło się w fortecę. Pokrywała je gruba warstwa śniegu. Po raz pierwszy od dziesięcioleci zdarzyło się, by śnieżyce dotarły tak daleko na niziny. Szron pojawił się nawet na brzegach Morza Kardiańskiego.

Gdy w Hebrionie było popołudnie, tu zapadł już wieczór. Albrec, Avila i wielki pontyfiik Macrobius siedzieli razem wokół jednego końca wielkiego, prostokątnego stołu z twardego drewna. Na blacie wałało się mnóstwo papierów. Zapalono dziesiątki świec, by umożliwić czytanie. U przeciwległego końca stołu tłoczyło się sześciu innych duchownych. Większość nosiła brązowe szaty antylian, ale dwaj, monsinior Alembord i Osmer z Rone, byli obleczeni w czerń inicjantów. W komnacie panowała cisza. Wszyscy modlili się wspólnie. Wreszcie Macrobius uniósł głowę.

–Mercadiusie z Orforu, pytam cię raz jeszcze: czy jesteś pewny?

Stary, podobny do gnoma antylianin poderwał się nagle. Przed nim na blacie leżał sfatygowany, brudny i okrwawiony dokument przyniesiony przez Albreca i Avilę z Charibonu. Ręce starca drżały nad nim, jakby stronicę je ogrzewały.

–Święty ojcie, mogę powiedzieć jedynie tyle, że jestem tak pewny, jak to tylko możliwe. To pismo Honoriusa, co do tego nie może być wątpliwości. Nie mamy tu nic spisanego jego ręką, ale w Charibonie widziałem kiedyś oryginał jego *Objawień*. To ten sam charakter pisma.

–Ja również widziałem tę księgę – wtrącił Albrec. – Mercadius ma rację.

Gładko wygolona twarz monsiniora Alemborda pobladła jeszcze bardziej.

–Błogosławiony Święty! Ale to z pewnością niczego nie potwierdza. Honorius był szalony. Ten dokument jest tworem niezrównoważonego umysłu.

–Czytałeś go? – zapytał Mercadius.

–Wiesz, że nie czytałem!

–W takim razie muszę ci powiedzieć, monsiniorze Alembord, że ten tekst nie wyszedł spod ręki szaleńca. Jest wyważony, zwięzły i niezwykle klarowny. A także bardzo poruszający.

–Nie możesz ode mnie wymagać, bym uwierzył, że nasz Błogosławiony Święty i ta ohyda, ten tak zwany prorok Ahrimuz, są jedną i tą samą osobą!

–Tak się zastanawiam – odezwał się leniwie Avila. – Przyszło ci to kiedyś do głowy, Alembord? Ramusio, Ahrimuz. Te imiona są trochę do siebie podobne, nie sądzisz?

Alembord ociekał potem.

–Święty ojciec – błagał Macrobiusa. – Dochowałem ci wierności, nawet gdy w Charibonie zasiadł uzurpator. Nigdy nie wątpiłem i nadal nie wątpię, że to ty jesteś prawowitą głową Kościoła. Ale ten nonsens, to ohydne utożsamienie samego założyciela naszej wiary ze złym prorokiem ze Wschodu... tego nie mogę przełknąć. To bezwstydną herezją, zniewaga dla Kościoła i dla twego świętego urzędu.

Macrobius pozostał niewzruszony.

–Ktoś powiedział, mam wrażenie, że to był święty Bonneval, że prawda, gdy się ją wypowie, ma brzmienie podobne do bezgłośnego dzwonu. Ci, którzy potrafią ją usłyszeć, rozpoznają ją natychmiast, podczas gdy dla innych pozostanie jedynie ciszą. Jestem przekonany, że to autentyczny dokument i że mówi prawdę, choć brzmi ona straszliwie, niech nam Bóg dopomoże.

W komnacie zapadła cisza. Wszyscy rozważali słowa pontyfika. Po chwili odezwał się Albrec – Albrec, który był teraz biskupem i odziewał się w zdobne szaty kościelnego hierarchy.

–To objawienie jest ważniejsze niż rezultat wszelkich wojen. Merducy są naszymi braćmi w wierze i wrogość między nimi a rasą ramusian opiera się na kłamstwie.

–Cóż więc mamy zrobić? Iść między nieprzyjaciół, by ich nawracać? – zapytał beztrosko Avila.

–Tak jest. Tak właśnie musimy postąpić.

Na twarzach wszystkich obecnych, pomijając ślepego pontyfika, pojawił się szok.

–Chcesz zostać męczennikiem, Albrecu? – zapytał Avila.

–To nie ma znaczenia – odparł z lekką irytacją mały mnich. – Sednem sprawy jest samo objawienie. Trzeba natychmiast poinformować króla Torunny, a także merduckiego sułtana.

–Na krew słodkiego Świętego! – zawołał Osmer z Rone. – Mówisz poważnie!

–Pewnie, że mówię poważnie! Wydaje ci się, że to przypadek, że to objawienie wpadło w nasze ręce akurat teraz? Możemy mieć szansę powstrzymać tę straszliwą wojnę. To ręka samego Boga. Nie ma w tym żadnego przypadku.

–Merducy walczą nie tylko za swą wiarę, lecz również dla radości podboju – zauważył Osmer. – Wspólnota religii nie zawsze wystarcza, by położyć kres wojnie. My, ramusianie, wiemy o tym aż za dobrze.

–Niemniej jednak musimy podjąć próbę.

–Ukrzyżują cię, tak samo jak inicjantów z Aekiru – ostrzegł go Alembord. – Święty ojczy, jeśli nawet założymy, że to prawda, a nasza wiara opiera się na kłamstwie, to przynajmniej zachowajmy na razie tę wiadomość dla siebie. Ramusiańskie królestwa i tak już są podzielone. Ta wiadomość okaleczy je ostatecznie i spowoduje rozłam w Nowym Kościele. Skorzystają na tym wyłącznie himerianie.

–Kościół Himeriański, jak go teraz zwa, również ma prawo się o tym dowiedzieć. Trzeba wysłać poselstwo do Charibonu. Bracia, prędzej czy później tę prawdę będzie się głosić z dachów budynków. Tego właśnie chciałby sam Błogosławiony Święty.

–Błogosławiony Święty, który umarł jako merducki prorok w jakimś barbarzyńskim mieście jurt na wschodzie – mruknął Osmer. – Bracia, moja dusza drży, a moja wiara migocze jak świeczka na wietrze. Co powiedzą na takie wieści prości i niewykształceni w ramusiańskim świecie? Być może całkowicie odwrócą się od Kościoła, uznając go za twórcę i szerzyciela kłamstw. Któż mógłby mieć o to do nich pretensję?

–Jesteśmy Nowym Kościołem – odparł nieubłaganym tonem Albrec. – Wyrzekliśmy się dawnych spisków i politykowania. Naszym zadaniem jest mówić prawdę, bez względu na konsekwencje.

–To szlachetne słowa – zadrwił Alembord. – Ale świat jest pełen brudu, biskupie Albrecu. Ideały muszą ustępować miejsca rzeczywistości.

Albrec walnął pozbawioną palców pięścią w stół, zaskakując wszystkich.

–Gówno prawda! To właśnie takie podejście stało się przyczyną zepsucia naszej wiary i doprowadziło do tego, że stoimy przed tym dylematem! Naszą rolą nie jest już mącenie sprawy i semantyczne gierki. Oddawaliśmy się temu przez pięć stuleci i w rezultacie stanęliśmy na skraju przepaści.

–A więc mamy przywdziać szare szaty braci żebrzących i głosić nową prawdę na całym świecie, stać się zakonem apostołów i misjonarzy?! – odkrzyknął Alembord.

–Dość już tego! – przerwał im Macrobius. – Zapominacie się. W mojej obecności będziecie się zachowywać stosownie, zrozumiano?

Zgodzili się pośpiesznie. Na chwilę znowu ujrzeli władczy człowieka, jakim był Macrobius przed upadkiem Aekiru.

–Porozmawiam z królem – ciągnął pontyfik. – W swoim czasie. Wytłumaczę mu, jak wielkie znaczenie mają nasze odkrycia. Nie zapominajcie, że przebywamy tu na zaproszenie torunnańskiego suwerena i bez względu na szlachetne ideały musimy bardzo uważać, by mu się czymś nie narazić. A nie potrafię uwierzyć, że przyjmie przychylnie taką wiadomość. Albrecu, Mercadiusie, będziecie kontynuować poszukiwania. Potrzebne mi są wszelkie możliwe dowody na prawdziwość słów Honoriusa. Bracia, wkrótce świat się o wszystkim dowie i wtedy nie można już będzie tego odwrócić. Ani na moment nie zapominajcie o znaczeniu swej wiedzy. To nie jest temat do plotek czy czczych spekulacji. W naszych rękach spoczywa los całego kontynentu. Nie przesadzam. Nieodpowiednie słowa wypowiedziane w chwili nieuwagi mogą doprowadzić do najstraszliwszych konsekwencji. Nakazuję wam zachować milczenie, podczas gdy sam będę medytował nad nadchodzącym spotkaniem z królem.

Pokłonili się, siedząc, a kilku z nich nakreśliło na piersiach Znak Świętego. Pontyfik nie był już pokornym, nieprzyciągającym uwagi człowiekiem, jakiego znali. Siedział na swym krześle w wyprostowanej, władczej pozie, kręcąc głową. Gdyby miał oczy, przeszywałby zebranych w komnacie kapłanów spojrzeniem.

–Odpowiednim sposobem ogłoszenia tej prawdy byłaby papieska bulla, ale nie dysponuję już pułkami Rycerzy-Bojowników, którzy szybko dostarczyliby ją do wszystkich królestw. Musimy w tej sprawie polegać na królu Lofantyrze, a nie zaniosę mu informacji, o której plotkują już słudzy pałacowi. Dyskrecja jest niezbędna. Na razie. Albrecu, twoje odruchy są chwalebne, ale monsinior Alembord ma sporo racji. Jeśli chcemy uniknąć zasiania chaosu wśród wiernych i fatalnego podminowania Nowego Kościoła, musimy być ostrożni. Bardzo ostrożni... – Macrobius oklapł na krześle. Krótka demonstracja autorytetu wyraźnie wyczerpała jego siły. – Chciałbym, żeby ten kielich przekazano komuś innemu. Nie wątpię, że wszyscy byście tego pragnęli, ale Bóg w swej mądrości wybrał nas. Nie możemy zmienić pisanego nam losu. Bracia, połączcie się ze mną w modlitwie. Zapomnijmy o dzielących nas różnicach. Musimy prosić Błogosławionego Świętego o przewodnictwo.

W komnacie zapadła cisza, gdy wszyscy złączyli dłonie w medytacji. Albrecowi jednak nie w głowie była modlitwa. Pontyfik się mylił. Takiej prawdy nie można było ogłosić dekretem, ostrożnie rozpowszechnić wśród wiernych. Musiała ona eksplodować nad światem jak jakiś apokaliptyczny pocisk. Ponadto Merdukom również trzeba było ofiarować szansę jej przyjęcia bądź odrzucenia, i to jak najszybciej. A jeśli ta droga wiodła do męczeństwa, to niech i tak będzie. Albrec nie wyobrażał sobie, że mógłby wybrać inną.

Wtedy wreszcie zaczął się modlić. Po twarzy spływały mu łzy.

SIEDEMNAŚCIE

Klub dyskusyjny otworzył podwoje, pomyślał ze znużeniem Corfe.

Blat długiego stołu niemal całkowicie pokrywały rozrzucone papiery. Rozłożono na nim sporządzoną w dużej skali mapę północnej Torunni. Przedstawiała tereny od stolicy aż do samego Aekiru. Na mapie było pełno małych, drewnianych żetonów, czerwonych albo niebieskich. Niemal wszystkie niebieskie znaczniki skupiały się na czarnym kwadracie reprezentującym Torunn, podczas gdy czerwone pokrywały obszar między dwiema rzekami, Torrinem i Searilem. Również na Wale Ormanna leżał czerwony żeton. Już sam ten widok sprawiał Corfe'owi ból.

Ludzie siedzieli po obu stronach stołu, a król zasiadał u jego szczytu, na honorowym miejscu. Krzesło po prawej stronie Lofantyra zajął generał Menin, dowódca garnizonu Torunnu i najstarszy stopniem z obecnych tu oficerów. Po lewej zasiadał pułkownik Aras, którego wyraźnie rozpieszczało zadowolenie z powodu tego, że znalazł się tak blisko króla. Dalej siedzieli: białowłose Passifal, główny kwatermistrz, oraz czterech innych, którym przedstawiono Corfe'a na początku spotkania. Mężczyzna w skromnym, cywilnym ubraniu był hrabią Fournierem z Marn, przewodniczącym rady miejskiej Torunnu. Wyglądał jak urzędnik, który kocha gęsie pióra, papiery i przypisy. Był ponoć szefem torunnańskiego wywiadu i miał do swej dyspozycji tajny skarbiec, finansujący poczynania jego pozbawionych twarzy podwładnych. Naprzeciwko niego siedziało dwóch ludzi o bardziej postawnych sylwetkach: pułkownik Rusio, dowódca artylerii, oraz pułkownik Willem, komendant konnicy. Ich wojskowe tytuły miały głównie tradycyjny charakter. W rzeczywistości zajmowali stanowiska pierwszego i drugiego zastępcy Menina. Obaj byli posiwanymi mężczyznami w średnim wieku, którzy wspólnie spędzili w armii już sześćdziesiąt lat. Zgodnie z krążącymi na dworze plotkami byli w takim samym stopniu jak król oburzeni nagłym zjawieniem się parweniusza z Aekiru, którego awansowano ponad ich głowami.

Po ich lewej stronie zasiadał potężny mężczyzna o siwej brodzie, odziany w wyprawione skóry. Pomimo zimy twarz miał opaloną na ciemny brąz. Jego niebieskie oczy spoglądały spod wiecznie opadających powiek, osłaniających je przed jakimś wyimaginowanym szkwałem. To był Berza, admirał floty Jego Królewskiej Mości. Nie był rodowitym Torunnaninem. Urodził się w Gabrionie, kolebce żeglarzy, ale służył w Torunnie już od dwudziestu lat i jego pochodzenie zdradzał jedynie lekki, obcy akcent.

Corfe siedział u końca stołu, obok Andruwa – którego z jego inicjatywy awansowano na pułkownika – fimbriańskiego komendanta Formia oraz Ranafasta, dowódcy konnicy z Wału Ormanna. Marsch, którego Corfe również awansował, też powinien tu przyjść, ale zdołał się wymówić. Miał zbyt wiele rzeczy do zrobienia i

nigdy nie przepadał za gadaniem. A poza tym, dodał, służył Corfe'owi, nie królowi Torunny. Jego miejsce zajął Morin, wyraźnie zafascynowany szansą ujrzenia na własne oczy kulisów wojskowej polityki Torunny. Dzikus uparł się, że przyjdzie na spotkanie w kolczudze, choć dał się namówić do zostawienia broni na zewnątrz. Najwyraźniej nie ufał żadnemu z Torunnan poza swym generałem.

Siedzieli tu już od dwóch godzin, wysłuchując jednego meldunku po drugim, spekulacji goniących spekulacje. Zapoznali się z listą oddziałów, ekwipunku i koni, szczegółami dotyczącymi zakwaterowania, drobnymi naruszeniami dyscypliny czy przypadkami utraty broni. Corfe'owi przemknęła przez głowę myśl, że nikt dotąd nie powiedział nic użytecznego. Co więcej, niemal ani słowem nie skomentowano zamachu na jego życie, do jakiego doszło poprzedniej nocy. Król wygłosił banalną uwagę o „niefortunnym incydencie” i wokół stołu rozległy się pomruki potępiające Merduków za uciekanie się do równie zdradzieckich metod, ale nie było dyskusji o zabezpieczeniu pałacu ani nawet spekulacji na temat tego, w jaki sposób asasyn zdołał do niego przeniknąć. Najwyraźniej Lofantyr nie chciał, żeby poruszano tę kwestię.

W końcu jednak przeszli do ważniejszych spraw. Do rozmieszczenia merduckich armii. Słabnące zainteresowanie Corfe'a rozbudziło się na nowo.

–Dane wywiadu sugerują – mówił Fournier głosem równie bezbarwnym, jak jego wygląd – że dwie główne merduckie armie są w trakcie łączenia swych sił. Stacjonują gdzieś w tej okolicy... – pokazał drewnianym wskaźnikiem punkt na mapie, położony jakieś trzydzieści mil na północny wschód od stolicy -...a ich całkowitą liczebność ocenia się na od stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy ludzi. Na dodatek, panowie, zostawili spory garnizon na wale oraz drugi oddział w pobliżu wybrzeża, mający bronić ich bazę zaopatrzenia. Nalbeńskie transportowce, przewożące zapasy przez Morze Kardiańskie, pozwoliły im zgromadzić tam spory skład. Nie jesteśmy jeszcze pewni, w którym dokładnie miejscu się znajduje. Nie ulega wątpliwości, że przygotowują się do oblężenia. Według moich przewidywań już za tydzień, może dwa, ich przednia straż rozbije obóz w zasięgu wzroku od naszych murów.

–Niech sobie rozbijają – warknął generał Menin. – Dopóki panujemy nad rzeką, nie zdołają otoczyć miasta. A Berza z pewnością powstrzyma wszelkie ataki drogą wodną.

–Jaki jest stan naszej floty, admirale? – zapytał wilka morskiego Lofantyr.

Głos Berzy był głęboki jak beczka wina, bas ochryply od wielu lat wykrzykiwania rozkazów podczas wichury.

–W bieżącej chwili wielkie okręty kotwiczą u miejskich nabrzeży, panie, uzupełniając zapasy prochu oraz kul. Eskadra lekko uzbrojonych karawel zatrzymała się u ujścia

Torrinu, by ostrzec nas, gdyby Nalbeńczycy próbowali przedrzeć się w górę rzeki. Prace przy obu zaporach pływających są już niemal ukończone. Gdy będą gotowe, żaden okręt nie zdoła przedostać się w górę Torrinu.

–Znakomicie, admirale.

–Ale z drugiej strony, panie – ciągnął Berza – muszę ponownie zwrócić twą uwagę na fakt, że choć zapory są bardzo użyteczne w obronie, znacznie ograniczają nam możliwości przejścia do ofensywy. Merducy nie mogą pożeglować w górę rzeki, ale jednocześnie nasza flota nie jest w stanie wypłynąć na morze. Gdy zacznie się oblężenie, moje okręty będą niewiele więcej niż pływającymi bateriami.

–I w ten sposób z pewnością bardzo pomogą w obronie Torunnu – skwitował król. – Ich działa będą panowały nad drogami prowadzącymi do murów, podwajając naszą siłę ognia.

Berza ustąpił, ale miał wyraźnie niezadowoloną minę.

Corfe nie potrafił już dłużej zachować milczenia.

–Panie, z całym szacunkiem, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy pozwolili naszej flocie zachować swobodę manewru? Hrabia Fournier mówi, że nieprzyjaciel buduje na wybrzeżu dużą bazę zaopatrzenia. A gdyby flota wypłynęła na morze i ją zniszczyła? Merducy nie mieliby innego wyboru, niż się wycofać. Moglibyśmy ich odrzucić aż do Searilu, a Torunn uniknęłyby oblężenia.

Król sprawiał wrażenie bardzo poirytowanego.

–Rozumiem twój strach przed oblężeniami, generale – odparł. – Wszyscy znają twoje dotychczasowe osiągnięcia w tej dziedzinie. Niemniej jednak strategię dla armii i floty już ustalono. Odnotujemy twoje uwagi.

Jeśli już ją ustalono, to po co tu siedzimy? O czym właściwie gadamy? – zastanawiał się rozwścieczony Corfe. Docinek na temat oblężeń zranił go głęboko. Był jedynym ocalałym żołnierzem z aekirskiego garnizonu, a zawdzięczał to temu, że zwał Traktem Zachodnim razem z cywilnymi uchodźcami, podczas gdy zastępca Mogena, Sibastion Lejer, stanął do ostatniego, beznadziejnego boju na zachód od płonącego miasta. To był bezużyteczny gest. Mógł wyprowadzić z ruin Aekiru osiem, może dziewięć tysięcy ludzi, ale zamiast tego wołał chwalebnie polec. Corfe nie czuł podziwu dla dowódcy, który szukał śmierci. Nie wtedy, gdy skazywał na śmierć również swych podkomendnych. Honor! To była wojna, nie jakiś wielki turniej, w którym przyznawało się punkty za czcze gesty.

Admirał Berza spojrział mu w oczy i lekko skinął opaloną na brąz dłonią w pozbawionym nadziei geście. Corfe wiedział przynajmniej, że jego opinia nie jest

odosobniona.

–Po dodaniu sił, które przyprowadził niedawno do stolicy generał Cear-Inaf – mówił Fournier – będziemy mieli w Torunnie około trzydziestu pięciu tysięcy żołnierzy, nie licząc marynarzy z floty. To z pewnością wystarczy dla naszych celów. Merduckie armie wykrwawią się pod murami miasta i nie będziemy musieli się przejmować bazami zaopatrzenia. Naszą główną troską będzie nękanie pokonanego nieprzyjaciela oraz szansa odzyskania Wału Ormanna. Śmiem twierdzić, że Aekir mogliśmy utracić na zawsze, panie, ale istnieją realne możliwości wyzwolenia terenów aż do Searilu.

–Zgadzą się – rzekł król. – Na razie musimy się zająć kwestią organizacji polowej armii, którą wyślemy w pościg za odrzuconymi od murów Merdukami. Generale Menin.

Korpulentny generał podkręcił wspaniałego wąsa i zaczął mówić. Na jego łysinie błyszczały kropelki potu.

–Najpierw trzeba wyjaśnić kilka kwestii, panie. Żołnierzy dowodzonych przez generała Cear-Inafa należy zintegrować z resztą armii, a ten oficer powinien otrzymać stanowisko bardziej odpowiadające jego umiejętnościom. – Menin nie patrzył na stół. – Adiutancie Formio, zakładam, że twoi ludzie są do naszej dyspozycji.

Fimbrianin, spokojny i odziany w elegancki, czarny mundur, zmarszczył brwi.

–To zależy, co dokładnie miałyby to znaczyć.

–Co miałyby znaczyć? To, że twój oddział znajduje się obecnie pod egidą torunnańskiej korony, adiutancie. Nic innego!

–Nie mogę się z tym zgodzić. Ostatnie rozkazy mojego marszałka brzmiały tak, że mam oddać oddział do dyspozycji oficerowi, który... przyszedł nam z pomocą. Wykonuję rozkazy generała Cear-Inafa, dopóki moi zwierzchnicy w elektoratach nie zdecydują inaczej.

Admirał Berza ryknął ochryplym śmiechem, a twarz Menina zrobiła się fioletowa.

–Próbujesz przerzucać się ze mną słówkami, adiutancie? Generał Cear-Inaf wykonuje rozkazy Naczelnego Dowództwa i oddziały, którymi dowodzi, będą wykorzystane tak, jak Naczelne Dowództwo uzna za stosowne.

Na Fimbrianinie nie zrobiło to wrażenia.

–Nie będziemy służyć pod innym dowódcą – oznajmił prosto z mostu.

Wszyscy obecni, w tym również Corfe, zaniemówili na te słowa. Ciszę zmaćił Morin, mówiąc:

–My, ludzie z plemion, również nie zgodzimy się na innego dowódcę.

Uśmiechnął się, zadowolony, że wtrącił do sporu swoje trzy grosze.

–Na krew Boga, co to ma być? – wściekł się Menin. – Cholerny bunt?

Stary Ranafast o orlich rysach, ocalony z garnizonu Wału Ormanna, rozciągnął usta w drapieźnym uśmiechu.

–Obawiam się, że może dojść i do tego, generale. Chyba mogę powiedzieć to samo o niedobitkach moich towarzyszy. O ile dobrze rozumiem sytuację, to Naczelne Dowództwo miało zamiar pozostawić nas swojemu losowi, podczas gdy samo chowało się za tymi murami. Gdyby nie Corfe, który działał wyłącznie z własnej inicjatywy, nie byłoby mnie tutaj, podobnie jak pięciu tysięcy żołnierzy Martellusa. Moi ludzie zdają sobie z tego sprawę i na pewno o tym nie zapomną.

Nikt się nie odzywał. Menin wyglądał na mocno zażenowanego, a król pocierał dłonią podbródek, wpatrując się w leżące przed nim papiery.

–Takie... oddanie jest bardzo wzruszające – powiedział wreszcie. – I do pewnego stopnia zasługuje na pochwałę. Ale to raczej nie sprzyja wojskowej dyscyplinie. Żołnierze nie mogą sami wybierać sobie oficerów, zwłaszcza podczas wojny. Muszą wykonywać rozkazy. Zgadzasz się, generale Cear-Inaf?

–Oczywiście, panie.

Corfe wiedział, co się zaraz stanie, i obawiał się tego. Lofantyr nie zamierzał ustąpić ani załagodzić sytuacji. Ten dureń postanowił zmanifestować władzę korony bez względu na konsekwencje. Jego ego było zbyt kruche, by pozwolić mu postąpić inaczej.

–W takim razie zrób, co ci mówię, generale. Zrezygnuj z dowództwa i poddaj się rozkazom zwierzchników.

Żądanie było nagie jak ostrze miecza, nie zostawiało miejsca na kompromisy ani na ratowanie twarzy. Corfe się zawahał. Czuł, że stanął na rozstajach dróg. To, co za chwilę powie, skieruje go nieodwołalnie albo na jedną, albo na drugą ścieżkę. Nie będzie już dlań odwrotu. Wszyscy w komnacie patrzyli na niego. Oni również o tym wiedzieli.

–Panie – zaczął ochryplym głosem. – Jestem twoim wiernym poddanym... zawsze nim byłem. Jestem na twoje rozkazy. – Na twarzy Lofantyra pojawił się uśmiech. –

Ale mam również obowiązki wobec moich ludzi. Podążali za mną wiernie, walczyli z nieporównanie liczniejszym wrogiem i widzieli, jak ich towarzysze padają, a mimo to nie przestali wykonywać moich rozkazów. Nie mogę zdradzić ich zaufania, panie.

–Wykonaj moje rozkazy – wyszeptał Lofantyr. Jego twarz zrobiła się biała jak kość.

–Nie.

Wokół całego stołu rozległy się westchnienia. Stary Passifal, który pomagał Corfe'owi wyekwipować ludzi, gdy nikt inny nie chciał tego zrobić, ukrył twarz w dłoniach. Andruw, Formio i Morin zeszywnieli niczym posągi, ale stopa tego pierwszego wybijała rytm pod stołem, jakby żyła własnym życiem.

–Nie? Jak śmiesz tak odpowiadać królowi? – Lofantyr sprawiał wrażenie rozdartego między oburzeniem a czymś przypominającym zdumienie. – Generale, czy dobrze mnie zrozumiałeś? Pojmujesz, co mówię?

–Pojmuję, panie. Ale nie mogę tego zrobić.

–Generale Menin, wytłumacz panu Cear-Inafowi znaczenie słów „obowiązek” i „wierność”.

Głos króla drżał. Menin sprawiał wrażenie, że wolałby, żeby nie mieszano go do tej sprawy. Z jego policzków odpłynęła cała krew.

–Generale, król wydał ci wyraźny rozkaz – oznajmił niemal łagodnym tonem. – Pamiętaj o swym obowiązku.

O obowiązku.

Obowiązek zabrał mu żonę, dom, wszystko, co kiedykolwiek było dla niego cenne. Nawet honor. W zamian za to zyskał zdolność inspirowania ludzi i prowadzenia ich do zwycięstwa. Co więcej, zdobył ich zaufanie. Nie wyrzeknie się tego. Prędzej umrze, bo nie zostało mu już w życiu nic innego.

–To moi ludzie – odparł – i, na Boga, nikt inny nie będzie nimi dowodził.

Gdy te słowa wypłynęły z jego ust, uświadomił sobie, że wypowiedział fundamentalną prawdę. W tej sprawie nie pójdzie na najmniejszy kompromis.

–Niniejszym pozbawiamy cię stopnia – oznajmił król zdławionym głosem. W oczach miał błysk gniewu i szalonego triumfu. – Oficjalnie usuwamy cię z szeregów naszych oficerów. Jako szeregowy zostaniesz aresztowany za zdradę stanu i będziesz oczekiwał na sąd wojenny.

Corfe nie odpowiedział. Nie był w stanie nic powiedzieć.

–Nie sędzę – rozległ się czyjś głos.

–Co? – wybuchnął król. – Kto...?

Andruw uśmiechnął się jak szaleniec.

–Jeśli go aresztujesz, panie, będziesz musiał tak samo postąpić z nami wszystkimi. Ludzie nie zgodzą się na to i nie będę mógł wziąć na siebie odpowiedzialności za to, co uczynią.

–To nędzna, barbarzyńska hołota! – rozdarł się król. – Zakujemy ich w łańcuchy i wyślemy z powrotem na galery, gdzie ich miejsce!

–Jeśli to zrobisz, przed upływem godziny dwa tysiące Fimbrian przypuści szturm na pałac – ostrzegł go spokojnie Formio.

Ludzie siedzący obok króla sprawiali wrażenie oszołomionych.

–Nie... nie wierzę ci – zdołał wykrztusić Lofantyr.

–Moja rasa nigdy nie słyęła z czczych przechwałek, mości królu. Masz na to moje słowo.

–Na Boga – wysyczał król – nim dzień się skończy, zatknę wasze głowy na pikach, wy zdradzieckie psy. Straż! Straż!

Admirał Berza pochylił się w stronę siedzącego dwa krzesła od niego monarchy i złapał go za nadgarstek.

–Panie, nie rób tego – rzekł z powagą.

Drzwi komnaty otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło kilkunastu torunnańskich żołnierzy z mieczami w dłoniach.

–Aresztujcie tych ludzi! – wrzasnął król. Wyrwał rękę z uścisku admirała i machnął nią jak szaleniec.

Strażnicy zamarli w bezruchu. Wokół stołu zasiadali najwyżsi rangą oficerowie i urzędnicy w królestwie. Wszyscy milczeli.

–Wracajcie na stanowiska – odezwał się wreszcie generał Menin. – Król źle się poczuł. – Żołnierze nadał stali w miejscu z niepewnymi minami. – To rozkaz, do cholery! – warknął Menin jak sierżant na placu apelowym.

Wartownicy wycofali się z komnaty, zamykając za sobą drzwi.

**–Na słodką krew Błogosławionego Świętego! – zawołał król, zrywając się z krzesła.
– To spisek!**

–Zamknij się i siadaj! – krzyknął Menin tym samym tonem co poprzednio, jakby zwracał się do niekarnego rekruta. Siedzący obok niego pułkownik Aras miał przerażoną minę, choć reszta obecnych w komnacie mężczyzn sprawiała wrażenie raczej zażenowanych.

Lofantyr usiadł. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać.

–Wybacz, panie – ciągnął Menin cichszym głosem. Jego zwykle rumiana twarz przybrała kolor pergaminu, jakby nagle uświadomił sobie, co przed chwilą zrobił. – Sprawy zaszły już za daleko. Nie chcę, żeby prości żołnierze dowiedzieli się o dzielących nas... sporach. Mam na względzie twą godność, prestiż korony i dobro armii. Nie możemy sprowokować wojny w naszych szeregach, nie w takiej chwili. – Jego łysina błyszczała od potu. – Jestem pewien, że generał Cear-Inaf się ze mną zgodzi.

Spojrzał na Corfe'a z błaganiem w oczach.

–Tak, zgadzam się – potwierdził Corfe. Serce mu łomotało, jakby znajdował się w wirze bitwy. – Ludzie nieraz mówią pod wpływem chwili rzeczy, które w normalnej sytuacji nigdy nie przyszłyby im do głowy. Muszę cię przeprosić w imieniu własnym i moich oficerów, panie.

Nastała długa, nieznośna cisza. Oddech króla się uspokoił. Potem Lofantyr odchrząknął.

–Przyjmujemy twe przeprosiny. – Jego głos brzmiał ochryple jak krakanie wrony. – Nie czujemy się dobrze. Musimy się udać na spoczynek. Generale Menin, poprowadź spotkanie pod naszą nieobecność.

Wstał, chwiejąc się jak pijany. Wszyscy podnieśli się i pożegnali go ukłonami, gdy, zataczając się, ruszył ku drzwiom.

–Straże! – zawołał Menin. – Odprowadźcie króla do komnat i idźcie po królewskiego lekarza. Król... źle się poczuł.

Drzwi się zamknęły i wszyscy usiedli. Nikt nie chciał patrzeć nikomu w oczy. Zachowywali się jak dzieci, które przyłapały ojca na cudzołóstwie.

–Dziękuję, generale – powiedział po chwili Corfe.

Menin łypnął na podkomendnego spode łba.

–A co miałem zrobić? Przyłożyć rękę do wybuchu wojny domowej? Chłopak jest młody i brak mu pewności siebie, a my go zawstydziliśmy.

Chłopak był tylko kilka lat młodszy od Corfe'a, ale nikt nie wspomniał o tym fakcie.

–Za długo chował się za spódnicą matki – stwierdził prosto z mostu admirał Berza. – Dobrze zrobiłeś, Menin. Wszyscy wiedzą, że oddziały generała Cear-Inafa mogłyby zrobić siekane mięso z całej reszty armii razem wziętej.

Menin odchrząknął donośnie.

–Panowie, mamy jeszcze do załatwienia sprawy, które nie mogą czekać. Organizacja armii...

–Chwileczkę, Martin – przerwał mu Berza, zwracając się do generała po imieniu, co robiło niewielu. – Sugeruję, byśmy najpierw wykorzystali... niedyspozycję Jego Królewskiej Mości, by powiedzieć na głos parę rzeczy. Przy tym stole jest za dużo pierdolonych intryg i wzajemnych pretensji. Rzygać mi się chce od tego.

–Admirale! – zaprotestował wstrząśnięty hrabia Fournier. – Nie zapominaj, gdzie jesteś.

–Gdzie jestem? Na spotkaniu, na którym mieliśmy omówić sposób odparcia wrogiego najazdu na nasz kraj, a od wielu godzin leją się tu tylko urzędnicze szczochy i proceduralne gówno. Król utrzymuje, że wystarczy, jak będziemy siedzieć spokojnie z palcami w dupach, i wróg posłusznie pomaszeruje prosto pod lufy naszych dział. Panowie, to równa się oddaniu inicjatywy przeciwnikowi i może się zakończyć fatalnie dla naszej sprawy.

–Jak na nisko urodzonego cudzoziemca wielki z ciebie patriota, admirale – zadrwił Fournier.

Berza obrócił się na krześle. Jego szeroka, zarośnięta twarz poczerwieniała nagle, ale głos brzmiał spokojnie:

–Wiesz co, ty nędzny, błękitnokrwisty sukinsynku? Przelewałem krew za Torunnę więcej razy, niż walił cię w dupę ten wymalowany dewiant, którego zwiesz adiutantem.

Twarz Fourniera zrobiła się biała jak kreda.

–Wyzwij mnie, jeśli się odważysz, ty mały, zarozumiały kutasie.

Admirał uśmiechnął się złośliwie. Corfe musiał trącić łokciem Andruwa, który rozpaczliwie starał się ukryć wesołość.

–Panowie, panowie – odezwał się generał Menin. – Dość już tego. Admirale Berza, przeproś hrabiego.

–Prędzej mnie diabli wezmą.

–Poprosisz go o przebaczenie albo nakażę ci opuścić to spotkanie i zawieszę w pełnieniu funkcji.

–Za co? Za to, że powiedziałem prawdę?

–Johann... – warknął Menin.

–No dobra, dobra. Przepraszam tego szanownego pana za to, że nazwałem go kutasem i że zasugerowałem, iż jest zboczeńcem odczuwającym sprzeczny z naturą pociąg do młodych, ładnych mężczyzn. Czy to wystarczy?

–Chyba będzie musiało. Hrabio Fournier?

–Dobro mojego kraju jest ważniejsze od osobistej antypatii – odparł Fournier z wyraźną emfazą na słowie „mojego”.

–W rzeczy samej. A teraz, panowie, pomówmy o armii – kontynuował Menin. – Wygląda na to, że jesteśmy skazani na... obronną strategię, ale to nie znaczy, że nie możemy dokonywać wycieczek dużymi siłami. Szkoda by było, gdybyśmy pozwolili nieprzyjacielowi spokojnie okopać się pod naszymi murami. Generale Cear-Inaf, zgodnie z planem bitwy, jaki przygotowaliśmy razem z królem, twój oddział, który miał być przekazany pułkownikowi Arasowi, nim sytuacja się zmieniła, będzie naszą główną siłą wypadową, ponieważ składa się w znacznej części z ciężkiej kawalerii. Twoich ludzi zakwateruje się w nowym miejscu, blisko Bramy Północnej. Będą musieli pozostawać w stanie gotowości, na wypadek zarządzenia wycieczki. W walnej bitwie, do której z pewnością dojdzie, gdy już odrzucimy Merduków od murów, twoi ludzie utworzą centralny odwód armii i w związku z tym pozostaną na tyłach do chwili nadejścia sygnału do ataku. Mam nadzieję, że to jasne.

Zupełnie jasne. Corfe i Andruw popatrzyli na siebie. Wykrwawią się pod murami, osłabią Merduków, a gdy wreszcie nadejdzie decydująca bitwa, znajdą się bezpiecznie z tyłu.

–Cała robota i zero chwały – wymamrotał pod nosem Andruw. – Nic się nigdy nie zmienia.

–Absolutnie jasne, generale – odpowiedział głośno Corfe.

–To twoja strategia czy króla? – zapytał niepoprawny Berza.

–Stwo... stworzył ją Jego Królewska Mość, ale ja również przyłożyłem do niej rękę.

–Innymi słowy, on to wszystko wymyślił, a ty musiałeś nadać temu pozory sensu.

–Admirale...

Menin łypnął na niego ostrzegawczo. Berza uniósł dłoń.

–Nie, nie, rozumiem to. Jest naszym królem, chociaż biedak nie odróżnia jednego końca piki od drugiego. Wróg ma... jak wielką? Pięcio-, sześciokrotną przewagę liczebną, jest więc jakiś sens w tym, że chcemy wyrównać szanse, kryjąc się za murami. Ale żadna armia nigdy nie wygrała wojny, pozwalając, by nieprzyjaciel ją obiegł. Martin, wiesz o tym równie dobrze jak ja. W ten sposób nie zwyciężymy. To będzie powtórka z Aekiru.

W komnacie zapadła ponura, przytłaczająca cisza. Przerwał ją Formio.

–Liczba nie ma znaczenia – stwierdził. – Liczy się wartość ludzi. A także jakość ich dowódców.

–Fimbriańska mądrość zawsze była tania – skontrował Fournier. – Gdyby wojny wygrywało się frazesami, nikt by nigdy nie przegrał.

Formio tylko wzruszył ramionami.

Po dłuższej chwili Menin odchrząknął z widoczną niechęcią i powiedział dziwnie gwałtownie:

–Generale Cear-Inaf, byłeś w Aekirze i na Wale Ormanna. Być może... – Te słowa sprawiły Meninowi wyraźny ból. – Być może mógłbyś podzielić się z nami swym, hmm... niepowtarzalnym doświadczeniem.

Wszyscy znowu skierowali spojrzenia na niego, ale tym razem nie było już w nich tak wiele wrogości. Boją się, pomyślał Corfe. W końcu spojrzeli prawdzie w oczy.

–Aekir był silniejszą twierdzą niż Torunn i mieliśmy Johna Mogena, ale Aekir padł – zaczął ostrym tonem. – Wał Ormanna był silniejszą twierdzą niż Aekir i mieliśmy Martellusa, ale wał również padł. Jeśli dojdzie do oblężenia, Torunn padnie, a wraz z nim reszta królestwa. A jeśli Torunna zostanie podbita, ten sam los czeka Perigraine i Almark. To fakty, nie spekulacje.

–Co więc twoim zdaniem powinniśmy zrobić? – zapytał cicho Menin.

–Wyruszyć w pole ze wszystkimi ludźmi, których mamy. To ostatnie, czego

spodziewa się nieprzyjaciela. I musimy to zrobić natychmiast, spróbować pokonać obie merduckie armie osobno, zanim połączą się w całość. Shahr Baraz stracił pod wałem znaczną część swych najlepszych ludzi. Wielu merduckich żołnierzy to chłopskie pospolite ruszenie, *minhraibowie*. Znajdziemy ich i uderzymy ze wszystkich sił. To znacznie zwiększy nasze szanse. W merduckiej armii *minhraibowie* zawsze obozują oddzielnie od *ferinai* i *hraibadarów*, doborowych oddziałów. Podejmę się poprowadzić dwie trzecie garnizonu do uderzenia na *minhraibów*. W tym samym czasie admirał Berza powinien zaatakować nadbrzeżną bazę zaopatrzenia nieprzyjaciela i zniszczyć ją, a potem wypłynąć z flotą na Morze Kardiańskie, by zapobiec wysadzeniu kolejnych oskrzydlających desantów, takich jak ten, z powodu którego straciliśmy wał. Gdy wytniemy albo rozproszymy większą część jego pospolitego ruszenia i zagrozimy jego liniom zaopatrzenia, Aurungzeb będzie zmuszony się wycofać, zwłaszcza że pogoda nadal się pogarsza.

–Ziemię pokrywa warstwa śniegu gruba prawie na stopę – przypomniał pułkownik Aras. – Chcesz stoczyć bitwę podczas zimy?

–Tak. Śnieg pomoże nam ukryć naszą małą liczebność i zwiększy zamieszanie. A poza tym nieprzyjaciel się tego nie spodziewa.

Znowu zapadła cisza. Generał Menin przyglądał się twarzy Corfe'a, jakby sądził, że wyczyta z niej przyszłość.

–Chcesz wziąć na swe barki wielki ciężar, generale.

–Pytałeś mnie o zdanie, więc je wygłosiłem.

–To nieodpowiedzialne szaleństwo – stwierdził hrabia Fournier.

–Zgadza się – poparł go Aras. – Zaatakować wielokrotnie liczniejszego wroga podczas zimy? To recepta na katastrofę. Poza tym król nigdy się na to nie zgodzi.

–Jego matka by się zgodziła – wtrącił Berza. – Ale ona ma większe jaja niż większość tu obecnych.

–Być może umknęło to twojej uwagi – odezwał się Menin – ale to ja jestem tu najstarszym stopniem oficerem. Gdybyśmy zaakceptowali tę strategię, to ja dowodziłbym wojskiem.

Corfe nie odpowiedział.

–Poprzestańmy na tym – ciągnął Menin. – Muszę porozmawiać z królem. Panowie, zamykam zebranie. Spotkamy się ponownie, gdy Jego Królewska Mość... wróci do siebie i gdy już przedstawię mu tę nową strategię. Jestem pewien, że wszyscy macie mnóstwo obowiązków.

–Czy mam przerwać prace nad zaporami pływającymi? – zapytał Berza.

–Na razie tak. Nie zaszkodzi, jeśli zostawimy sobie wszystkie opcje otwarte. Panowie, życzę dobrego dnia.

Menin wstał i wszyscy podążyli za jego przykładem. Oficerowie zebrali papiery i ruszyli ku drzwiom. Corfe i grupka jego podkomendnych zostali z tyłu, czekając, aż wyjdą starsi stopniem.

Admirał Berza podszedł do Corfe'a i klepnął go po ramieniu.

–Dobrze to powiedziałaś. Ja postąpiłbym tak samo, gdyby spróbowali mi zabrać moje okręty. Ale oni cię teraz nienawidzą. Nie potrafią znieść, gdy ktoś im wskaże, że popełnili błąd. Nawet Martin Menin, chociaż to mój dobry przyjaciel.

Corfe zdołał się uśmiechnąć.

–Wiem o tym.

–Tak jest. Można powiedzieć, że bitwy toczone w pałacowych korytarzach są najokrutniejsze ze wszystkich. Słyszałem jednak, że dla prostych żołnierzy jesteś bohaterem. Jeśli zachowasz ich lojalność, to może jeszcze zdołasz ocalić życie.

Berza mrugnął znacząco i ruszył ku wyjściu.

OSIEMNAŚCIE

Przez cały poranek miejskimi ulicami przemierzały się kawalkady jaskrawo odzianych jeźdźców. Tłumy pospólstwa wiwatami witały gości, którzy przemierzali strawione pożarami dolne miasto, wyjeżdżając na brukowaną Drogę Królewską, prowadzącą do górnego Abrusio, ku bliźniaczym, wyniosłym gmachom pałacu oraz klasztoru.

Wyglądali wspaniale. Konie nosiły piękne czapraki, a zamknięte karoce lśniły od farby i barwnych sztandarów – chorągwi oraz proporczyków szlacheckich rodów królestwa, powiewających nad korowodem na podobieństwo barwnie upierzonych ptaków. Kolumna miała blisko milę długości, ciągnęła się od Bramy Wschodniej aż do podnóża Wzgórza Abrusio. Na jego szczycie opactwo i klasztor inicjantów obwieszono flagami na przywitanie. Nowo wprawione kamienie złączone świeżą zaprawą odbijały się wyraźnie od starych, zwietrzałych murów. Na dziedzińcu czekały cierpliwie szeregi służby, a także dwunastu trębaczy, gotowych powitać szlachetnie urodzonych fanfarą, gdy tylko się zjawią.

Jemilla siedziała w otwartej karocy, owinięta w płaszcz chroniący ją przed deszczem ze śniegiem niesionym przez wiatr z gór Hebrosu. Na drugim siedzeniu spoczywał jej zarządca, Antonio Feramond. Nieustannie pociągał zaczerwienionym nosem i postawił kołnierz, by osłonić się przed silnym wichrem.

–Tam... tam, widzisz? Ten stary, nadęty, bezkrwisty dureń. Siedzi sobie jak żywy obraz uprzejmego gospodarza. Wygląda jak kot, który złapał mysz.

Jemilla splunęła. Mówiła o Urbinie. Książę Imerdonu czekał na cierpliwym, białym rumaku u wejścia na wielki dziedziniec, gotowy przywitać szlachetnie urodzonych, którzy zjechali się tu na radę.

No cóż, nie można mieć wszystkiego. Ci, którzy dysponowali choć odrobiną inteligencji, domyślą się, kto to wszystko zorganizował. Jemilla czuła jednak gorycz na myśl, że nie będzie mogła uczestniczyć w obradach, dopóki Urbino nie przedstawi jej i noszonego przez nią dziecka jak sztukmistrz wyciągający królika z kapelusza. Odegra rolę sumiennej szlachcianki, oplakującej króla, który był jej kochankiem, ale za kulisami będzie pociągała za sznurki i Urbino zatańczy, jak mu zagra.

–Dziczyznę dostarczono dziś rano, zgadza się? – zapytała udręczonego Antonia.

–Tak, pani. Dwadzieścia tłustych łań, i to już należycie skruszałych. Gdybym wiedział, że ci błękitnokrwieści zaleją miasto swoimi sługami, zamówiłbym ze dwanaście więcej.

–Nie martw się o czeladź. Dla nich wystarczy chleb, piwo i ser.

–Przynajmniej nie musieliśmy płacić za wino. To pozwoliło nam zaoszczędzić parę groszy – stwierdził z zadowoleniem Antonio. Choć po zakończeniu działań wojennych klasztor i opactwo złupiono, piwnice inicjantów uniknęły tego losu. Było w nich tak wiele wina, że mogłaby po nim pływać cała flota karak. Antonio również zarobił całkiem sporo grosza, sprzedając kilka beczek przedsiębiorczemu kapitanowi macassiańskiego statku. Sądził, że to jego tajemnica, a Jemilla nie zamierzała wyprowadzać go z błędu, dopóki nie uzna tego za użyteczne.

–Jak wyglądają obecnie nasze finanse? – zapytała.

–Zostało nam tysiąc pięćset dwanaście złotych koron, pani. Książę był bardzo szczodry. Nie ma obaw, zarobimy na tym interesie.

Krótkowzroczny dureń. Myślał w kategoriach zysków i strat, podczas gdy Jemilla mierzyła znacznie wyżej. Wkrótce będzie miała do dyspozycji cały hebrionński skarbiec. Na razie niech sobie mają swój przepych i pompę.

Jej uwagę przyciągnął jakiś ruch na zachodniej stronie dziedzińca. Pojawiła się grupka zbliżających się kłusem jeźdźców.

–Kto to, do licha...

Przodem jechała w damskim siodle szlachetnie urodzona kobieta. Osłoniła się przed nieprzychylną pogodą płaszczem z kapturem, ale Jemilla poznała ją natychmiast. To była ta astarańska suka, Isolla. Czego tu szukała? Towarzyszył jej mężczyzna w targanym wiatrem kapeluszu o szerokim rondzie. Na jednym oku nosił przepaskę, a pod podszytym futrem strojem jeździeckim kryło się chude jak szkielet ciało. Jemilla otworzyła usta, poznając Golophina. Za tą parą zmierzało czterech ciężkozbrojnych rycerzy w astarackich liberiach, a za nimi czterech następnych, w barwach Hebrionu. Grupka podjechała do stojącego pośrodku placu Urbina. Nawet z tej odległości Jemilla widziała, że książę jest nieprzyjemnie zaskoczony. Golophin zdjął kapelusz i pokłonił się w siodle, pochylając łysą jak jajo głowę. Isolla podała oszołomionemu Urbinowi dłoń do ucałowania.

–Pani – odezwał się Antonio. – Kto...

–Zamknij się, durniu. Daj mi pomyśleć.

Czoło orszaku szlachetnie urodzonych wjechało na dziedziniec i rozległa się ogłuszająca fanfara trąb. Isolla i Urbino wspólnie przywitali gości. Astarańska księżniczka zdjęła kaptur, odsłaniając kasztanowe, splecione w piękny warkocz włosy, w które powpinała ozdobione diamentami szpilki.

Jemillę wymanewrowano, zepchnięto na drugi plan. Gdy jednak rozważyła sytuację, uświadomiła sobie, że to nic nie zmienia. Rada się odbędzie i regencja zostanie

uchwalona. Niech ta dziwnie dobrana para ma swą chwilę triumfu. W ostatecznym rozrachunku to nie będzie wiele znaczyło.

Rada zebrała się w sali, która służyła ongiś jako klasztorny refektarz. Wybite szyby zastąpiono nowymi – choć zamiast pięknych, starożytnych witraży wprawiono teraz zwyczajne szkło – wielką komnatę wysprzątało do czysta, ściany otynkowano na nowo, a na potężnych krokwiach pod sufitem zawisły chorągwie szlacheckich rodów. Dwa kominki – tak ogromne, że w każdym można by upiec wołu na rożnie – wyczyszczono i teraz radośnie buzował na nich ogień. Długi stół refektarzowy ocalał i stał na swoim miejscu. Wykonano go z tekowego drewna sprowadzonego z Calmaru, twardego jak żelazo, i jedynym śladem, jaki pozostawiły na nim niedawne walki, było kilka kul arkebuzowych, które ugrzęzły głęboko w blacie. Wzdłuż stołu ustawiono krzesła o wysokich oparciach, zdobne jak małe trony. Szlachetnie urodzeni z całego królestwa zajęli miejsca pośród gwaru ożywionych rozmów, podczas gdy służba rozstawiała w równych odstępach na stole karafki z winem i tace ze słodyczami, a także zapalała dziesiątki grubych, woskowych świec, rozmieszczonych w skupiskach na całym stole.

Pod ścianami, za małymi biurkami, siedzieli skrybowie, gotowi zapisać każde słowo wypowiedziane przez zgromadzonych tu dygnitarzy. Trzech muskularnych służących przyniosło dodatkowe krzesła dla niespodziewanych gości. Wszystkich starannie uszeregowano według rangi, ale nieoczekiwane przybycie Isolli i Golophina wprowadziło chaos w te plany i listę trzeba było pośpiesznie układać na nowo. Wielki tron na honorowym miejscu pozostanie rzecz jasna pusty, reprezentując nieobecnego króla. Isolla miała zasiąść na samym początku, naprzeciwko Urbina, gdyż jako księżniczka była równa rangą księciu. Golophin oznajmił, że wystarczy mu dobrze wyściełane krzesło przy kominku. Przyniesiono mu karafkę oraz kielich i siedział sobie tam, sącząc trunek i z wyraźnym rozbawieniem obserwując tłum.

Minęła godzina, podczas której notable zdążyli wymienić pozdrowienia, znaleźli miejsca i zasiedli na nich. Tymczasem zjawiała się Jemilla. Jej również przyniesiono wygodne krzesło, by mogła usiąść przy kominku naprzeciwko Golophina. Sługa zaproponował jej wino, ale odmówiła, tłumacząc się ciążą. Oboje z magiem wpatrywali się w płomienie, wyglądając dla całego świata jak stare małżeństwo. Wreszcie zgiełk w sali umilkł i zapadła cisza.

Obok pustego królewskiego tronu pojawił się odziany w szary habit brat żebrzący i uniósł obie ręce.

–Panowie, szlachetna pani, pomódlmy się, jeśli łaska, za naszego biednego, chorego króla. Oby wkrótce odzyskał zmysły i znowu sprawował nad nami sprawiedliwe i łaskawe rządy, tak jak ongiś.

Wszyscy obecni pochyłili głowy. Golophin wyszeptał do Jemilli:

–To pewnie był twój pomysł.

–Z pewnością nie masz nic przeciwko modlitwie za zdrowie króla, Golophinie.

–Biedny i chory. Chciałabyś, żeby tak było.

Mnich odszedł. Książę Urbino wstał z krzesła. Przez chwilę wydawało się, że nie wie, co powiedzieć. Potem spojrzał w oczy Jemilli i jego kręgosłup wyraźnie się usztywnił.

–Panowie, moi szlachetni kuzyni, czcigodna pani, sprowadziła nas tu kwestia o kluczowym znaczeniu dla królestwa Hebrionu...

–Dobrze wybrałaś – mówił Golophin. – Jest powszechnie szanowany, ale tępy. Z pewnością prawie udało ci się go przekonać, że sam kieruje własnymi krokami.

–Każdy mężczyzna, który sądzi, że sam kieruje własnymi krokami, jest głupcem. Nawet ty, Golophinie. Uczepiłaś się Abeleyna, mimo że jest już niemal trupem. Czemu nie przeniesiesz swej wierności na jego syna? Jakie zasady byś w ten sposób złamał? On tego właśnie by pragnął, gdyby żył.

–On jeszcze żyje. Żyje i jest moim królem. A także przyjacielem.

–A gdyby umarł, naprawdę umarł, to czy wtedy uznałbyś jego syna za dziedzica tronu?

Golophin milczał przez długą chwilę, podczas gdy książę Imerdonu ględził w typowy dla siebie nadęty, pompatyczny sposób, a zebrani słuchali z uwagą wygłaszanych przezeń banałów.

–Jeśli to rzeczywiście jego syn – odparł wreszcie mag.

Jemilla poczuła na sercu dotyk zimnej dłoni.

–Nie musisz się o to niepokoić. Abeleyn w to nie wątpił. Poza tym nie dzieliłam łoża z nikim innym.

–Ach, więc strażnicy pałacowi się nie liczą.

–Musiałam jakoś odzyskać wolność. Posłużyłam się jedynym narzędziem, jakim dysponowałam.

Nagle wydało się jej, że przy kominku jest bardzo ciepło. Oko starego czarodzieja wpatrywało się w nią intensywnie.

Potem jednak Golophin odwrócił spojrzenie i wypił jeszcze trochę wina. Na twarzy Jemilli nie było widać ulgi, którą poczuła. Muszę się go pozbyć, pomyślała. Za dużo

wie i jest stanowczo za sprytny. Pozostałych mogą oszukać, ale nie jego. Nie przez długi czas.

–Nie opowiadaj mi o królewskim dziedzicu, pani – podjął czarodziej, ocierając usta.
– Oboje wiemy, kto będzie władał Hebrionem, jeśli tego głupiego nudziarza mianują regentem albo jeśli twój bachor przyjdzie w końcu na świat i dożyje pełnoletności. Jeśli rzeczywiście nosisz w brzuchu dziecko Abeleyna, będę pierwszym, który uzna jego prawa, gdy już się narodzi, ale prędzej wsadzę głowę do jamy wilczycy, niż pozwolę, żebyś miała jakikolwiek wpływ na jego wychowanie.

–To dobrze, że się nawzajem rozumiemy – odparła.

–Masz rację. Nie sądzisz, że szczerłość często ma odświeżające działanie? Skosztuj tego znakomitego wina. Wyglądasz mizernie, a jeden kielich w niczym nie zaszkodzi dziecku.

Nalał jej trochę trunku i oboje unieśli kielichy. Popatrzyli na siebie i stuknęli szkłem o szkło.

–Za króla – rzekł czarodziej.

–Za króla. I jego dziedzica.

–I jak? – zapytał Golophin Isollę. – Co o tym wszystkim sądzisz?

Siedzieli w prywatnych komnatach króla, jedząc późną kolację: bażanta nadziewanego truflami z bazylią, jedno z ulubionych dań Golophina. Pogoda popsowała się i o wysokie okna tłukł grad.

–Hebrionńska szlachta jest jeszcze bardziej gadatliwa od astarackiej – odparła Isolla.
– Głędzili chyba z siedem czy osiem godzin, ale ledwie zdążyli wszystkich przedstawić.

–Muszą się zorientować w sytuacji. Zaniepokoiła ich nasza obecność, a zwłaszcza fakt, że Jemilla i ja ostentacyjnie notowaliśmy wszystkie nazwiska. Niech się boją pogromu. To bardzo im ułatwi koncentrację.

–Ta Jemilla... rozmawiałeś z nią przez długi czas. Można by pomyśleć, że jesteście starymi przyjaciółmi.

–Powiedzmy raczej, że się rozumiemy. Ona pod wieloma względami zasługuje na podziw. Mogłaby być dobrą królową dla Abeleyna, gdyby nie była aż tak... ambitna.

–Wolałaby być królem.

Golophin wybuchnął śmiechem.

–Trafiłaś w samo sedno. Ale nie jest osobą kalibru Odellii z Torunny, która również jest ambitna i wciąż knuje nowe spiski. Jemilla chce rządzić bez względu na konsekwencje. Obróciłaby królestwo w perzynę, gdyby tylko przyniosło jej to tron.

–Jest aż tak wysoko urodzona? Nie wiedziałam o tym.

–Och, nie. Jest szlachcianką i dobrze wyszła za mąż, jednak jej krew nie jest tak błękitna, by Jemilla kiedykolwiek mogła objąć rządy zgodnie z prawem, nawet gdyby była mężczyzną. Ale nie brak jej rozumu. Będzie władać za pośrednictwem innych.

–Urbina z Imerdonu.

–Tak jest.

–Jak masz zamiar ich powstrzymać, Golophinie? Jutro zaczną dyskutować o kwestii regencji.

–Nie możemy ich powstrzymać, pani – odparł cicho czarodziej.

–Cóż więc mamy zrobić? – zapytała zdumiona Isolla.

Stary czarodziej odsunął się od stołu, odkładając na bok serwetkę.

–Jemilla dobrze to zaplanowała. Pod nieobecność króla quorum szlachty może podejmować decyzje w sprawach państwowych. Moi prawnicy mówią, że są na to precedensy. Dekrety rady będą miały pełną moc prawną.

–Ale my mamy armię i flotę.

–Czego ode mnie żądasz, pani? Miałbym przejąć władzę siłą? Rovero i Mercado nigdy się na to nie zgodzą. Miasto wystarczająco już ucierpiało. Gdybyśmy to uczynili, nie bylibyśmy lepsi od Jemilli. Nie, nie. Ale jest inny sposób. Tylko jedno mogłoby teraz zdjąć wiatr z ich żagli.

–Co?

–Sam król.

–W takim razie z nami koniec. To niemożliwe. Czyż nie tak, Golophinie?

–Nie... nie jestem do końca pewien. Muszę przeczytać parę rzeczy na ten temat. Odpowiem ci na to pytanie później. Być może dzisiejszej nocy. Czy mogłabyś się ze mną spotkać w królewskiej sypialni, powiedzmy o piątej godzinie nocy?

–Oczywiście. Czy to znaczy, że twoje moce wróciły?

Stary mag wykrzywił twarz.

–To nie wędrowne ptaki, Isollo. Nie odlatują i nie wracają z dnia na dzień. Nie ulega wątpliwości, że odzyskałem w pewnym stopniu siły, ale nie wiem, czy to wystarczy.

–Uważasz, że mógłbyś go uzdrowić? To rozwiązałoby wszystkie nasze problemy.

–Nie wszystkie, ale z pewnością... ułatwiłoby nam życie.

Isolla przyjrzała się uważnie rozmówcy. Choć mag nadal był chudy jak szczapa, jego twarz utraciła już przywodzący na myśl czaszkę wygląd, który tak nią wstrząsnął podczas ich pierwszego spotkania. Zastanawiała się, co mu się stało w oko. Nie zapytała go o to, a Golophin niczego jej nie wyjaśnił. Spod opaski wypływały czasami lzy czarnej krwi, które wycierał poplamioną chusteczką.

–Dziękuję za ptaka, pani – rzekł. – Muszę na chwilę wrócić do swoich ksiąg.

Wstał. Odkąd minęło kilka pierwszych dni ich znajomości, nie bawili się już w żadne ceremonie.

–Czy... czy coś cię boli, Golophinie?

Rozciągnął usta w swym osobliwym uśmiešku, ciepłym, a zarazem lekko drwiącym.

–Czyż na tym nieszczęśliwym świecie wszyscy nie cierpimy bólu? Do zobaczenia, Isollo.

Golophin miał pośród wzgórz wieżę, dyskretną, podupadłą siedzibę, w której mógł w spokoju oddawać się swym poszukiwaniom. Kiedyś potrafiłby przenieść się tam w mgnieniu oka, ale obecnie był skazany na dwie godziny jazdy na szybko kroczącym mule. Drzwi, niewidzialne dla nieuzbrojonego oka, otworzyły się na słowo rozkazu i znużony mag wdrapał się po krętych schodach do szczytowego pokoju. Za szerokimi wykuszowymi oknami rozciągał się widok na odległość sześćdziesięciu mil we wszystkich kierunkach. Hebrion spał w świetle gwiazd, na horyzoncie było widać słabą poświatę morza, a po prawej stronie niebo przesłaniały czarne szczyty Hebrosu. Niektórzy zwali tę porę godziną czarów. Dweomer najlepiej działał nocą, co w najmniejszym stopniu nie poprawiało reputacji tych, którzy się nim posługiwali. Być może miało to coś wspólnego z negatywnym wpływem energii słońca. Kilka lat temu ktoś wygłosił na zebraniu cechu referat na ten temat. Kto to był? Ach, tak, Bardolin, jego dawny uczeń.

Gdzie się teraz podziewasz, Bard? – zadał sobie pytanie Golophin. Czy znalazłeś ten łąd na zachodzie, czy może twoje kości spoczywają pięćdziesiąt sążni pod powierzchnią zielonych wód?

Zamknął ocalałe oko. Mowa umysłu była jedną z jego dyscyplin, w dodatku tą, na którą najslabiej wpłynęły niedawne wydarzenia. Pozwolił, by jego myśli dryfowały swobodnie, cienkie jak babie lato, delikatne jak cień. Wysłał je nad morze. Dotknęły kilku rybaków, trujących się przy nocnym połowie, przemknęły wokół wielkiej, bezkształtnej inteligencji wieloryba i popędziły na zachód, na puste morze.

Nic z tego. Jego moc była jeszcze za słaba. Nie potrafił jej skupić w celu dokładnej obserwacji. Nawet gdy był w pełni sił, zawsze potrzebował do tego pomocy chowańca. Zaczął się wycofywać, przywoływać z powrotem migotliwy skrawek umysłu.

A kim ty jesteś?

Aż się zachwiało. Skierowało się nań gorące niczym ognisko spojrzenie, przenikliwe, wszytkowidzący wzrok niezmiernie potężnego umysłu.

Ach, mam cię. Z Hebrionu! To ci dopiero synchronia poczynań. Niewielu nas już zostało, prawda? Kontynent stał się ciemny jak grób. Pozbawili życia prawie wszystkich.

Golophin był sparaliżowany, stał się próbką oglądaną ze wszystkich stron przez uważnego badacza. Spróbował wysłać sondę w kierunku umysłu, który go uwięził, ale ten odtrącił ją na bok z wyczuwalnym rozbawieniem.

Jeszcze nie, jeszcze nie! Wkrótce mnie poznasz. W jakim celu zapuściłeś się ciemną nocą na puste morze? Ach, rozumiem. Dowiedz się, że on żyje. Nie czuje się szczęśliwy, ale z czasem to się zmieni. Mam wielkie plany co do twego przyjaciela Bardolina.

I nagle nad mrocznym oceanem rozbłysła słaba iskierka czegoś innego.

Golophinie! Pomóż mi, w imię Boga...

Potem nie było już nic. Golophin padł na kolana. Przez chwilę wydawało mu się, że gwiazdy za oknem przesłoniło coś wielkiego i ciemnego. Potem zniknęło i zimna noc znowu była pusta i cicha.

–Panie Boże – wychrypiał mag. Rzucił zaklętko, by oświetlić pogrążony w mroku pokój, ale światło zgasło w jednej chwili. Klęczał w ciemności, dysząc ciężko, aż wreszcie odzyskał siły na tyle, że mógł sięgnąć po krzemień i hubkę, żeby zapalić świecę. Ręce mu drżały i otarł sobie krzemieniem kostkę dłoni.

Moc uderzyła w niego.

Energia umysłu była tak potężna, że zmanifestowała się fizycznie. Cisnęła nim na drugą stronę izby. Wypełniła kończyny Golophina, wykręcając je. Z gardła wyrwał mu się krzyk. Czarodziej uniósł się w powietrze, a w pomieszczeniu zrobiło się jasno jak w dzień. Nadmiar mocy wypłynął zeń w jednym impulsie niczym oślepiający blask uwięzionego słońca. Przez dziesięć sekund Golophin gorzał jak pochodnia, wijąc się z potwornego bólu, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył ani nawet sobie nie wyobrażał. Jego szaty obróciły się w popiół, a świeca stała się kałużą parującego wosku. Masywne meble zaczęły się tlić.

Potem moc z niego uszła i czarodziej z trzaskiem kości runął na posadzkę.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Kopiści ukończyli pracę przed czasem i efekt ich prowadzonych dwadzieścia cztery godziny na dobę wysiłków leżał na stole obok bezładnego stosu ekwipunku. Albrec kazał oprawić księgę w impregnowany materiał, żeby się nie zmoczyła, ale i tak była wystarczająco mała, by mógł ją w razie potrzeby wsunąć za pazuchę.

Raz jeszcze dotknął wszystkich rzeczy. Buty z futrzaną wyściółką, skarpety cuchnące baranim łojem, para grubych, wełnianych habitów, rękawice z jednym palcem, gruby płaszcz z kapturem oraz wielki sakwojaż z nadliczbowymi rzemieniami, które kazał dodać rymarzowi. Zapasik suszonego i wędzonego prowiantu, pełen bukłak wina, krzemień i hubka w wyłożonym korkiem metalowym pudełeczku oraz śpiwór z niedźwiedziego futra, w którym miał w jakiś sposób spać. I wreszcie księga, cenna kopia jeszcze cenniejszego oryginału, który dostarczył tu z Charibonu.

Ubrał się w grube, zimowe szaty podróżne, całą resztę wcisnął do sakwojażu i zarzucił sobie rzemienie na ramię. Gotowe, pomyślał. Był spakowany, ale co z jego determinacją?

Gdy opuszczał pałac, na ulicach Torunnu panowała cisza. Śnieżyce, które ostatnio bezustannie atakowały miasto, uspokoiły się wreszcie, a ich miejsce zajęła mroźna cisza, mącona tylko skrzypieniem zbitego śniegu pod stopami. Gwiazdy skryły się jednak za grubą zasłoną chmur i zimowa noc niosła ze sobą zapowiedź dalszych opadów.

Albrec zdołał bez incydentów minąć trzy posterunki wartowników, podając się za papieskiego kuriera, a potem ruszył po zamarzniętym śniegu w stronę Bramy Północnej. Otworzyli mu furtę, choć jeden z żołnierzy chciał zatrzymać małego mnicha i wezwać oficera, który potwierdziłby jego tożsamość. Drugi jednak przyjrzał się okaleczonej twarzy Albreca i przekonał towarzysza do okazania wyrozumiałości.

–To tylko nieszkodliwy mnich – stwierdził. – Idź z Bogiem, ojczy, ale, na Świętego, uważaj na tę pierdoloną merducką konnicę, za przeproszeniem.

Albrec pobłogosławił grupkę zakłopotanych wartowników i po paru chwilach usłyszał łoskot ciężkiej furty, która zamknęła się za nim. Nakreślił Znak Świętego, wciągnął lodowate, nocne powietrze przez dwie dziury, które zostały mu po nosie, i przez zasy powłókł się na północ. Ku zimowym obozom nieprzyjaciela.

Z wysokiej wieży pałacu Corfe bez trudu dostrzegł małą postać oddalającą się w stronę wzgórz. Czarna sylwetka wyraźnie rysowała się na tle śniegu. Cóż to za nieszczęsna dusza? – zastanawiał się. Kurier bez konia? Mało prawdopodobne. Myślał, czy nie zejść na dół, by zapytać wartowników, ale dał sobie z tym spokój. Zasunął żaluzję i skierował się w głąb mrocznej, oświetlonej tylko blaskiem kominka sypialni królowej wdowy.

–No cóż, generale – rzekła cicho Odelia – znowu się spotykamy.

–Znowu się spotykamy – zgodził się.

Była odziana w szkarłatną, aksamitną szatę wyszywaną perłami. Na złotych włosach nosiła siatkę z takich samych klejnotów. W półmroku komnaty zielone oczy zdawały się lśnić własnym blaskiem.

–Czy mógłbyś chociaż przy mnie usiąść?

Podszedł do siedzącej przy kominku Odelii. Stało tam nietknięte grzane wino oraz srebrna tacka z okropnie słodkimi ciastkami.

–Jak twój bark? – zapytała.

–Jak nowy.

–Cieszę się. Królestwo potrzebuje twojej ręki. Czy śledztwo w sprawie tego... incydentu coś wykazało?

Wykrzywił usta w sardonycznym uśmiechu.

–Jakie śledztwo?

–Masz rację. No wiesz, to zrobił mój syn.

Corfe rozdziawił szeroko usta.

–Jesteś pewna?

–Niemał pewna. Uczy się, ale niewystarczająco szybko. Jego szpiedzy nie mogą się jeszcze mierzyć z moimi. To nie był pełnoprawny członek bractwa asasynów, ale najemnik z Ridawanu. Uczeń. Miałeś szczęście, choć pewnie nawet adept Bractwa Noża miałby kłopoty z tobą i tym twoim fimbriańskim akolitą.

Corfe zmarszczył brwi. Parsknęła śmiechem na ten widok.

–Corfe, masz naprawdę niezwykle dar inspirowania ludzi. W garnizonie nie ma żołnierza, który nie dałby sobie uciąć ręki za to, żeby służyć u twego boku. Nawet ten fimbriański służbista nie jest na to odporny. Uważasz, że oddałby niedobitki swych ludzi do dyspozycji Menina albo Arasa, gdyby to któryś z nich go uratował? Pomyśl jaśniej. I jeszcze ta absurdalna groźba szturm na pałac. Stałeś się potężnym człowiekiem, generale. Od tej pory będziesz przyciągać zwolenników, tak jak świeca przyciąga ćmy.

–Jesteś bardzo dobrze poinformowana – zauważył Corfe.

–Jak sam świetnie wiesz, staram się uważnie śledzić wydarzenia. Swoją drogą, król postanowił zaakceptować zaproponowaną przez ciebie strategię.

–Naprawdę?

Serce Corfe’a zabiło żywiej pod wpływem nadziei.

–Tak, ale tylko dlatego, że Menin przedstawił mu ten plan jako swój. Armią będzie dowodził Lofantyr i obaj z Meninem zrobią wszystko, by pozbawić cię udziału w ewentualnym triumfie.

–Nic mnie to nie obchodzi. Ważne, żebyśmy zwyciężyli. Tylko to się liczy.

Pokręciła głową z ironicznym zdumieniem.

–Cóż za altruizm! Nawet Mogen nie był tak bezinteresowny. Czy nie pragniesz chwały?

Zadał już sobie kiedyś to pytanie – wtedy, gdy Ebro martwił się przewagą liczebną przeciwnika. Dlatego mógł teraz udzielić szczerzej odpowiedzi.

–Nie pragnę, pani. Widziałem już tyle chwały, że zbiera mi się od niej na mdłości.

–Naprawdę? – Jej cudowne oczy oglądały go od stóp do głów, ani na moment nie przestając poddawać ocenie. Potem Odelia wstała i przeciągnęła się jak młoda dziewczyna. – No cóż, rankiem otrzymasz rozkazy, a armia wymaszeruje następnego dnia. Pewnie prosto w kolejną śnieżycę.

Mówiła lekkim tonem, ale wyczuwał w niej napięcie. Płaski, osłonięty aksamitem brzuch dzieliło od jego twarzy zaledwie kilka cali. Położyła dłonie na jego ramionach i wydawało mu się najnaturalniejszą rzeczą na świecie objąć ją w smukłej talii i wtulić twarz w ciepły aksamit. Zmierzwiała mu włosy jak matka.

–Mój biedny Corfe. Nigdy nie będziesz się cieszył zdobytą chwałą, prawda?

–Kosztowała zbyt wiele krwi.

Uklęka i pocałowała go w usta. Nagle ogień ogarnął ich oboje. Corfe ściągnął suknię z jej ramion. Gdy opadła do bioder, szarpnął mocniej, rozdierając tkaninę, która osunęła się po nogach. Nastąpiła cicha eksplozja odpadających pereł i poczuł pod dłońmi jej ciepłą skórę. Pod suknią była zupełnie naga. Zaczął ściągać spodnie, ale Odelia nakreśliła w powietrzu jakiś znak. Migotliwy błysk i nagle on również był nagi. Parsknął śmiechem.

–Dweomer czasami się przydaje.

Położyli się przy kominku na swych ubraniach. Oparła mu głowę na piersi, a on głaskał ją po plecach, czując pod palcami delikatne wypukłości kręgosłupa. Jak zawsze, dopadł go smutek, poczucie gwałtownej utraty, gdy wspomniał Herię i chwilę, gdy byli razem. Tym razem jednak zwalczył to uczucie. Był już zmęczony tym, że zamiast światła, dostrzegał tylko rzucane przez nie cienie. Poważał tę kobietę i nie miał powodu czuć się winny. Nie będzie czuł się winny.

Uniosła głowę i dotknęła spływających mu po twarzy łez.

–Czas leczy rany – rzekła łagodnie. – To banał, ale prawdziwy.

–Wiem o tym. Ale wydaje się, że to trwa bez końca. Nie chcę o niej zapomnieć, ale muszę.

–Nie zapomnieć, Corfe. Ale nie możesz też pozwolić, żeby stała się duchem, który będzie cię prześladował. – Przerwała. – Opowiedz mi o niej.

Okazało się to niewiarygodnie trudne. Bolało go gardło. Gdy wreszcie zdołał cokolwiek wykrztusić, jego głos brzmiał ochryple jak krakanie kruka.

–Nie ma wiele do opowiadania. Była córką kupca jedwabnego z miasta, to znaczy z Aekiru, i to ona kierowała interesami ojca. Jako młodszy oficer w pułku byłem odpowiedzialny za nasze chorągwie, które szyto z jedwabiu, jak merduckie. Trzeba je było zastąpić nowymi, więc wysłano mnie do tego sklepu i tam ją poznałem.

–Tam ją poznałeś – powtórzyła cicho Odelia. – Nie udało się jej uciec z Aekiru, prawda?

–Nie udało się. Szukałem jej, gdy wrogowie wdarli się na mury, zdezerterowałem z posterunku, żeby spróbować ją odnaleźć, ale nasz dom znalazł się już za merduckimi liniami i tamta część miasta płonęła. Porwał mnie strumień uchodźców uciekających Traktem Zachodnim. Chciałem zginąć, ale zrobiłem, co tylko mogłem, by uratować życie. Nie wiem dlaczego. Mam tylko nadzieję, że to stało się szybko. Mój umysł wypełniają wizje...

Nie mógł już mówić dalej. Jego ciało zeszywniało w ramionach Odelii. Poczwała, że Corfe drży od tłumionego łkania, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Gdy wreszcie spojrzwała w jego twarz, zobaczyła, że oczy znowu ma suche. Czaił się w nich błysk, który przeszył ją dreszczem, światło czystej nienawiści. Potem jednak zgasł i Corfe uśmiechnął się, widząc jej zatroskanie.

–Cieszę się – rzekł urywanym głosem. – Cieszę się, że mam ciebie, pani. Być może czas goi rany, ale ty również to potrafisz.

Przytulił ją mocniej.

W końcu przyznała sama przed sobą, że jest w nim zakochana. Ta świadomość wstrząsnęła nią, pozbawiła pewności siebie. Złapała się na tym, że nienawidzi wspomnienia jego nieżyjącej żony, jest zazdrosna o ducha, o władzę, jaką on nad nim sprawuje. Przez całe życie spiskowała, knuła intrygi i pieprzyła się po to, by zaspokoić swe ambicje i zapewnić królestwu bezpieczeństwo, a teraz uświadomiła sobie, że zostawiłaby to wszystko – pałac, królestwo i aksamitne szaty – gdyby tylko ją o to poprosił. Zakręciło się jej w głowie ze strachu i podniecenia.

–Czy jest dla nas jakaś nadzieja? – zapytała.

–Sądzę, że tak. Jeśli uderzymy wystarczająco mocno i szybko, a flota Berzy wykona swoje zadanie na wybrzeżu, będą musieli się wycofać. Zyskamy trochę czasu i odrobinę przestrzeni. Ale to jeszcze nie będzie koniec. Wiosną czeka nas rozstrzygająca bitwa.

Nie o to pytała, ale cieszyła się, że źle ją zrozumiał. Zbliżał się świt i jak na jedną noc pokonał już wystarczająco długą drogę.

Pora świtu w Torunnie była szóstą godziną długiej zimowej nocy w Hebrionie. Isolla spacerowała niecierpliwie po królewskiej sypialni. Golophin się spóźniał. To nie było do niego podobne. Gdyby rozsunęła żaluzje i wyjrzała na balkon, zobaczyłaby światła towarzyszące zabawie trwającej przez całą noc w byłym klasztorze na wzgórzu naprzeciwko pałacu. Dla szlachetnie urodzonych gości wyprawiono tam bal. Nie przyjęła zaproszenia, co nie było dla niej zbyt wielkim poświęceniem, ale ciche, blaszane dźwięki muzyki docierały aż tutaj, irytując ją i przeszkadzając w myśleniu. Zaczynała wątpić w swą rolę w tym miejscu i nawet wspominała z nostalgią astarański dwór, a zwłaszcza swego brata, Marka. Co jednak miała zrobić? Napisać do niego list, który jasno by przekazywał: „Ja chcę do domu”, jak dziecko wysłane do nowej szkoły? Duma nie pozwoliłaby jej o tym zapomnieć przez całe życie. Dlatego pogrążona w zamyśleniu przemierzała komnatę jak mężczyzna, stawiając długie i zdecydowane kroki.

Nagle stanęła jak wryta, słysząc trzask tajnych drzwi. Fragment ściany odsunął się do wewnątrz i pojawił się Golophin. Uśmiechnął się do niej.

–Przepraszam za spóźnienie, pani.

–Nic nie szkodzi...

Coś się w nim zmieniło. Coś...

–Golophinie! – zawołała. – Twoje oko. Jest uzdrowione.

Uniósł rękę do twarzy.

–To prawda.

–Czy odzyskałeś swe moce?

Stał przed nią. Zmienił się. Jego kości obrosły ciałem i wydawał się wyższy. Wyglądał dwadzieścia lat młodziej niż zaledwie kilka godzin temu, gdy widziała go poprzednio. Coś jednak było nie w porządku. Mogłaby przysiąc, że czarodziej jest zbity z tropu... Nie, gorzej. Był przerażony.

–Golophinie, czy coś ci dolega?

–Chyba nic. Zdecydowanie nic. Odzyskałem pełnie sił, Isollo.

Nad jego głową zapłonął magiczny ogień, oświetlając całą komnatę. W tej samej chwili zapaliły się nagle wszystkie zgaszone świece.

–To cudownie! – zawołała Isolla.

Stary czarodziej wzruszył ramionami.

–Tak. Rzeczywiście cudownie.

–Co się stało? Powinieneś być uszczęśliwiony. Będziesz mógł uzdrowić króla. To koniec naszych kłopotów.

–Nie wiem, jak to się stało! – krzyknął, wprowadzając ją w dogłębne zdumienie.

–Nie wiesz? Ale... jak to możliwe?

–Nie wiem, pani, i ta nieświadomość doprowadza mnie do szaleństwa. Tej nocy coś mi się stało, ale ja nic nie pamiętam.

–To jak cud.

–Nie wierzę w cuda – odparł posępnym głosem. – Dość już tego. To nie czas ani miejsce. – Potarł powieki. – Muszę natychmiast brać się do roboty, jeśli mamy pokrzyżować zamiary tej ich cholерnej radzie. Jutro po południu mają głosować nad kwestią regencji. Wybacz, że przemawiam tak bezpośrednio, pani. Jestem trochę wytrącony z równowagi.

–Nic nie szkodzi. Ważne, żebyś go uzdrowił.

Skinął głową i westchnął, jakby był zmęczony, mimo że wręcz kipiał energią. Nawet skóra na jego szyi nie zwisała już luźno. Isolla pragnęła zadać mu mnóstwo pytań, zachowała jednak milczenie. Oboje podeszli do królewskiego łoża. Golophin popatrzył z góry na nieprzytomnego kalekę i rozejrzał się wokół.

–Czy mamy tu coś, co mogłoby nam pomóc? Nie bardzo. Znadto nam się śpieszy. – Poglaskał masywne, drewniane słupki baldachimu. – To będzie nam musiało wystarczyć. – Spojrzał na Isollę. – Pani, chcę, żebyś trzymała króla za ręce. Nie wolno ci ich puścić, bez względu na to, co zobaczysz i co on robi. Czy to jasne?

–W zupełności – skłamała.

–Znakomicie. W takim razie przysuńmy sobie krzesła i zaczynamy.

Ujęła ręce Abeleyna. Były bardzo gorące, chociaż twarz króla pozostawała nieruchoma niczym woskowa maska. Pościel, mimo że zmieniano ją codziennie, przesiąkła potem. Wydawało się, że we wnętrzu króla pali się ogień, jakby był pełnym węgla paleniskiem, do którego miechy nieustannie wtlaczają powietrze.

Golophin zamknął oczy i zastygł w bezruchu. Nic się nie wydarzyło. Minął kwadrans.

Isolla miała wielką ochotę zmienić pozycję, rozprostować grzbiet, ale nie śmiała się poruszyć. Była przygotowana na błyskawice, grzmoty, eksplozję teurgii albo skrzeczenie przywołanych demonów. Na cokolwiek. A widziała tylko duszną komnatę, niesamowite migotanie magicznego ognia i spokojną twarz czarodzieja.

Nagle usłyszała skrzypnięcie drewna. Poderwała się, gdy łoże zaczęło drżeć i dygotać. Baldachim wydał się jak żagiel na wietrze. Głośno strzelał i łopotał, a ciężkie zasłony smagały Isollę po twarzy. Potem całość się oderwała i, koziółkując, pomknęła w głąb komnaty.

Rzeźbione, drewniane słupki, grube jak jej udo, zaczęły się kurczyć. Gapiła się na nie zdumiona. Znikały od góry do dołu. Wyglądało to tak, jakby obserwowała straszliwie przyspieszoną pracę termitów. Słupki były wyższe od dorosłego mężczyzny, a teraz topniały na jej oczach.

W tej samej chwili kołdra, pod którą leżał Abeleyn, poruszyła się nagle. Isolla stłumiła krzyk, gdy coś pod nią zaczęło rosnać. To były kikuty nóg króla. Wydłużały się, napierając na narzutę. Kobieta zerknęła na czarodzieja. Jego twarz nie zmieniła wyrazu, ale lśniła teraz od potu, a oczy pod zamkniętymi powiekami poruszały się jak szalone.

Spod kołdry wysunęły się dwie stopy. Isolla podskoczyła ze strachu. To były ludzkie stopy, wiernie oddane razem z paznokciami, ale wykonane z twardego drewna. I poruszały się jak żywe.

Król jęknął i czarodziej odezwał się po raz pierwszy.

–Abeleynie.

Choć jego głos był cichy, meble w komnacie zadrżały.

–Abeleynie. Mój królu.

Mężczyzna leżący w łożu warknął jak bestia. Jego dłonie, do tej pory bezwładne, zacisnęły się na dłoniach Isolli tak mocno, że aż jej zbiełały palce. Przygryzła wargę z bólu, zdeterminowana nie krzyknąć.

Ciało króla wygięło się gwałtownie, jego drewniane pięty zabębniły o materac, kręgosłup przybrał kształt mocno napiętego łuku. Spocone dłonie wysuwały się z jej uścisku. Ogarnięta paniką Isolla skoczyła na niego. Konwulsje miały ją w górę i w dół. Kolano uniosło się i uderzyło ją, łamiąc żebro. Król krzyczał, a ona płakała z bólu.

Po chwili konwulsje ustały. Abeleyn się uspokoił. Isolla wtuliła twarz w jego szyję. Nie była w stanie się poruszyć. Jego dłonie zwolniły swój straszliwy uścisk i

odsunęły się delikatnie.

–Co tu się dzieje? – zapytał król.

Uniosła głowę i spojrzała mu w twarz. Miał otwarte oczy i wpatrywał się w nią. Wyglądał na straszliwie zdumionego, ale zarazem rozbawionego.

–Issy Długonoska – powiedział ze śmiechem. – Co ty tu robisz?

DWADZIEŚCIA

Przez cały poranek wojska wychodziły z Torunnu przez Bramę Północną. Szereg ludzi, koni, zaprzężonej w woły artylerii polowej, wozów z zaopatrzeniem oraz jucznych mułów ciągnął się bez końca. Świeżo spadły śnieg zmieniał się w błoto pod ich nogami i przez wzgórza położone na północ od stolicy biegła teraz czarna ścieżka. Flank kolumny strzegły niespokojne szwadrony torunnańskich kirasjerów. Jej czoło zniknęło już za horyzontem, trzy mile z przodu. Maszerowało tedy ponad trzydzieści tysięcy ludzi, ostatnia połowa armia w królestwie.

–Wojna ma w sobie coś wspaniałego – stwierdził Andruw, chuchając na skryte w jednopalczastych rękawicach dłonie. Metalowe rękawice zbroi wisiały u łęku siodła.

–Nigdy nie myślałem, że na świecie jest tylu Torunnań – przyznał Marsch. – Gdybyśmy o tym wiedzieli, moglibyśmy nie walczyć z wami tak długo.

–Liczba to nie wszystko – sprzeciwił się Corfe.

–Widać już naszych ludzi? – zapytał Andruw.

Wjechali konno na szczyt wzgórza w odległości pół mili od Bramy Północnej. Czekali tu już godzinę, a strumień ludzi nie przestawał płynąć.

–To nie powinno potrwać długo – uspokoił go Corfe. – Widzę już główny tabor. Nasi zmierzają za nim.

Konwój składał się z wielkich, ciężkich wozów zaprzężonych w muły i woły. Wieziono w nich zapasy amunicji i racje żywnościowe. Corfe'owi przydzielono zadanie osłony taborów i pozycję na samym tyle armii. Gdy dojdzie do bitwy, jego ludzie będą widzami, nie uczestnikami. Chyba żeby coś poszło niezgodnie z planem.

–Jesteśmy najlepszymi żołnierzami w armii, a mamy pilnować taborów – poskarżył się z niesmakiem Andruw. – Ten Menin to prawdziwy kutas.

–Zrobił, co mógł – nie zgodził się z nim Corfe. – To cud, że udało mu się przekonać króla do wyjścia z miasta i stoczenia walnej bitwy. A poza tym... – uśmiechnął się do Andruwa -...tylna straż to honorowa pozycja. Jeśli armia zostanie pokonana, to my będziemy musieli osłaniać jej odwrót.

–W dupie z taką honorową...

–Jadą – przerwał mu Marsch.

Oddział Corfe'a zaczął wyłaniać się z bramy za ostatnimi wozami. Tysiąc zakutych w

szkarłatne broje Katedralników łatwo było poznać. Ich surowa chorągiew łopotała na zimnym wicherze. Za nimi maszerowali odziani w czarne mundury i uzbrojeni w piki Fimbrianie. Było ich dwa tysiące. Na przodzie szedł Formio. Na koniec pojawili się ocalali żołnierze z Wału Ormanna, pięć tysięcy arkebuźników oraz uzbrojonych w miecze piechociarzy pod dowództwem Ranafasta. Oddział tworzył kolumnę długą prawie na milę.

Jak będą walczyli razem? Corfe wiedział, że wytworzyła się między nimi silna więź. Zrodziła się ona podczas bitwy na Północnym Wzniesieniu, gdy wspólnie bronili się przed zagładą. Łączyła ich również pogarda dla żołnierzy z garnizonu Torunnu, z których większość nigdy jeszcze nie brała udziału w walnej bitwie. Mimo to z pewnością pozostawali bardzo różnorodną grupą. Dzicy jeźdźcy z gór, fimbriańscy zawodowcy i torunnańscy weterani. Mieli szansę odzyskania sił po starciu na Północnym Wzniesieniu. Byli wypoczęci i wyekwipowani, a ich morale znakomite. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, podczas nadchodzącej bitwy prawie wcale nie będą musieli strzelać. Corfe miał nadzieję, że tak się stanie, choć z chęcią wypróbowałby w walce tę swoją nową armię.

–Znowu zaczyna sypać śnieg – zauważył ponuro Andruw. – Na zęby Boga, czy ta zima nigdy się nie skończy? To cholernie nienaturalna pora na wojaczkę.

–Dołączmy do kolumny – rozkazał Corfe.

Trzej mężczyźni zjechali galopem ze wzgórza, wzbijając tumany śniegu, które unosiły się na wietrze za nimi niczym kłęby dymu.

Tego pierwszego dnia armia pokonała zaledwie sześć mil. Niekończący się orszak ludzi co chwila przystawał, a potem ruszał naprzód, wozy grzęzły w przykrytym śniegiem błocie, ciężkie działa gubiły koła, muły kulały. Ludzie Corfe'a zatrzymali się wreszcie na nocny odpoczynek trzy godziny po tym, jak czoło kolumny rozbiło namioty. Jak okiem sięgnąć, wzgórza pokrywały płonące ogniska, których blask rozświetlał niebo w oddali. Dobrze było znowu wyruszyć w pole. Tu wszystko było prostsze.

Tak mu się przynajmniej zdawało. Gdy zatrzymał się w miejscu, gdzie stały przywiązane konie, czekając, aż Marsch i Morin zbadają kilka okulałych wierzchowców, kurier przywiózł mu wiadomość od Naczelnego Dowództwa. Wieczorem w królewskim namiocie planowano odbyć spotkanie dotyczące strategii. Miał się na nim stawić.

Zrezygnowany Corfe ruszył w tamtą stronę przez wielki obóz. Wszędzie było pełno siedzących przy ogniskach ludzi, którzy pochłaniali racje żywnościowe i suszyli buty. W ciągu dnia kilkakrotnie szalały gwałtowne śnieżyce i robiło się coraz zimniej. Błoto zaczynało twardnieć, a śnieg chrząścił mu pod nogami.

Wielkiego, skórzanego namiotu królewskiego strzegło sześciu dygoczących z zimna wartowników. Na ich zbrojach pojawił się już szron. Corfe na własną odpowiedzialność kazał im rozpalić ognisko.

W środku gorzały wesołym płomieniem trzy piecyki koksowe. Był tam król, odziany w prostą skórzaną tunikę, jaką żołnierze nakładali pod zbroję. Towarzyszyli mu hrabia Fournier, generał Menin, pułkownicy Aras i Rusio oraz siedmiu czy ośmiu młodszych stopniem oficerów, których Corfe nie znał. Pułkownikowi Willemowi powierzono dowodzenie pięcioma tysiącami żołnierzy, którzy zostali w stolicy.

–Ach, więc wreszcie są wszyscy – odezwał się król, gdy Corfe wszedł do namiotu. Lofantyr wyglądał tak, jakby nie spał od tygodnia. Pod oczyma miał szare worki, a wokół ust pojawiły się nowe bruzdy. – Bardzo dobrze. Fournier, zaczynaj.

Król usiadł na składanym krześle z płótna, ale wszyscy poza nim musieli stać.

Fournier prezentował się dosyć śmiesznie w antycznym półpancerzu, na którym nie było ani jednej rysy. Hrabia odchrząknął, nie przestając obracać w dłoniach drewnianego wskaźnika.

–Nasi zwiadowcy właśnie przed chwilą wrócili, panie. Zgodnie z ich meldunkami nieprzyjaciel rozbił trzy obozy. Największy z nich znajduje się jakieś dwanaście mil na północny zachód stąd. Oceniają, że może w nim przebywać osiemdziesiąt do

dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi. Nie jest ufortyfikowany. Wokół niego umieszczono stada koni, a oprócz regularnych wartowników krążą tam również patrole lekkiej jazdy. – Fournier znowu odchrząknął. – Drugi obóz znajduje się trzy mile na wschód od pierwszego. Według oceny zwiadowców zatrzymało się tam około pięćdziesięciu tysięcy ludzi, w tym nieprzyjacielska ciężka jazda, *ferinai*, oraz znaczna liczba arkebuźników. Na jego fortyfikacje składają się okop i palisada. Trzeci obóz leży jeszcze dalej na północ, być może kolejne trzy mile od pierwszych dwóch. Są tam słonie, mnóstwo kawalerii oraz główne tabory. Jestem przekonany, że tam właśnie przebywa sułtan wraz ze swym... swym haremem. Kolejne czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

–Dlaczego podzielił armię w ten sposób? – mruknął ktoś.

–Dla większej elastyczności – wyjaśnił Corfe. – Jeśli nieprzyjaciel zaatakuje jeden z obozów, na jego flanki uderzą kolumny z pozostałych dwóch.

Menin spojrzał z zasępioną miną na Corfe'a.

–Nasz plan opierał się na założeniu, że uderzymy na główny obóz, będąc bezpieczni przed atakami z pozostałych dwóch. Nie spodziewaliśmy się, że obozy znajdą się tak blisko siebie. Ta strategia nagle wydaje się znacznie bardziej ryzykowna niż jeszcze przed chwilą.

–Nadal może się nam udać, jeśli atak będzie wystarczająco szybki i potężny. Żeby obudzić ludzi w wielkim obozie, ustawić ich w szyk i pokonać trzy mile, potrzeba co najmniej dwóch albo i trzech godzin. Przy odrobinie szczęścia w tym czasie zdołamy poważnie okaleczyć kontyngent *minhraibów*, trzon merduckiej armii. Wtedy będziemy mogli poradzić sobie z dwiema pozostałymi armiami, gdy już do nas dotrą, albo się wycofać. Tak czy inaczej, rozsądnie byłoby skierować silne oddziały na flanki, na wypadek, gdyby merduckie posiłki przybyły w chwili, gdy nadal będziemy związani walką.

–Tak. Tak, oczywiście – zgodził się Menin. – Tak właśnie sobie myślałem...

Umilkł. Nagle wydał się stary i załęczniony.

–W tym pierwszym obozie jest dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi – rozległ się czyjś pełen powątpiewania głos. – To trzykrotnie więcej niż my mamy. Skąd pewność, że okażą się łatwym celem?

–Obóz nie jest ufortyfikowany – przypomniał mu Corfe. – Będą sobie siedzieć w ciepłych namiotach. A poza tym to tylko chłopskie pospolite ruszenie z Ostrabaru, poborowi żołnierze niewyposażeni w broń palną. O ile zaskoczenie będzie po naszej stronie, nie powinni sprawić nam zbyt wielu kłopotów.

–Słyszę to z ulgą – stwierdził król, spoglądając na swego najmłodszego generała z widoczną antypatią. – Wydaje się, że znasz odpowiedź na każde pytanie, generale Cear-Inaf. Widzę, że nie potrzebujemy już strategicznych narad. Wystarczy, że poradzimy się ciebie.

W namiocie rozległa się seria chichotów. Corfe zachował obojętność. Pokłonił się tylko monarsze.

–Przepraszam, jeśli przekroczyłem uprawnienia należne mojej pozycji, panie. Chodzi mi jedynie o dobro armii.

–Oczywiście. – Król wstał. – Panowie, wróćmy do naszego planu. Fournier, pokaż nam to, proszę.

Hrabia rozwinął zwój papieru, na którym narysowano szereg symboli.

–W takim ustawieniu armia wyruszy do boju. Generale Menin, zechciej, proszę, nam wszystko wyjaśnić.

–Tak jest, panie. Panowie, nasze wojska zostaną podzielone na cztery odrębne oddziały. Pośrodku będą główne siły, osiemnaście tysięcy ludzi pod dowództwem Jego Królewskiej Mości, moim oraz pułkownika Rusia. W tej formacji znajdzie się artyleria polowa, trzydzieści dział pod twoim dowództwem, Rusio, oraz kirasjerzy, trzy tysiące jeźdźców. Jego Królewska Mość osobiście poprowadzi ciężką jazdę. Na prawej flance głównego korpusu znajdzie się mniejsza formacja, mająca osłaniać go przed ewentualnym atakiem Merduków z tej strony. Będzie nią dowodził pułkownik Aras i będzie się ona składała z około pięciu tysięcy ludzi, głównie kirasjerów. Tylną straż obejmie oddział generała Cear-Inafa, osiem tysięcy ludzi, stanowiący nasz jedyny odwód, któremu przypadnie też zadanie strzeżenia taborów. Wszystko jasne, panowie?

–A co z lewą flanką? – zainteresował się Corfe. – Ona zupełnie wisi w powietrzu.

–Nie uważaliśmy, żeby lewa flanką była szczególnie zagrożona – odparł król. – Jedyna groźba na tym kierunku może nadejść z obozu, w którym znajdują się tabory oraz kwatera główna. Jesteśmy przekonani, że merducki sułtan nie odeśle oddziałów osłaniających jego osobę, dopóki nie upewni się, jak wygląda sytuacja. Do tego czasu zdążymy się wycofać. Nie, prawdziwe zagrożenie może nadejść tylko z prawej, od obozu *hraibadarów* i *ferinai*. Aras, otrzymałeś honorową pozycję. Utrzymaj ją.

–Uczynię to, panie. Jeśli okaże się to konieczne, będę jej bronił do ostatniego człowieka.

Corfe otworzył usta, chcąc się sprzeciwić, ale uświadomił sobie, że to nie ma sensu. Istniała możliwość, że król ma rację, ale nie podobało mu się takie rozwiązanie. Nie

uważał też za rozsądne umieszczenia ciężkiej jazdy pośrodku, gdzie jej mobilność będzie ograniczona, a cały oddział zostanie zmuszony do szarży na obozowe namioty. To nie była robota dla jeźdźców. Gdyby jednak zwrócił ich uwagę na ten fakt, nic by to nie zmieniło.

–Wyruszymy rankiem – ciągnął król. – Po dwóch dniach marszu znajdziemy się w pobliżu nieprzyjaciela. Ustawimy się w szyk bojowy w miejscu niewidocznym z ich obozu i o świcie runiemy na nich zmasowaną szarżą. Jak zauważył generał Cear-Inaf, zamieszanie spowoduje, że liczebność nie będzie miała większego znaczenia. Mamy przed sobą nieprzepuszczalną zasłonę kawalerii, więc wróg nie powinien zdawać sobie sprawy z naszych intencji, dopóki nie będzie za późno. Uderzymy na Merduków wszystkimi siłami, a potem się wycofamy. W mniej więcej tym samym czasie flota admirała Berzy zaatakuje nadmorskie bazy przeciwnika. Po tym przeprowadzonym z dwóch stron ataku sułtan będzie się musiał wycofać aż do Searilu, a Wał Ormanna właściwie nie nadaje się do obrony, jeśli zaatakuje się go od południa. Wyzwolimy północną Torunnę spod panowania nieprzyjaciela. Panowie, są jakieś pytania?

–Ta bitwa przejdzie do historii, panie! – zawołał Aras. – Mamy szczęście, że będzie nam dane w niej uczestniczyć!

Lofantyr pochylił uprzejmie głowę. Nawet Menin sprawiał wrażenie lekko zniecierpliwionego lizusostwem Arasa.

–Możecie odejść, panowie – oznajmił król. – Spotkamy się nocą przed rozpoczęciem baletu, żeby wszystko sfinalizować. Do zobaczenia.

Oficerowie pokłonili się i opuścili namiot. Generał Menin dogonił Corfe'a tuż za wyjściem i chwycił go za ramię.

–Chciałbym z tobą zamienić słówko, jeśli łaska, generale – rzekł cicho.

Ruszyli razem przez obóz. Na skrytej w mroku twarzy Menina odbijało się światło ognisk. Generał sprawiał wrażenie głęboko zaniepokojonego.

–Proszę, byś o tym nie rozpowiadał – rzekł przyciszonym głosem. – Ale jeśli nie przeżyję bitwy, chcę, żebyś przejął dowództwo nad armią i poprowadził odwrót.

Corfe stanął jak wryty.

–Mówisz poważnie, generale?

Starszy mężczyzna podał mu zapieczętowany zwój.

–Tutaj masz to na piśmie. Król się oczywiście sprzeciwi, ale nie będzie wiele czasu

na spory. Jego następnym po mnie kandydatem na dowódcę jest Aras, którego i tak już awansowano ponad jego zdolności. Bez względu na wszystko ta armia musi ocaleć. Zaprowadź ludzi z powrotem do Torunnu, Corfe.

Corfe wziął zwój.

–Wybrałeś dziwny moment, by w końcu okazać wiarę we mnie – zauważył nie bez goryczy.

–Czas na polityczne gierki minął. Kraj potrzebuje teraz u steru żołnierza.

–Nie zginiesz, Menin. To nie jest potrzebne.

–Nie, generale. Na północy czeka na mnie śmierć. Wiem, że nie wrócę. Ale ty dopilnuj, żeby armia wróciła!

Ścisnął przedramię Corfe'a, niemalże je miażdżąc. Na jego sieniej twarzy można było wyczytać przerażenie, ale Corfe był pewien, że generał nie boi się o siebie.

–Zrobię, co będę mógł, jeśli okaże się to konieczne – zapewnił urywanym głosem.

–Dziękuję. Jeszcze jedno, Corfe. Twoi ludzie mogą być w odwodzie, ale w najbliższych dniach to właśnie ich czeka najtrudniejsze zadanie. Lepiej w to nie wątp.

Menin oddalił się bez dalszych ceremonii.

–Masz – odezwał się Andruw, podając mu bukłak. – Coś mi się zdaje, że przyda ci się łyczek. Co takiego zrobili? Olśnili cię swą strategiczną błyskotliwością?

Corfe wycisnął sobie do ust strumień cierpkiego, wojskowego wina.

–Boże, Andruw, tego mi było potrzeba.

Wokół ogniska siedzieli jego najstarsi stopniem oficerowie. Prosił, żeby poczekali na jego powrót z narady, i teraz spoglądali na niego ze zniecierpliwieniem w oczach. Oprócz Andruwa byli tu też Marsch i Morin. Formio stał obok Ranafasta, ogrzewając ręce nad płomieniami, a Ebro zaprzestał na chwilę strugania patyka i gapił się na swego dowódcę. Dalej, w cieniu, kryło się wielu innych. Corfe miał wrażenie, że zauważył Joshelina, fimbriańskiego weterana, a także swego trębacza, Cerne'a. Na ich widok zrobiło mu się lżej na sercu, zniknęła stamtąd część ciężaru pozostałego po słowach Menina. Przemknęło mu przez głowę, że mając wierność takich ludzi, może dokonać niemal wszystkiego.

–Uderzymy na nich za dwa dni, chłopaki – oznajmił wreszcie. – Ebro, daj mi ten patyk. Chodźcie tu wszyscy. Narysuję wam, jak się do tego zabierzemy.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Świt nad północną Torunną. W merduckich obozach nadeszła pora zmiany warty. Ludzie poruszali węgielkami w ogniskach, gotowi wziąć się za przygotowanie śniadania. Tysiące przywiązanych koni jadły siano i owies, wypełniając mroźne powietrze wilgotnym ciepłem. Obok przejeżdżały ospałe konwoje wyładowanych ciężko wozów. Nad miastami merduckich namiotów unosiła się mgiełka dymu i pary, widoczna na wiele mil, choć chmury wisiały nisko nad ziemią. Stożkowate namioty zajmowały przestrzeń setek akrów. Ułożono między nimi drogi z pni drzew. Kręciły się tu kobiety i dzieci, a na terenie obozów można było znaleźć rynki i bazy, na których ustawiali swe stragany obrotni kupcy towarzyszący armii. Trzy wielkie zimowe obozy Merduków sprawiały tak pokojowe wrażenie, jak to tylko możliwe w przypadku wojskowych osad. Wszyscy wiedzieli, że tchórzliwi Torunnanie kryją się za murami swej stolicy, przygotowując się do nieuniknionego oblężenia. W promieniu wielu mil od obozu nie było nieprzyjacielskich oddziałów, pomijając kilka izolowanych grup konnicy. Za tydzień czy dwa namioty się zwinie i armie znowu ruszą w drogę, ale na razie żołnierze sułtana bardziej martwili się tym, jak się ogrzać, uchronić przed wilgocią i dobrze najeść pośrodku barbarzyńskiej torunnańskiej zimy.

Shahr Indun Johor, wielki kedyw sułtańskich armii, rozbił swój namiot pośrodku obozowiska *hraibadarów* oraz *ferinai*, doborowych oddziałów. Ranga dawała mu pewne przywileje i spał sobie z głową między piersiami swej ulubionej nałożnicy, gdy

jego subadar, główny oficer sztabowy, wsadził głowę do środka między ciężkimi zasłonami.

–Shahrze Johorze. – Nie było odpowiedzi. – Shahrze Johorze! – powtórzył głośniej.

Kedyw się poruszył. Był młodym, szczupłym mężczyzną, ciemnowłosym i szybkim jak wydra.

–Co jest? O co chodzi, Burazie?

–Może to nic takiego, mój kedywie. Niektórzy z wartowników meldują, że na zachodzie słychać ogień dział.

–Chwileczkę. Sprawdź, czy mój koń jest osiodłany. – Shahr Johor odepchnął na bok skarżącą się pod nosem konkubinę, po czym wciągnął spodnie i bluzę. Przepasał się szarfą, schował puginał w fałdach stroju i włożył ciężkie, sięgające kolan buty do konnej jazdy. Potem pocałował zlaną pachnidłami nałożnicę. – Później, gołąbeczko – wyszeptał i wyszedł z namiotu w półmrok świtu.

Buraz czekał już na niego z dwoma osiodłanymi końmi. Oddechy zwierząt wypełniały powietrze parą. Obaj mężczyźni dosiedli wierzchowców i pogalopowali w stronę granicy wielkiego obozu. Gdy pędzili drogą z pni drzew, pierzchali przed nimi żołnierze i markietanki. Shahr Johor dyszał ciężko, wpatrując się w pusty horyzont. Było jeszcze tak ciemno, że widział na zachmurzonym niebie plamę blasku bijącego od ognisk *minhraibów*, odległych o trzy mile. Z nieba zaczęły sypać drobne płatki śniegu. W nisko wiszących chmurach było ich więcej.

–Nic nie słyszę. Kto o tym meldował?

Podszedł do nich sierżant *hraibadarów*, weteran o twardej, pooranej bruzdami twarzy i czarnych oczach.

–Ja, mój kedywie. Huk cichnie, a potem rozbrzmiewa znowu. Jeśli zaczekasz, z pewnością go usłyszysz, masz na to moje słowo.

Czekali nieruchomo, wyęzając słuch, podczas gdy za ich plecami dziesiątki tysięcy mieszkańców obozu budziły się do życia w blasku wstającego dnia. I wreszcie shahr Johor to usłyszał. Odległy, urywany łoskot, dobiegający z zachodu, oraz cichszy trzask, który mógł być ogniem arkebuzowych salw.

–Artyleria – stwierdził Buraz.

–Tak. I zmasowany ogień arkebuzów. Tam trwa bitwa, Burazie.

–To może być tylko wycieczka, potyczka.

Obaj ponownie wyężyli słuch. Sierżant *hraibadarów* gniewnym głosem rozkazał żołnierzom się uciszyć i wokół obu oficerów setki ludzi przerwały swe zajęcia i znieruchomiały, również nasłuchując.

Odległe grzmoty stawały się coraz głośniejsze. Teraz już wszyscy je słyszeli. Wydawało się, że odbijają się echem od samych wzgórz.

–To nie jest potyczka – stwierdził shahr Johor. – To walna bitwa, Burazie. Niewierni zaatakowali obóz *minhraibów*.

–Czyby się ośmielili? – zapytał z niedowierzaniem jego podwładny.

–Najwyraźniej tak. Wezwij trębacza. Niech zagra alarm. Armia ma się przygotować do natychmiastowego wymarszu. Wyślij też kuriera do sułtana w północnym obozie. Damy tym niewiernym nauczkę za ich bezczelność. Poprowadzę *ferinai* i uderzę na ich flankę. Ty podążysz za mną z piechotą. Śpiesz się, Burazie!

*

Obóz *minhraibów* miał w przybliżeniu kształt kwadratu o boku długości półtorej mili. Rozbito go na lekko pofałdowanej równinie poprzecinanej licznymi ciekami wodnymi i usianej gajami olch oraz wierzb w miejscach, gdzie gleba była wilgotna. Na wschód od niego ciągnął się krótki szereg wzgórz, wysokich na może czterysta, pięćset stóp. Na ich szczytach rozbito mniejszy obóz dla około tysiąca ludzi. Dominował on nad położonym niżej terenem i zapewniał łączność z innymi merduckimi obozowiskami znajdującymi się na wschodzie. Główny obóz był ogromnym morzem namiotów podzielonym na dwie połowy błotnistymi drogami. W jego północnej części wzniesiono zagrody dla zwierząt jucznych, a na południowy zachód od niego, na niewielkim wzniesieniu, może ze dwie mile od pierwszych namiotów, rósł rzadki las. W nim właśnie torunnańska armia przegrupowała się z kolumny w szereg bojowy.

*

Gdy niebo zaczęło jaśnieć, z lasu wyłoniły się trzy silne formacje żołnierzy. Spóźnili się. Plan zakładał, że zbliżą się do nieprzyjaciela pod osłoną przedświtowego mroku, ale rzecz jasna przegrupowanie się w ciemności zajęło trzydziestu tysiącom ludzi więcej czasu niż przewidywano i teraz musieli pokonać z maksymalną prędkością dwie mile płaskiego, otwartego terenu, zanim będą mogli się zetrzeć z Merdukami.

Przed czoło głównego korpusu wysunęły się baterie dział polowych dowodzone przez pułkownika Rusio, które zajęły pozycje w odległości mili od linii nieprzyjaciela. Po chwili małe, sześćofuntowe działka huczały już, buchając obłokami dymu. Ich kule siały w obozie wroga krwawy chaos, niszcząc namioty i zabijając ludzi.

Dowodzony przez króla oddział, złożony z osiemnastu tysięcy jeźdźców, przystąpił do szarży. Jego szereg bojowy składał się średnio z sześciu szeregów i był rozciągnięty na przestrzeni dwóch mil – mroczna, najeżona pikami, pobrzękująca metalem apokalipsa złożona z zakutych w pancerze ludzi i koni. Ziemia trzęsa się pod kopytami rumaków. W centrum szeregu miejsce zajęli ciężkozbrojni, obleczeni w czerń kirasjerzy, skupieni pod chorągwiami króla oraz jego szlachetnie urodzonych towarzyszy.

Na wschodzie, około mili od głównych sił, pięć tysięcy ludzi pułkownika Arasa również posuwało się naprzód. Ich celem był mniejszy merducki obóz ulokowany na wzgórzach. Mieli go zdobyć, a potem utrzymać pozycje, gdyby nadeszły nieprzyjacielskie posiłki. Podkomendni Arasa nosili lekkie zbroje, pozwalające na rozwinięcie dużej szybkości. Ciągnęły się za nimi smugi dymu z wolnopalnych lontów arkebuźników, przez co wyglądali, jakby wypalali sobie drogę przez śnieg.

A za głównym szykiem podążała kolejna formacja. Siedem tysięcy piechoty i tysiąc konnych – ludzie Corfe’a, skupieni w gęstą grupę o długości tylko około dwóch trzecich mili. Dowódca zajął miejsce po lewej stronie, razem z Katedralnikami, po prawej maszerowali w dziesięciu rzędach Fimbrianie, a środkiem szli weterani z wału. Za nimi, w lesie, stały setki wozów składających się na tabory. Polowi chirurdzy oraz ich asystenci rozkładali tam skrzątnie swe instrumenty, a tłumy wozaków gorączkowo wyładowywały skrzynie z kulami oraz beczki z prochem. Czekwały tam też dziesiątki lekkich, dwukołowych wozów, mających transportować amunicję do przodu, a rannych do tyłu, gdzie będzie można udzielić im pomocy. Trudziło się tam około tysiąca ludzi. Corfe zostawił im do osłony dwustu arkebuźników, na wypadek, gdyby małym grupkom nieprzyjaciela udało się przedrzeć na tyły Torunnan.

Zatrzymał swój oddział w odległości mili od merduckiego obozu. Działa huczały coraz głośnie. Widział, że w mieście namiotów zapanowała gorączkowa aktywność. Oficerowie desperacko próbowali ustawić bezładne tłumy żołnierzy w szyk bojowy, ale gdy tylko udawało się im osiągnąć ten cel, artyleria rozrywała ich szeregi na strzępy. Główne siły Torunnan zbliżały się nieubłaganie przy akompaniamencie głuchego łoskotu bębnow piechoty oraz głośnych tonów trąbek. Wydawało się, że żadna siła nie będzie w stanie ich powstrzymać. Na widok atakującej torunnańskiej armii Corfe’a ogarnęło na chwilę czyste, krwiożercze uniesienie, gwałtowna, oszałamiająca radość. Jeśli na wojnie można było znaleźć chwałę, to tylko w takich momentach jak ten, gdy równe szeregi żołnierzy szły do ataku niczym pionki na szachownicy świata. Jeżeli jednak przyjrzeć się temu bliżej, chwała znikwała i zostawała tylko krwawa jatka, straszliwe cierpienia tysięcy ginących i okaleczanych ludzi.

Królewscy żołnierze mijali właśnie baterie polowych dział. Te przysadziste armatki mogły wyrzucać pociski tylko po płaskiej trajektorii i dlatego musiały przerwać ogień, gdy zasłoniły je własne, atakujące oddziały. Artylerzyści oparli się o działa i machali radośnie rękami do mijających ich towarzyszy. Czy nie wydano im dalszych rozkazów? Corfe skrzywił się wściekle. Trzydzieści dział bez żadnych przydzielonych zadań. To było przeoczenie świadczące o niekompetencji, a on formalnie był starszy stopniem niż dowódca artylerii, pułkownik Rusio. Sięgnął do juków po ołówki i papier, wypisał rozkazy i wysłał je do beczynnych baterii. Po kilku minutach artylerzyści zaczęli ładować działa na wózki i wycofywać się w górę zbocza, w kierunku oddziału Corfe’a. Widział już Rusia, który biegał między nimi bez hełmu. Siwowłose oficer wyglądał na rozwścieczonego. Miał pecha. Corfe znajdzie dla niego coś lepszego do roboty niż siedzenie z założonymi rękami przez resztę bitwy.

Dalej na równinie główny torunnański oddział zatrzymał się w odległości zaledwie dwustu jardów od merduckiego obozu i cały szyk eksplodował dymem, gdy arkebuźnicy wypuścili zmasowaną salwę. Po krótkiej chwili można było usłyszeć ogłuszający trzask strzałów, a potem potężny, nieartykułowany ryk, gdy cały oddział rzucił się do ataku. Osiemnaście tysięcy ludzi wpadło do merduckiego obozu,

wrzeszcząc na całe gardło.

Corfe widział klin trzech tysięcy ciężkich kawalerzystów z królewską chorągwią na czele, który wysunął się przed resztę atakujących. Konie zaczęły już padać na ziemię, z pewnością potykając się o zwalone namioty albo ich rozciągnięte linki. Pechowi, zdeorganizowani *minhraibowie* nie mieli szans. Zdołali uformować nierówny szyk, który jednak zaraz zmienił się w wyjący tłum, a potem w zgraję uciekinierów. W ciągu paru minut Torunnanie wdarli się głęboko do nieprzyjacielskiego obozu. Wszyscy pierzchali przed nimi trwożnie. Ale teraz ich szyki zaczęły się rwać. Wkradł się w nie nieład. Walki na terenie miasta namiotów przerodziły się w pozbawioną ładu i składu bijatykę. Pośrodku tego chaosu król i jego kirasjerzy siali spustoszenie niczym przerażające, żywe maszyny śmierci. Lofantyrowi nie brak odwagi, pomyślał Corfe. Tyle przynajmniej trzeba mu było przyznać.

Spojrzał w prawo, gdzie na położonych na wschodzie wzgórzach zaczęła się inna, mniejsza bitwa. Aras rozkazał swoim ludziom atakować w idealnie równym szyku. Po drodze oddawali salwę za salwą. Choć stacjonujący na wzgórzach Merducusy byli pięciokrotnie mniej liczni od przeciwnika, wyszli mu na spotkanie. Mieli bardzo niewiele broni palnej, musieli więc spróbować walki z bliska. Celne salwy kładły ich pokotem. Niedobitki przerodziły się w zdeorganizowany motłoch i umknęły z pola walki. Aras wprowadził swoich ludzi na szczyt i ustawił w szyku obronnym.

–Mam nadzieję, że się okopie – mruknął Corfe. Niepokoila go mała liczebność oddziału Arasa. Wkrótce będzie musiał osłaniać odwrót sił dowodzonych przez króla, a jeśli ze wschodu nadciągną znaczne siły nieprzyjaciela, będzie go czekało trudne zadanie.

–Pułkownik Rusio melduje się na rozkaz – oznajmił warknięciem swoje przybycie oficer, wypowiadając z emfazą ostatnie słowo. Corfe odwrócił się. Rusio dotarł już na jego pozycje ze swymi działami. Starszy wiekiem oficer spoglądał na niego ze złością, ale Corfe nie miał czasu na zadbanie o jego samopoczucie.

–Przejdź ze swoimi działami na pozycje Arasa i przygotuj się do odparcia ataku na wzgórze, pułkowniku – rozkazał krótko. – Ile amunicji ci zostało?

–Po dziesięć kul na działo.

–W takim razie sugeruję, żebyś wysłał wozy do taborów po uzupełnienia. Wkrótce każda kula będzie dla ciebie cenna.

–Z całym szacunkiem, generale, ale wygląda na to, że zdrowo ich pogoniliśmy. Nie wydano mi takich rozkazów przed bitwą i nie rozumiem dlaczego...

–Rób, co ci każę, do cholery! – warknął Corfe, tracąc cierpliwość. – To jest wojsko,

nie klub dyskusyjny. Ruszaj!

Rusio, trzydzieści lat starszy od Corfe'a, ponownie obrzucił go jadowitym spojrzeniem, po czym zawrócił bez słowa konia i zaczął wykrzykiwać rozkazy do swoich ludzi. Trzydzieści dział pomknęło na wschód na wozach zaprzężonych w osiem koni każdy.

Merducki obóz spowijał całun dymu. Na ziemi paliły się posępne ognie i było widać czarne figurki, które miały się tłumnie na podobieństwo mrówek. Corfe'owi przemknęło przez głowę, że z pewnością panuje tam całkowity chaos – niedobra sytuacja zarówno dla atakujących, jak i dla obrońców. Niemniej jednak chaos sprzyjał mniejszej armii. W tym piekielnym kłębowisku łatwiej było zapanować nad ruchami osiemnastu niż dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi. Do tej pory wszystko szło dobrze.

Nastał już dzień, ponury, pochmurny poranek. Śnieg sypał z przerwami. Szkolone rumaki Katedralników były niespokojne i pocily się pomimo zimna. Czuły odór bitwy, który rozgrzewał ich krew. Ludzie również go czuli. W szeregach słyszało się głośne rozmowy. Pośrodku szyku Corfe'a weterani z wału opierali gotowe do strzału arkebuzy na podpórkach w kształcie litery Y, które wbili w ziemię przed sobą. A daleko na prawym skrzydle stali Fimbrianie w swych czarnych zbrojach, wyglądający jak posągi kruków. Piki unosili pionowo do góry. Andruw podjechał do niego galopem i zdjął hełm.

–Jakie jest w tym wszystkim nasze zadanie, Corfe? – zapytał. – Mamy sporządzać notatki?

Musiał krzyczeć, by jego głos przebił się przez ogłuszający łoskot bitwy.

–Spokojnie, Andruw. To dopiero początek.

Andruw podążył za przykładem swego generała i również spojrział w lewo, na zachodnią część merduckiego obozu. Widać tam było strumienie uciekających nieprzyjaciół, którzy rozpaczliwie usiłowali wydostać się z morderczego piekła szalejącego między namiotami. Torunnańskie *tercios* strzelały im w plecy. Dalej jednak ciągnął się rozległy, całkowicie opustoszały obszar – wzgórza i wrzosowiska.

–Myślisz, że zaatakują od lewej? – zapytał Andruw.

–A ty byś tego nie zrobił? W tej chwili zabijamy żołnierzy z poboru. Zawodowcy jeszcze się nie zjawili. Sądzę, że Aras powinien się utrzymać z prawej, dzięki ukształtowaniu terenu i działom Rusia. Jeśli sułtan zarządzi choć pobieżny rekonesans, zda sobie z tego sprawę i uderzy na nas od lewej.

–I co wtedy?

–Wtedy stoczmy bitwę.

–To dlatego zatrzymałeś nas tak daleko z tyłu. Uważasz, że będziemy musieli wesprzeć lewą flankę.

–Mam nadzieję, że nie, ale lepiej być na to przygotowanym.

–Masz rację. Tak czy inaczej, król robi, co do niego należy. Jeszcze godzina i zetrzemy z powierzchni ziemi połowę merduckiej armii.

–Wdać się w walkę to jedno, a wyplątać z niej to coś całkiem innego.

–Czyżbym słyszał nutę zazdrości, Corfe? – zapytał z uśmiechem Andruw.

–To chwalebna szarża, ale wolałbym, żeby się na chwilę zatrzymał i rozejrzał. Nasza armia zrobiła się beznadziejnie zdezorganizowana. Będzie potrzebował paru godzin, żeby ustawić ją z powrotem w szyku i wycofać. – Corfe również się uśmiechnął. – No dobra, może i trochę zazdrościsz mu chwały.

–Trzeba przyznać, że poprowadził ludzi do ataku jak weteran. Lepiej wróć do mojego skrzydła. Głowa do góry, Corfe! W końcu dzięki tej bitwie zapiszemy się w historii.

Andruw oddalił się cwałem.

Corfe jeszcze przez pół godziny siedział na niespokojnym koniu. Walki w obozie *minhraibów* nie ustawały, choć wylały się również poza jego teren. Widział pomieszane szyki torunnańskich kirasjerów i arkebuźników. Nad nimi powiewały jaskrawe chorągwie, przesłonięte obłokami dymu. Na równinie ukształtowało się wielkie skupisko ludzi. *Minhraibowie* uciekali z obozu i próbowali się przeformować na otwartym terenie na północny zachód od niego. Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy Merduków bez przeszkód ustawiało się w szyk, podczas gdy Torunnanie nadal byli wplątani w straszliwą walkę na terenie obozu. Wróg poniósł ogromne straty, ale przy swej liczebności mógł sobie na nie pozwolić, a teraz wreszcie udało mu się zaprowadzić w chaosie odrobinę ładu. Nadszedł czas na odwrót. Merduckie posiłki z pewnością były już w drodze.

Z kłębowiska wyłonił się kurier i skierował ledwo żywego konia na wzgórze, ku oddziałowi Corfe'a. Generał pogalopował mu na spotkanie. To był kirasjer. Jego wierzchowiec odniósł kilka ran, a zbroję pokrywało mnóstwo wgnieceń i zadrapań. Żołnierz zasalutował.

–Wybacz, generale... – przerwał, by zaczerpnąć tchu -...ale król, król...

–Nie ma pośpiechu, żołnierzu – uspokoił go łagodnym tonem Corfe. – Cerne! Daj mu

trochę wody.

Trębacz podał kurierowi swój bukłak, kirasjer wlał sobie w okopcone usta pół pinty wody, a potem otarł wargi.

–Generale, król chce, żebyś natychmiast ruszył ze swymi ludźmi do obozu. Nieprzyjaciel ucieka, ale jego ludzie są wyczerpani. Chce, żebyś ruszył za nimi w pościg. Masz ruszyć z całym odwodem do obozu i wykończyć skurwysynów... za przeproszeniem, generale.

Corfe zamrugął.

–Mówisz, że król tak powiedział?

–Tak, generale, natychmiast, generale. Mówi, że załatwimy wszystkich, jeśli tylko się pośpieszysz.

W tej samej chwili po prawej rozległa się ciężka kanonada dział i arkebuzów. Ludzie Arasa otworzyli ogień do niewidocznego stąd nieprzyjaciela, który znajdował się poniżej. Corfe wezwał Andruwa.

–Wyślij posłańca do Arasa. Chcę poznać siłę i skład nieprzyjacielskiego oddziału, który ostrzeliwuje, a także dowiedzieć się, jak długo, według jego oceny, zdoła się utrzymać. I, Andruw, powiedz Marschowi, żeby przesunął szwadron milę albo dwie w lewo. Chcę, żeby nas ostrzegł, jeśli wróg będzie się zbliżał z tamtej strony.

Andruw zasalutował i popędził w stronę szeregów. Corfe raz jeszcze wyjął ołówek i brudną kartę papieru, a potem użył nabiodrka swej zbroi jako biurka.

–Jak się nazywasz, żołnierzu? – zapytał kuriera.

–Holman, generale.

–No więc, Holman, spójrz na teren położony na północ od obozu Merduków. Co tam widzisz?

–Ależ, generale, to armia! Tam się formuje druga merducka armia! Na pewno zaraz zaatakuje naszych chłopaków w obozie!

–To nie jest druga armia, tylko ta sama, z którą walczyacie. Do tej pory starliście się tylko z jej połową. Druga połowa się wycofała i przeformowuje się tam już od blisko godziny. Wkrótce będzie gotowa do uderzenia na obóz i odzyskania go. A teraz od prawej nadciągnęły merduckie posiłki. Musisz powiedzieć królowi, że jego pozycja jest nie do utrzymania. Nie mogę udzielić mu wsparcia. Musi się natychmiast wycofać. I chcę, żebyś najpierw powiedział to generałowi Meninowi, Holman. Ta

wiadomość musi do nich dotrzeć. To ma absolutnie kluczowe znaczenie. Armia musi się wycofać, bo inaczej zostanie rozbita. Zrozumiałeś, żołnierzu?

Holman wybałuszył oczy.

–Tak jest, generale.

–Mój oddział będzie osłaniał ich odwrót tak długo, jak tylko zdołamy, ale główne siły muszą natychmiast się wycofać.

–Tak jest.

Holman był przerażony i rwał się do czynu. W potwornym zamieszaniu, jakie panowało w obozie Merduków, nikt nie zauważył, że tysiące nieprzyjacielskich żołnierzy zaczęły się przygotowywać do kontrataku. Corfe nie zazdrościł młodemu żołnierzowi tego zadania. Król wpadnie w szal, ale Menin zapewne zachowa się rozsądnie.

Holman pogalopował z powrotem. Jego zmęczony wierzchowiec kołysał się na boki jak okręt na wzburzonym morzu. W tej samej chwili Marsch ruszył ze swym szwadronem na północny zachód, żeby mieć oko na lewą flankę. Corfe walnął jedną zakutą w stal pięścią o drugą. Czuł się niezmiernie poirytowany tym, że musi tu siedzieć beczynnym. Niemalże żałował, że nie jest już młodszym oficerem i nie przebywa w wirze walki, wykonując rozkazy.

Przybył kurier od Arasa, dzikus dosiadający wierzchowca, który toczył pianę, tupał i parskał. Poślaniec wręczył swemu generałowi kartkę papieru, zasalutował niezgrabnie i wrócił do szeregu.

Przede mną 6-8 tysięcy, tylko konnica. Sądzę, że to ferinai. Kilka mil za nimi widać oddziały piechoty. Artyleria na razie utrzymuje je na dystans. Skupiają siły przed generalnym szturmem. Utrzymam się jeszcze godzinę albo dwie, nie dłużej. Aras.

–Panie Boże – rzekł cicho Corfe. Widocznie merducki kedyw szybko zorientował się w sytuacji.

Trącił konia nogą, skłaniając go do galopu, i popędził wzdłuż szyku w stronę Fimbrian. Ludzie pozdrawiali go głośnymi okrzykami. Machał do nich ręką, lecz jego umysł cały czas pracował jak szalony.

–Formio? Gdzie jesteście?

–Tutaj, generale.

Szczupły fimbriański oficer wyłonił się z tłumu swych ludzi. Tak samo jak oni,

trzymał w ręku pikę. Tylko szarfa odróżniała go od szeregowego żołnierza.

–Przejdź ze swoimi ludźmi na wzgórze, żeby wzmocnić pułkownika Arasa. Atakuje go ciężka jazda i wasze piki ją powstrzymają. Musicie zdobyć dla nas trochę czasu, Formio. Macie bronić się na tej pozycji aż do odwołania. Czy to jasne?

–Absolutnie, generale.

–Życzę szczęścia.

Wykrzyczano serię rozkazów, zabrzmiała trąbka i Fimbrianie ustawili się w kolumnę marszową, a potem ruszyli przed siebie gładko jak wielka maszyna o bezbłędnie funkcjonujących częściach. Corfe był bardzo niezadowolony, że musi podzielić oddział, ale Aras nie utrzyma się długo o własnych siłach. Czuł się jak człowiek rozpaczliwie próbujący załatać pęknięcie w wale. Gdy tylko zatkał jedną dziurę, woda zaczęła wypływać w innym miejscu.

Znowu podjechał do niego Andruw.

–Mam wrażenie, że czeka nas ciężka robota – stwierdził niemal radosnym tonem. Perspektywa walki zawsze tak na niego wpływała.

–Teraz uderzą od lewej – zapowiedział Corfe. – A jeśli rzucają na nas duże siły, będę musiał skierować tam resztę oddziału. Nie mamy już więcej odwodów.

–Myślisz, że złapaliśmy więcej niż zdołamy połączyć?

Corfe nie odpowiedział. Czuł, że czas przecieka mu przez palce minuta po minucie na podobieństwo wypływającej z żył krwi. Z każdą chwilą szanse uratowania armii malały.

DWADZIEŚCIA DWA

Aurungzeb nie pokonał konno większego dystansu już od tak dawna, że wolałby tego głośno nie przyznawać. Bolały go uda i miał wrażenie, że jego pośladki zmieniły się w parę fioletowych siniaków. Mimo to siedział prosto w siodle, jak przystało sułtanowi, i nie zwracał uwagi na śnieg pokrywający coraz grubszą warstwą jego brodę.

–Na krew proroka! – zawołał poiryutowany. – Czy nie mogą ruszać się szybciej?

Shahr Harran, drugi kedyw, siedział na koniu znacznie pewniej od sułtana.

–Trzeba czasu, by armia wyruszyła w drogę, Wasza Wysokość. Z początku zawsze wydaje się, że to idzie wolno, ale Torunnanie nie wyplączą się z walki jeszcze przez kilka godzin. Nasi zwiadowcy meldują, że nieprzyjaciel toczy bój w samym środku obozu *minhraibów*. Ci durnie wjechali ciężką konnicą między namioty. Nie ma obaw, nie uciekną nam. Do tego ich lewa flanką nadal pozostaje odsłonięta.

–A co z tymi przekłętymi jeźdźcami w czerwonych zbrojach, których wszyscy tak się boją? Gdzie oni są?

–Z tyłu, mój sułtanie. Pozostają w odwodzie. I jest ich zaledwie tysiąc. Wysyłamy na ich lewą flankę dwadzieścia tysięcy nalbeńskich konnych łuczników, a shahr Johor i jego *ferinai* powinni lada moment zaatakować prawą. Torunnanie nie mają szans ucieczki. Zniszczymy tę armię doszczętnie, a to z pewnością ostatnia, jaką jest w stanie wystawić ich królestwo.

–Ech, trzymajcie to cholerstwo prosto, dobra! – warknął sułtan do pechowców próbujących osłonić swego władcę przed sypiącym śniegiem za pomocą wielkiego parasola, który kołysał się na wietrze nad głową Aurungzeba niczym latawiec.

–Jestem pewien, że masz rację, shahrze Harranie. Kłopot w tym, że ostatnio moi kedywi wielokrotnie zapewniali mnie o bliskiej zagładzie Torunnan, a mimo to przekłętym ramusianom zawsze udawało się w ostatniej chwili uratować swe armie dzięki jakiejś sztuczce. Tym razem to nie może się zdarzyć.

–Nie zdarzy się. To wykluczone – zapewnił shahr Harran.

Obu jeźdźców otaczały setki innych. Wszyscy nosili posrebrzane zbroje i tworzyli osobistą straż sułtana. Obok nich przemykał kłusem niekończący się strumień lekkiej jazdy. Żołnierze nie mieli zbroi, choć byli opatuleni w grube, chroniące przed mrozem stroje. Lekkich, wysoko unoszących nogi koni o delikatnym wyglądzie dosiadali ciemnowłosi, równie drobnokościści ludzie uzbrojeni w łuki. U łęków ich siodła wisiały kołczany pełne strzał z czarnymi pierzyskami.

–A gdzie jest mój nieustraszony niewierny? – zapytał łagodnie Aurungzeb. – Muszę usłyszeć, co on sądzi o naszym szyku.

Do Aurungzeba podjechał niski, ciemnowłosy człowiek dosiadający muła. Był odziany w habit ramusiańskiego mnicha, a twarz miał obrzydliwie okaleczoną.

–Sultanie?

–Ach, kapłanie. Jak się czujesz, spoglądając na potęgę Ostrabaru i wiedząc, że wkrótce dokona ona duchowego wyzwolenia twego nieoświeconego narodu? Możesz mówić swobodnie. Lubię słuchać tych twoich nonsensów. Przypominają mi, jak daleko na manowce zeszli ramusianie.

Albrec uśmiechnął się dziwnie.

–Nie tylko ramusianie, Wasza Wysokość, ale twoi rodacy również. Oba ludy wierzą w tego samego Boga i czczą tego samego człowieka jako jego wysłannika. To wielka szkoda, że toczą ze sobą wojnę z powodu starożytnego nieporozumienia. Z powodu kłamstwa. Pewnego dnia zarówno Merducy, jak i ramusianie uświadomią sobie tę prawdę.

–Ty mały, bezczelny... – wybuchnął shahr Harran, ale Aurungzeb powstrzymał go, unosząc upierścienioną dłoń.

–Kedywie, ten szaleniec przybył tu w dobrej wierze, by przekonać nas o fałszywości naszych przekonań. Nigdy w życiu nie miałem lepszego błazna. – Sułtan roześmiał się głośno. – Kapłanie, nie brak ci odwagi. Szkoda, że jesteś obłąkany. Głoś nadal swe szalone tezy, a może dożyjesz wiosny, o ile wcześniej nie spróbujesz ucieczki.

Aurungzeb znowu wybuchnął śmiechem.

Albrec pokłonił się w siodle. Stopy przywiązano mu do strzemion, a muł był połączony wodzami z rumakiem jadącego obok wojownika. Ucieczka stanowiła możliwość tak odległą, że sama myśl o niej była śmieszna. On jednak wcale nie chciał uciekać. To było miejsce, w którym pragnął się znaleźć. Jego okaleczona twarz nic nie wyrażała, gdy obserwował potężną armię, która przechodziła bez końca obok niego. Co więcej, dowiedział się, że to tylko jeden z trzech oddziałów, i to wcale nie najliczniejszy. Serce ścisnął mu ból na myśl o rzezi, która wkrótce się zacznie. Torunna nie miała szans zwyciężyć w tej straszliwej wojnie tylko dzięki samej sile zbrojnej. Jego misja wśród Merduków była jeszcze ważniejsza, niż mu się zdawało.

Pobili go owej nocy, gdy dowlókl się do ich obozu na skrzydłach nawałnicy. Mało brakowało, a zabiliby od razu, ale jego przybycie zaintrygowało jednego z oficerów. Być może pomyślał, że Albrec jest zdrajcą, który może znać jakieś użyteczne informacje. Dlatego wysłał mnicha do obozu sułtana, gdzie znowu go pobito. W

końcu jednak sam Aurungzeb wyraził ochotę zobaczenia dziwnego wędrowca. Sułtan całkiem nieźle mówił po normańsku i nie potrzebował tłumacza. Albrec zastanawiał się, od kogo nauczył się tego języka. Pewnie od jakiegoś ramusiańskiego jeńca. Aurungzeb z początku był zdumiony, a potem zaczął się głośno śmiać, gdy Albrec opowiedział mu o swej misji: miał przekonać Merduków, że ich prorok był tą samą osobą, co ramusiański Błogosławiony Święty. Sułtan wezwał paru mułłów – uczonych merduckich duchownych – i Albrec debatował z nimi przez całą noc. Byli równie zdumieni jak ich władca. Albrec przeczytał wszystkie teksty na temat Merduków oraz ich historii, jakie tylko zdołał znaleźć zarówno w Charibonie, jak i w mniejszej bibliotece w Torunnie. Znał rodowód Aurungzeba oraz historię jego klanu lepiej niż sam sułtan. Jego wiedza dziwnie schlebiała monarsze, który przetrzymywał mnicha zakutego w lekkie łańcuchy w swym namiocie niczym tresowanego niedźwiedzia. Gdy oficerowie zbierali się tam na narady, Albrecowi pozwalano występować ku uciesze wszystkich obecnych.

Jednakże wielu z tych, z którymi rozmawiał wcześniej, jego słowa wcale nie śmieszyły. Dla sułtana był tylko zabawnym szaleńcem, ale inni uważali go za bluźniercę, który zasłużył na powolną śmierć. Jeszcze inni nic nie mówili, lecz słuchali z zakłopotaniem na twarzach opowieści Albreca o tym, jak błogosławiony Ramusio wyruszył na wschód, do krajów położonych za Górami Jafrarskimi, o jego naukach i o tym, jak przeobraził się w proroka, który oświecił wschodnie plemiona i położył kres ich nieustającym, bratobójczym wojnom, czyniąc z nich potężne zastępy, w dzisiejszych czasach zagrażające całemu światu.

Podczas jednego z tych spotkań była obecna kobieta, żona sułtana, odziana bogato jak królowa, zawołowana i milcząca. Gdy Albrec wygłaszał swe kazanie, ani na moment nie spuściła spojrzenia z jego twarzy. Miała jasne oczy, jak ludzie Zachodu. Dostrzegął w nich rozpacz, żal, od którego ścisnęło mu się serce. Miał wrażenie, że kiedyś widział już podobny wyraz w czyichś oczach, ale za nic w świecie nie potrafił sobie przypomnieć w czyich.

Odległy zgiełk bitwy przywołał go z powrotem do rzeczywistości. Sułtan znowu do niego mówił:

–A więc wiesz, kim jest ten generał dowodzący czerwonymi jeźdźcami, kapłanie? Moi szpiedzy nie powiedzieli mi nic użytecznego. Wiem, że torunnański król nie jest feniksem, a jego Naczelne Dowództwo to zgraja starych bab, a mimo to wbrew wszelkim oczekiwaniom wyszli z miasta, by stanąć do walki. Ktoś między nimi musi być prawdziwym wojownikiem.

–Wiem niewiele więcej od ciebie, sułtanie. Ale spotkałem tego generała, o którym mówisz.

Aurungzeb odwrócił się w siodle. W jego oczach błyszczało zainteresowanie.

–Naprawdę? I jaki on jest?

–To było krótkie spotkanie... – I nagle Albrec przypomniał sobie, gdzie przedtem widział wyraz, który ujrzał w oczach zawołowanej kobiety. Wiedział już, kogo mu przypominała. – To niezwykle człowiek. Wydaje mi się, że ma w sobie smutek.

Przypomniał sobie twarde spojrzenie szarych oczu oficera imieniem Corfe, gdy spotkał go pod Torunem, a za nim długi szereg szkarłatnej, barbarzyńskiej kawalerii, przejeżdżający obok nich niczym zjawisko wywodzące się z legendy.

–Smutek! Jesteś naprawdę zabawny, kapłanie. Wszyscy twierdzą, że to ich najlepszy generał od czasów Mogena, prawdziwa furia w siodle. Chciałbym się z nim spotkać. Być może rozkażę zachować go przy życiu, gdy już rozbijemy jego armię. – Aurungzeb zachichotał pod nosem. – Tylko mnie posłuchaj! Robię się podobny do shahra Baraza, rycerski w stosunku do wrogów.

–Wspaniałomyślność przystoi wielkiemu władcy, sułtanie – oznajmił mu Albrec. – Tylko mniej wari ludzie folgują sobie w okrucieństwie.

–Cóż to ma być, jeden z frazesów waszego Świętego?

–Nie, to maksyma waszego proroka.

Przybył kolejny posłaniec. Śnieg zamarzał mu na ramionach i zlepił kosmyki końskiej grzywy.

–Przyjechałem od Marscha – oznajmił i dla podkreślenia swych słów wskazał ręką na zachód.

–I co? – zapytał Corfe.

–Zbliża się wielu, wielu jeźdźców. Małe koniki, ludzie z łukami.

–Ilu? Jak daleko są?

Kurier zmarszczył wytatuowaną twarz.

–Marsch powiedział, że jest ich tylu, ilu żołnierzy w armii króla, może więcej. Zbliżają się od północnego zachodu i będą tu za godzinę.

Rozluźnił się, wyraźnie zadowolony, że udało mu się powtórzyć to bezbłędnie.

–Ludzie z łukami – powiedział z namysłem w głosie Andruw. – Konni łucznicy. To na pewno nalbeński kontyngent. A jeśli jest ich tylu, co w oddziale króla...

–Osiemnaście, dwadzieścia tysięcy – uściślił Corfe bezbarwnym głosem.

–Niech to szlag, Corfe, to znaczy, że już po nas. Król i Menin zaczęli się przegrupowywać, ale nie ma mowy, żeby zdążyli się wycofać z obozu w godzinę.

–W takim razie będziemy musieli sami się z nimi załatwić – stwierdził bez ogródek Corfe.

Andruw zdołał uśmiechnąć się ze smutkiem.

–Wiem, że mamy wprawę w walce z liczniejszym przeciwnikiem, ale czy nie sądzisz, że trochę zanadto ufamy szczęściu? Nie mamy nawet Fimbrian. Zostali nam tylko Katedralnicy i ludzie Ranafasta. Sześć tysięcy.

–Nie mamy wyboru. Musimy odrzucić ich do tyłu, zanim zdołają zająć nas z lewej strony. Jeśli to zrobią, cała armia zostanie okrążona.

–Ale jak? – zapytał po prostu Andruw.

Corfe trącił nogą wierzchowca, każąc mu się przesunąć o kilka jardów. W ciągu kilku ostatnich miesięcy nauczył się bardzo wiele o naturze wojny. Tak jak w każdej

innej dziedzinie ludzkiej działalności, pozory były tu często równie ważne jak rzeczywistość. A fortel bywał skuteczniejszy niż brutalna siła.

Szarża ciężkiej kawalerii przeciwko konnym łucznikom? Samobójstwo. Nieprzyjaciel po prostu się wycofa, ostrzeliwując ich z łuków. Wystrzela jego ludzi z dystansu, nie pozwalając im się zbliżyć. Musiał w jakiś sposób unieruchomić przeciwnika, a potem uderzyć nań z całej siły z bliska, by ciężar koni i zbroi jego ludzi wyrównały ich niższą liczebność. Ogień na ogień, pomyślał. Ogień na ogień. A on miał pięć tysięcy doświadczonych arkebuźników z Wału Ormanna.

Przesunął wzrokiem po rozległym polu bitwy. Na dole, pośród ruin obozu *minhraibów* nadal trwały walki, ale wydawało się, że straciły nieco na intensywności. Obie armie próbowały się przeorganizować. Widział, jak tłumy torunnańskich żołnierzy ustawiają się z powrotem w zdyscyplinowane szyki. Aż połowę namiotów w ogromnym obozie zwalono na ziemię, w wielu miejscach wybuchły pożary, a nad obozem unosiły się wielkie chmury szarego dymu. Dalej, na pustym terenie, ocalali *minhraibowie* niemal już ustawili się z powrotem w szyk bojowy. Wkrótce przystąpią do kontrataku. To jednak nie było w tej chwili jego problemem. Wszystko po kolei.

Na wschodzie Aras wraz z Fimbrianami starali się powstrzymać atakującą merducką kolumnę. Formio pomieszał swych pikinierów z arkebuźnikami Arasa i działami Rusia. Ich pozycje spowijał całun dymu, rozświetlany czerwonymi i żółtymi rozbłyskami artyleryjskiego ognia. Mimo to żołnierze z zachodu nadal się bronili. Corfe wiedział, że Formio nie cofnie się ani o jard. Prawa flanką była chwilowo bezpieczna.

Pozostawała lewa, na której zagrażała im katastrofa. Jak ma zneutralizować tę nową groźbę z garstką ludzi, która mu została...?

Cały plan zjawiał się w jego głowie w jednej chwili. Fortel, nie siła. Dokładnie wiedział, co musi zrobić. Zawrócił konia, by spojrzeć na Andruwa.

–Ruszamy. Chcę, żeby ludzie Ranafasta pojechali przodem, najszybciej jak się da. Andruw, ty poprowadź Katedralników na lewo od nich. Po drodze wszystko ci wyjaśnię.

DWADZIEŚCIA TRZY

Ogromna kawalkada, liczna jak rój szarańczy. W szeregach nie było porządku, posuwający się naprzód kłusem jeźdźcy potracali się nawzajem, a kolumna rozszerzała się i zwężała zależnie od ukształtowania terenu. Z przodu była szeroka na pół mili, ale w miarę, jak oddział zbliżał się do celu, tylne szeregi przeszły w galop i rozjechały się na boki, więc kolumna z każdym jardem stawała się szersza. Gdy ujrzeli przed sobą obóz *minhraibów* i dogasającą w nim walkę, rozpostarli się już w wielki łuk, płytki półksiężyc o końcach odległych od siebie o prawie półtorej mili. Skuta lodem ziemia drżała pod kopytami ich koni. Dwadzieścia tysięcy najlepszych nalbeńskich żołnierzy przybyło z pomocą swemu najbliższemu sojusznikowi, Sułtanatowi Ostrabaru, by zamknąć pułapkę i wgnieść Torunnan w śnieg.

Corfe obserwował ich zza drzew i nie mógł nie czuć dla nich swego rodzaju podziwu. Wyglądali wspaniale. W tych dniach dżia i prochu strzelniczego wydawali się reliktem barbarzyńskiej przeszłości, wiedział jednak, że ich potężne kompozytowe łuki niemal nie ustępują zasięgiem arkebuzom, a poza tym łatwiej jest je ładować. Ci żołnierze mieli mnóstwo zębów.

Za nim, ukryci między drzewami, które ciągnęły się aż po sam tył torunnańskich linii, czekali zniecierpliwieni Katedralnicy. Nalbeńscy kawalerzyści przemkną obok nich, chcąc zaatakować z flanki siły króla. On natomiast uderzy na nich od tyłu, i to z całej siły. Najpierw jednak trzeba będzie ich zatrzymać. Musieli spotkać na swej drodze kowadło, zanim spadnie na nich uderzenie młota.

A kowadło było już na miejscu, czekało na ich przybycie.

Nad zboczami wzgórz unosiły się obłoki sypkiego śniegu. Niebo pojaśniało lekko, ale zrobiło się znacznie zimniej i oddech Corfe'a osadzał się białym filigranem na przodzie hełmu. Sypiący śnieg zamaskuje dym buchający z czterech tysięcy wolnopalnych lontów. Ranafast i jego ludzie, rozmieszczeni w dwóch szeregach długich na z górą milę, leżeli gdzieś tam w śniegu i czekali. Byli kowadłem Corfe'a.

Znalazł dla nich długie, położone za wzniesieniem zbocze, na którym mogli pozostawać niewidoczni aż do ostatniej chwili. Sypiący śnieg szybko pokrył ich czarne mundury. Z pewnością marzli teraz na twardej ziemi, a lodowaty wicher dmuchał im w twarz, ale wkrótce rozgrzeją się walką. Jak długo już trwała bitwa? Wydawało się, że ciągnie się bez końca, a mimo to szabla Corfe'a ani razu nie opuściła jeszcze pochwy. Taki już był los dowódcy. Wysyłał innych na śmierć, a sam mógł się tylko przyglądać.

Już niedługo, na Boga. Wkrótce nieprzyjaciel...

Rozległ się ogłuszający dźwięk, jakby rozerwano wielką płachtę ciężkiej tkaniny. Po

prawej uniosła się ściana dymu. Ludzie Ranafasta wystrzelili.

Corfe wyprostował się w siodle. Koń tańczył pod nim. Generał wyjął szablę Mogeny i uniosł ją pionowo nad głową. Czuł na sobie spojrzenia oczekujących na sygnał ludzi. To było tak, jakby opierał się o pękającą tamę, czekając, aż popłynie woda.

Mogłoby się zdawać, że konie pierwszych szeregów nalbeńskiej jazdy wpadły jednocześnie na rozciągnięty nad ziemią drut. Ludzie Ranafasta oddali salwę z bardzo niewielkiej odległości – mniej niż sto jardów. Wtem, na oczach Corfe'a, wystrzelił drugi szereg. W krótkich przerwach między salwami słyszał dobiegające z oddali rozkazy: „Gotuj broń! Celuj! Ognia!”.

Nieprzyjaciel zatrzymał się tak gwałtownie, jakby wpadł na kamienny mur. Przez kilka śmiercionośnych chwil Nalbeńczycy kręcili się w kółko bez celu, podczas gdy ciężkie, ołowiane kule siały spustoszenie w ich szeregach. Konie kwiczały, stawały dęba, wierzgały i padały na śnieg, ludzie byli podrywani w górę uderzeniami masywnych pocisków, wylatywali z siodła, krzyczeli, łapali się za krwawiące rany. Zwierzęta kłębiły się w tak gęstym tłumie, że dziesiątkowani jeźdźcy nie byli w stanie cofnąć się od morderczego ognia. Wypuszczali całe chmury strzał, ale leżący na ziemi ludzie Ranafasta stanowili trudny cel. Tysiące jeźdźców, stanowiące przednią część nalbeńskiego zastępu, były unieruchomione jak chrząszcz nabity na szpilkę. Zgubiła ich własna liczebność. W ciągu stu uderzeń serca wyrósł tam istny mur z wijących się z bólu ciał. Były ich setki, tysiące. To był jeden z najstraszliwszych widoków, jakie Corfe oglądał w życiu. Błysk intuicji podpowiedział mu, że ma przed oczyma zapowiedź końca kawalerii – wszelkiej kawalerii.

To jednak nie wystarczyło. Trzeba było dokończyć robotę. Formacja Nalbeńczyków stawała się coraz bardziej płynna. Wycofywali się, tylne szeregi pierzchały pośpiesznie, by stworzyć nieszczęśnikom z przodu możliwość ucieczki przed niszczycielskim ostrzałem. Wkrótce rozjadą się na boki, znajdą końce linii Ranafasta i otoczą go. Trzeba ich było z powrotem skupić w jedną masę, zepchnąć w stronę kowadła.

Corfe opuścił szablę Mogeny.

–Szarża!

Młot uderzył.

Król Torunny stał sadzę z twarzy i skrzywił się, widząc, że jego rękawica ocieka krwią. Dygotał ze zmęczenia. Miał wrażenie, że zbroja waży dwukrotnie więcej niż zwykle. Dosiadał już trzeciego dzisiaj konia, a podczas upadku z pierwszego skręcił sobie nogę tak paskudnie, że nie był w stanie chodzić. Od ozdobionego koroną hełmu okropnie bolała go głowa. Pot ściekał mu po niej strumieniami, w gardle miał sucho jak na pustyni, a jego głos przerodził się w ochryply charkot.

Wokół Lofantyra skupiły się niedobitki jego trzech tysięcy kirasjerów. Dwie trzecie z nich poległy albo odniosły zbyt ciężkie obrażenia, by mogły unieść miecz, a dziewięć dziesiątych straciło wierzchowce. Od samego rana znajdowali się w pierwszej fali ataku i dokonali cudów. Był z nich dumny. Po cichu był dumny również z siebie. Uważał, że w swojej pierwszej bitwie, pierwszej szarży, sprawił się, jak przystało królowi.

Reszta armii już się przegrupowywała, ocalali oficerowie zaganiali tłumy żołnierzy z powrotem do szyków. *Minhraibowie* na razie się wycofali i obóz należał do Lofantyra – a przynajmniej to, co z niego zostało. Zamienił się w posępne, spowite całunem dymu pustkowie usiane zwałami trupów, zwalonymi namiotami i zabitymi końmi. Tu i ówdzie wili się z bólu i jęczeli ranni, ale nie było ich zbyt wielu. Nie dawano pardonu i nie proszono o niego, a gdy któryś z walczących po jednej czy drugiej stronie padał na ziemię, wkrótce podrzynano mu gardło. Tam, gdzie *tercios*, które zapuściły się najdalej, walczyły jeszcze z nieprzyjacielem w obłokach dymu, było słycać ogień arkebuzów, większa część armii jednak przegrupowała się już, przygotowując się do ostatecznego szturmu. Gdzie były te cholerne posiłki, które wezwał?

Lofantyr słyszał wspaniałą, posępny łoskot walk, który nie cichł po prawej, gdzie Aras ze swymi ludźmi odpierał ataki zmierzającej z odsieczą merduckiej kolumny. Po lewej na razie nie działo się nic. Nagle coś usłyszał. Czyżby strzały z arkebuzów? Nie, były za daleko. To z pewnością echo. Miał rację, że nie obawiał się o lewą flankę. A wszyscy myśleli, że żaden z niego strateg!

Generał Menin podszedł do niego znużonym krokiem i zasalutował. Prawą rękę aż po łokieć zboczyła mu krew.

–Ach, generale, czemu ta zwłoka? Gdzie generał Cear-Inaf i nasze odwody? Kurier wyruszył już godzinę temu.

Z przodu dobiegł ich ogłuszający huk salwy muszkietów, a potem ryk ruszających do ataku ludzi. Torunnanie zwarli szeregi, starając się wypatrzeć cokolwiek za obłokami cuchnącego dymu. Z osiemnastu tysięcy ludzi, których król poprowadził do obozu, zostało może dwanaście, ale zadali nieprzyjacielowi cztero – albo

pięciokrotnie większe straty. Ci ocalali żołnierze ustawili się teraz w nierównym szyku rozciągniętym na milę. W niektórych miejscach składał się on tylko z dwóch szeregów, w innych zaś zgromadził się prawdziwy tłum. Wyczerpani, ranni ludzie zbijali się w grupy, szukając pocieszenia w bliskości towarzyszy. Armia była u kresu sił, choć nadeszło dopiero wczesne popołudnie najdłuższego dnia w życiu większości z nich.

–Kurier wrócił przed kilkoma minutami, panie.

–Rozumiem. I dlaczego się u mnie nie zameldował?

Menin oparł się o bok królewskiego wierzchowca. Mówił cicho.

–Panie, Corfe wycofuje odwód. Obawia się o lewą flankę. Zawiadamia mnie też, że *minhraibowie* są gotowi do kontrataku. – Generał zerknął na północ, gdzie zgiełk bitwy przerodził się w ryk, a w powietrzu unosiły się obłoki dymu. – Niewykluczone nawet, że już go rozpoczęli. Doradza nam natychmiastowy odwrót. Zgadzam się z jego opinią i wydałem już niezbędne rozkazy.

–Co zrobiłeś?! Przekroczyłeś swe uprawnienia, generale. Stanęliśmy przed szansą odniesienia chwalebного zwycięstwa. Wystarczy tylko jeszcze jeden szturm. Potrzebujemy odwodu Cear-Inafa, natychmiast.

–Panie, wysłuchaj mnie. Wystrzeliliśmy już swój pocisk. Generał Cear-Inaf donosi, że trzydzieści do czterdziestu tysięcy *minhraibów* przegrupowało się na północnym skraju obozu i uderzy na nas lada moment. Aras walczy o życie na prawej flance, a Corfe musi mieć odwód w pogotowiu, na wypadek, gdyby pokazały się nowe nieprzyjacielskie oddziały. Musimy się natychmiast wycofać.

–Na Boga, generale...

Jego słowa zagłuszył dobiegający z obłoków dymu huk, który przeszedł w crescendo. Pojawili się uciekający pojedynczo i dwójkami ludzie. Torunnańscy arkebuźnicy odrzucali w biegu broń. Za ich plecami rozlegał się nieartykułowany wrzask ogromnego tłumu.

–Za późno – stwierdził Menin. – Nadchodzą. Żołnierze! Przygotować się do odparcia ataku!

Wyczerpani ludzie zwarli szeregi.

–Panie, powinieneś przejść na tyły – zaproponował Menin Lofantyrowi. – Nie wiem, czy zdołamy się utrzymać.

–Co takiego? Nonsens! Poprowadzę następną szarżę. Zobaczymy, kto...

Szereg żołnierzy na zachodzie eksplodował nierówną salwą, gdy z kłębow dymu wyłonili się pierwsi nieprzyjaciele. Za wcześnie – Merducy nie byli jeszcze w zasięgu. Pędzili jednak naprzód – niepowstrzymana fala pancерnej piechoty atakująca pod kołyszającymi się sztandarami z końskich ogonów. Były ich dziesiątki tysięcy.

Twarz króla pobladła na ten widok.

–Mój Boże! Nie wiedziałem, że zostało jeszcze tylu! – wychrypiał.

Dwie armie starły się ze sobą z przerażającym rykiem. Wzdłuż całej linii natychmiast rozgorzała walka wręcz, gdyż torunnańscy arkebuźnicy nie byli w stanie ładować swej broni wystarczająco szybko, by utrzymać *minhraibów* na dystans.

Wokół Lofantyra zapanował krwawy chaos. Cały nieprzyjacielski pułk skierował się w stronę królewskiego sztandaru. Lżej uzbrojeni Torunnanie cofnęli się przed furią Merduków, tracąc łączność z zakutymi w żelazo kirasjerami. Zostali oni sami niczym otoczona morzem wrogów wyspa, lecz nie przestawali uderzać ciężkimi kawaleryjskimi szablami z morderczym skutkiem. W jednej chwili reszta torunnańskich sił została odrzucona do tyłu. Menin i Lofantyr byli teraz otoczeni, odcięci od głównych sił.

Umysł Lofantyra przestał pracować. Król siedział na przerażonym rumaku, obserwując, jak Merducy rzucają się z samobójczą odwagą na szeregi jego straży przybocznej. Zakuci w ciężkie zbroje rycerze zadawali wrogom straszliwe straty, lecz musieli ustąpić przed przewagą liczebną. Trzech albo czterech Merduków rzucało się na jednego Torunnanina, zwałało go na ziemię, ścigało mu hełm i podrzynało gardło.

–Już po nas – stwierdził Menin.

Lofantyr wyczytał te słowa z warg generała, mimo że zgiełk bitwy zagłuszał jego głos. Menin się uśmiechał. Gardło torunnańskiego monarchy ścisnęła panika. On miałby zginąć? On, król? To niemożliwe.

Jeden z nieprzyjaciół przedarł się przez topniejący kordon kirasjerów i rzucił się na królewskiego konia. Błysnął tulwar i zwierzę zakwiczało głośno, gdy przecięto mu pęciny. Menin zdekapitował napastnika, ale król runął na ziemię. Rumak padł na bok, wierzgając kopytami, i przygniół nogę jeźdźca. Lofantyr poczuł, jak pękają mu kości. Krzyknął z bólu, lecz jego głos utonął w otaczającej go kakofonii.

Menin stał nad nim, walcząc jak tytan. Wszędzie wokół padały na ziemię ciała, ranni miotali się w śniegu i błocie. Tumult był niewiarygodny. Lofantyr nawet sobie nie wyobrażał, że ludzie są zdolni do tak gwałtownej rzezi. Uniósł drżącą rękę, sięgając po szablę, która należała do jego ojca, była rodową pamiątką, nie znalazł jej jednak. Nie czuł bólu ani strachu, a tylko coś w rodzaju oszalałego zdumienia. Nie mógł

uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę.

Zobaczył, że czterech Merduków powaliło w końcu Menina. Stary generał walczył do samego końca. Wbili mu puginał w oko, kładąc wreszcie kres jego wysiłkom. Gdzie się podziała reszta królewskiej straży? Nie było już szyku, tylko kilka grupek żołnierzy otoczonych morzem nieprzyjaciół. Ostatni kirasjerzy padali na ziemię niczym niedźwiedzie otoczone przez sforę psów.

Ktoś zerwał Lofantyrowi hełm z głowy. Król ujrzał przed sobą twarz mężczyzny: był młody, w jego ciemnych oczach błyszczało szaleństwo, a z kącików ust ciekła piana. Lofantyr spróbował unieść rękę, ale ktoś przydepnął mu nadgarstek. Zobaczył nóż i spróbował się sprzeciwić, ale ostrze opadło szybko i położyło kres życiu króla.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Z osiemnastu tysięcy Torunnań, którzy rankiem uderzyli na nieprzyjacielski obóz, została ich może połowa. Wycofywali się, z uporem walcząc o każdą stopę zbroczonego krwią gruntu. Wieści o śmierci króla nie zdążyły jeszcze się rozejść i nie zapanowała panika, mimo że kontratak *minhraibów* był straszliwy i niepowstrzymany. Dowodzenie przejęli oficerowie polowi i młodszy oficerowie, gdyż całe Naczelne Dowództwo leżało martwe na polu bitwy. Udało im się przywrócić w szykach coś w rodzaju porządku i wyprowadzić ludzi z merduckiego obozu.

Minhraibowie – znowu zdeorganizowani, choć tym razem nie przez odwrót, a przez atak – parli naprzód, przekraczając dawną granicę obozowiska, i zdumiali się tym, co tam zobaczyli.

Na wzniesieniu po prawej stronie, gdzie miała na nich czekać obiecana nalbeńska konnica, ciągnęła się nieprzerwana linia pięciu tysięcy złowrogich torunnańskich arkebuźników. A za nimi stały milczące szeregi przerażających czerwonych jeźdźców, którzy zadali im tak wielkie straty na Północnym Wzniesieniu. Ich lance rysowały się ostro na tle nieba, a broje błyszczały niczym świeżo przelana krew.

Merducy stanęli jak wryci. *Minhraibowie* walczyli od samego rana. Sprawili się dobrze i wiedzieli o tym, ale za plecami mieli ciała blisko czterdziestu tysięcy poległych towarzyszy, a dalsze tysiące rozpięzchły się po okolicy, pozbawione dowództwa. Niespodziewany widok świeżych torunnańskich oddziałów odebrał im odwagę. Gdzie się podzieli Nalbeńczycy? Obiecano im, że ich kontratak spotka się ze wsparciem od lewej flanki Torunnań.

Jakby w odpowiedzi na to pytanie z szeregów szkarłatnych jeźdźców wyłonił się cwałem samotny żołnierz. Zatrzymał wierzchowca trzysta jardów od *minhraibów*. Ścisnął w dłoni sztandar z końskiego ogona zatknięty na czymś, co wyglądało na dziób galery. To była chorągiew nalbeńskiego generała. Wbił ją pogardliwym gestem w ziemię. Jego rumak tańczył i parsknął, a zgromadzona na wzgórzu konnica zaśpiewała jakąś niesamowitą, niezmierną melodię, barbarzyński hymn bojowy, pieśń zwycięstwa. Jeździec zawrócił i pogalopował z powrotem do szeregu.

Torunnańscy arkebuźnicy również podjęli tę samą pieśń, lecz w ich gardłach przerodziła się ona w coś innego, w jedno słowo, które powtarzali, jakby miało w sobie jakąś nieokreśloną moc. Pięć tysięcy głosów wykrzykiwało je raz po raz.

Corfe.

Strzały ucichły i nad udręczone wzgórze napłynęła fala ciszy. Zimowe popołudnie przechodziło w wypełniony płatkami śniegu półmrok. Obie armie dzieliła od siebie odległość zaledwie trzech mil, a między nimi leżały spalone ruiny potężnego ongiś obozu oraz usiana trupami ziemia. I jedni, i drudzy ponieśli tak ciężkie straty, że ignorowali się nawzajem, jakby zawarli porozumienie. Wycieńczeni ludzie po obu stronach próbowali rozpalić ogniska i przespać się trochę na twardej ziemi, ledwie dbając o to, czy rankiem znowu wszędzie słońce.

Od strony pola bitwy zbliżał się sfatygowany wóz zaprzężony w jednego muła. Leżał na nim jakiś owinięty w płaszcz kształt. Obok woźnicy zmierzało na piechotę czterech ludzi. Nagle wszyscy się zatrzymali, zdjęli hełmy i pozwolili, by wóz potoczył się dalej, do położonego poniżej torunnańskiego obozu. Koła stukwały na zamarzniętym gruncie niczym saluty salw artyleryjskich. Mężczyźni stali nieruchomo wśród sztywniejących trupów, a na niebie nad ich głowami pojawiały się już pierwsze gwiazdy.

Corfe, Andruw, Marsch, Formio.

–Menin z pewnością poległ, broniąc go do samego końca – zauważył Andruw. – Stary sukinsyn. Dzielnie zginął.

–Wiedział, że to będzie jego ostatni dzień – dodał Corfe. – Sam mi o tym powiedział. To był odważny człowiek.

Czterej mężczyźni ruszyli dalej. W ciemności poruszały się też inne postacie, zarówno Torunnanie, jak i Merducy. Ludzie szukali zaginionych towarzyszy lub ciał poległych braci. Nastąpił nieoficjalny rozejm i niedawni wrogowie razem patrzyli w twarze zabitych.

Corfe zatrzymał się i wbił wzrok w zapadającą nad światem ciemność. Czuł się zmęczony, bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

–Jak twoi ludzie, Formio? – zapytał Fimbrianina.

–Straciliśmy tylko dwustu. Ci ich *ferina* to prawdziwi żołnierze. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby konnica szarżowała pod górę przeciwko pikom, i to pod ostrzałem artylerii. Oczywiście nie mieli szans nas złamać, ale byli gotowi spróbować.

–Cały czas szliśmy łeb w łeb – ocenił Andruw. – Jeszcze kwadrans, tu albo tam, i przegralibyśmy bitwę.

–A więc wygraliśmy? – zapytał Corfe. – To jest zwycięstwo? Nasz król i cała

szlachta nie żyją, jedna trzecia ludzi, których przyprowadziliśmy z Torunny, została na polu bitwy. Jeśli tak wygląda zwycięstwo, jego smak jest dla mnie zbyt gorzki.

–Żyjemy – stwierdził lakonicznie Formio. – Można to nazwać zwycięstwem.

Corfe uśmiechnął się.

–Pewnie masz rację.

–I co teraz? – zapytał Andruw. Wszyscy patrzyli na swego generała.

Corfe spojrział na gwiazdy. Świeciły jasno, nieosiągalne i obojętne. Świat pozostawał taki sam. Życie toczyło się dalej, mimo że wokół było tyle śmierci.

–Nadal mamy królową – odparł po chwili. – I kraj, za który warto walczyć...

Te słowa zabrzmiały jednak nieprzekonująco, nawet dla niego samego. Wydawało mu się, że słyszy szelest cienkiej, schowanej pod zbroją karty, na której Menin wypisał swój pożegnalny rozkaz. Ostatnia armia Torunny, czy to co z niej zostało, była na jego rozkazy. To już coś. Podobnie jak ci ludzie – ci jego przyjaciele.

–Wracajmy do obozu – zdecydował. – Bóg wie, że czeka nas mnóstwo roboty.

EPILOG

Pozostałości zimowego huraganu uspokoiły się już nad ciągle jeszcze wzburzoną, pokrytą białymi grzywaczami Zatoką Hebrionką. Słońce nad Oceanem Zachodnim weszło w krwawej glorii sztormowych chmur i wydawało się, że niebo natychmiast zajęło się od niego płomieniami. Horyzont jaśniał szafranowym, zielonym i niebieskim blaskiem majestatycznego poranka.

A z zachodu nadpłynął statek, który wspinał się na fale o białych szczytach, bryzgając lśniąca tęczowo wodą. Jego żagle zamieniły się w strzępy, olinowanie zwisało luźno, a kadłub i reje nosiły ślady licznych sztormów. Mimo to statek płynął prosto jak strzała, a jego dziób był wymierzony w serce abrusiańskiego portu. Wyblakłe litery na kadłubie świadczyły, że jego nazwa brzmi *Gabrioński Rybołów*. Za sterem stał wychudły mężczyzna o poszarzałej od soli brodzie. Miał na sobie łachmany, a cudzoziemskie słońce spaliło mu skórę, nadając jej barwę mahoni.

Richard Hawkwood wreszcie wrócił do domu.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/